ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%) NAKŁAD 12 400 NR 10 (177) PAŹDZIERNIK 2013

HISTORIA SPOD ZIEMI WYDOBYTA

Odkrycie depozytu broni AK

www.odkrywca.pl

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

10

9 771505 610056

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

GTI 2500

GTI 1500

ACE 150

ACE 250

EuroAce

GARRETT® METAL DETECTORS www.garrett.com

GTP 1350

INFINIUM *LS*

Sea Hunter Mark II

AT PRO

AT Gold

Spectra V3i

Spectra VX3

MXT Tracker

MXT PRO

White's

TM 808

Matrix M6

Coinmaster

Coinmaster Pro

Coinmaster GT

E-Trac

CTX 3030

Safari

NOWOŚĆ

MINELAB

Excalibur II

GPX - 5000

NOWOŚĆ

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Eureka Gold

FISHER RESEARCH LABS Detecting & Underground Locating Equipment

F75 LTD

CZ 3D

F2

F4

F5

F70

F75

Gemini-3.

CZ 21

1270

1280-X Aquanaut

Deus

Gold Maxx

GMaxx II

Gold Bug

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

PAŹDZIERNIK 2013

3 Wojtek Stojak

POSZUKIWANIA

7 Na eksploracyjnym szczycie, czyli odkrycie depozytu batalionu AK „Giewont
Piotr Maszkowski

12 Powojenne losy skarbów z Kamiennej Góry
Szymon Wrzesiński

17 Na skarbowych tropach Srebrnej Góry
Piotr Maszkowski

22 Gruzy, barykady, schrony i swastyki… Powstanie Warszawskie na niemieckim zdjęciu lotniczym
Sebastian Różycki, Jacek Olecki

24 Złoty skarb w Zgorzelcu
Tomasz Rzeczycki

28 Na tropie skarbu Księcia Piratów
Marcin Szymaniak

32 Brunatny skarb – „nowa Ameryka" na Łużycach (cz. 3)
Janusz Skowroński, Andrzej Kuźniar

TAJEMNICE HISTORII

38 Mauzoleum, którego nikt nie chce…
Dariusz Pietrucha

45 Rzeczypospolita Kwidzyńska – dzieje Polskiego Gimnazjum w Prusach Wschodnich
Justyna Liguz

ROZMOWA

49 „Łączka" – przywracanie tożsamości
22 VIII br., zespół dr. Krzysztofa Szwagrzyka podał kolejne zidentyfikowane nazwiska ofiar. O szczegółach, z dr hab. Krzysztofem Szwagrzykiem rozmawia Janusz Skowroński.

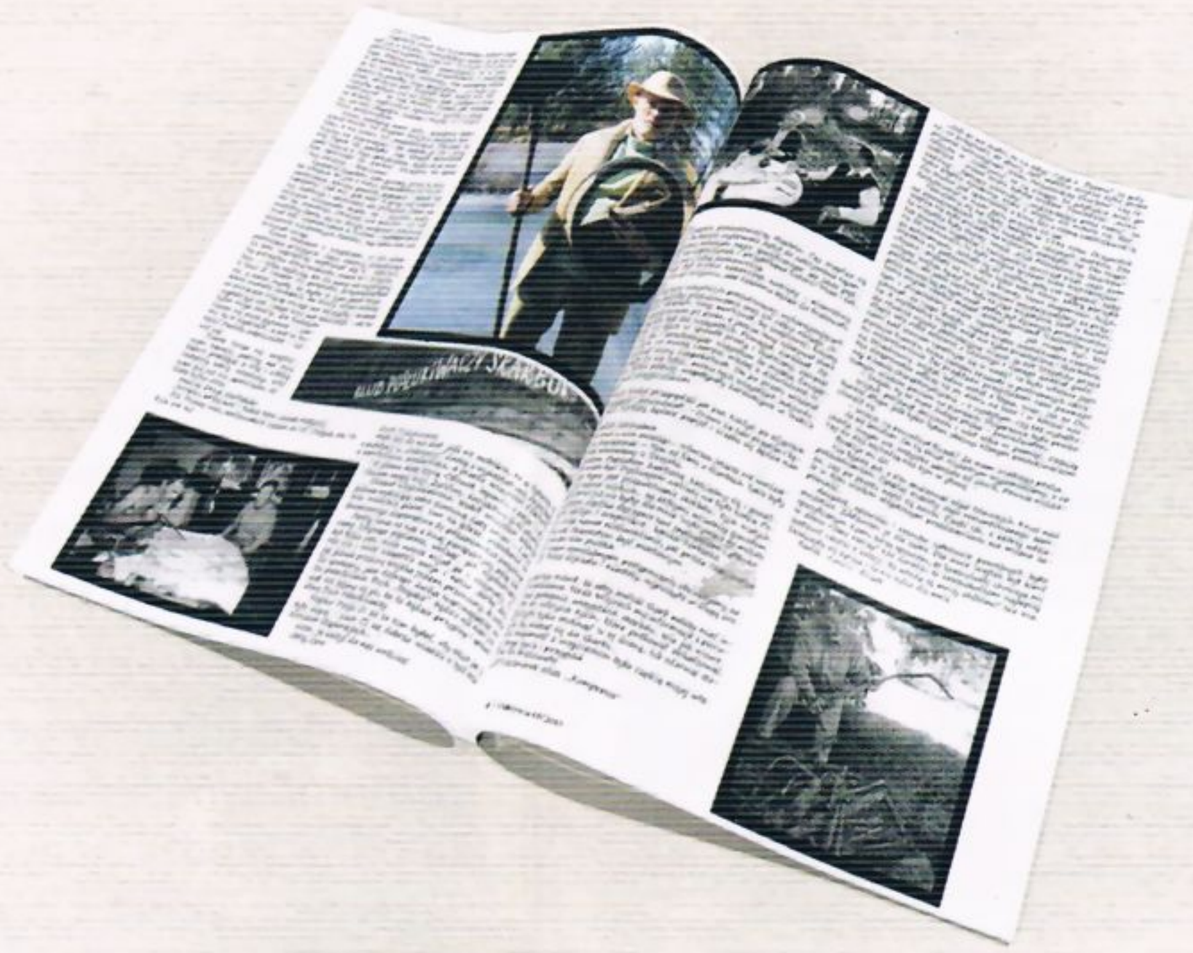

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

55 Poligon „Heidekraut" pod lupą archeologów
Sławomir Brett, Jarosław Butkiewicz, Robert Grochowski

58 Kosmiczny poligon
Maciej Kulesza, Bartosz Puchowski

FORTYFIKACJE

60 Fort 4a Twierdzy Poznań
Artur Jacolik

67 „MG Ringstand" z Książa – relikt strefy ochronnej zamku
Andrzej Ditrich

KOLEKCJONERSTWO

67 Kieszonkowa artyleria „serdecznych sprzymierzeńców"
Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 5)
Piotr Galik

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 Nowości października w Księgarni Odkrywcy

Okładka:
Skrzynka amunicyjna i broń należąca do oddziału AK „Giewont" odnaleziona w Zbyczynie 5 IX br.
Fot. Rafał Markowski

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak,
Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński,
Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki,
Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

W swoim tekście zamieszczonym w lipcowym wydaniu „Odkrywcy" – zaledwie kilka tygodni temu – napisał Wojtek Stojak kurując zmaltretowany kolejną odkrywką kręgosłup: „wszystko mnie boli… czuję jakiś oddech na plecach". Kto sięgnie po tę Jego opowieść znajdzie wśród perełek „stojakowego" języka dopisek: „jeszcze zipię, więc dzwońcie". I tu numer „stojakowego" telefonu.

Teraz, gdy Wojtka zabrakło, telefon pozostanie głuchy, ale dopisek, podobnie jak jego Autor jest już legendą.

Dopisek pojawiał się niemal pod każdą gawędą, felietonem czy tekstem Wojtka – to obok niepowtarzalnego autorskiego stylu narracji i niezależności formułowanych myśli i opinii znak firmowy Autora. Czy znacie kogoś jeszcze, kto by na łamach prasy podawał do publicznej wiadomości numer prywatnego telefonu i to dodatkowo jeszcze z prośbą o kontakt?

Nie był to pusty gest. Prywatny dział łączności z czytelnikami owocował różnorodnymi kontaktami, pozwalał zapełniać archiwum pamięci zbiorem informacji pozyskanych w całkiem subiektywny sposób, z różnych, często odległych źródeł. Czerpał z tych telefonów coś jeszcze – obietnicę emocji towarzyszących odkrywaniu jakiejś kolejnej tajemnicy Jemu powierzonej.

Tajemnice nie musiały oznaczać rozpalających wyobraźnię skarbów. Dla Wojtka skarbem było każde znalezisko, a nawet ślad prowadzący do jego znalezienia. Skarbem też byli ludzie – podobnie jak On z zaangażowaniem i poświęceniem gromadzący wiedzę o przeszłości. Zaufanie jakim darzyli Go kontaktujący się bezpośrednio czytelnicy nie dziwi – legenda polskiego ruchu eksploratorskiego na swą sławę długo pracował. Bezsprzecznie pomagała w jej budowaniu pasja popularyzatorska i zacięcie publicystyczne. Autor telewizyjnego „Klubu Poszukiwaczy Skarbów" przygotowywanego przez wrocławską telewizję (emitowanego chyba również w części na ogólnopolskiej antenie) bodaj jako pierwszy ukazał masowej widowni edukacyjne i poznawcze walory działań poszukiwawczych podejmowanych przez niezawodowy ruch miłośników historii. To dzieło kontynuował na naszych łamach – był Autorem czytanym, obecnym w czasopiśmie od samego początku, zapalony polemista z trudem akceptował redakcyjne interwencje w teksty, które przynosił. I chociaż czasem zżymał się na „redakcyjną cenzurę", to jednak ostatnią książkę, którą przygotowywał oparł na tekstach tutaj drukowanych.

Niejednokrotnie rekomendując materiały kolejnych wydań „Odkrywcy" polecałam wyjątkowe teksty Wojtka – zachowując Go we wdzięcznej pamięci, proszę o chwilę wspomnienia o wyjątkowym Człowieku.

Wojciech Stojak zmarł 1 września 2013 r.

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

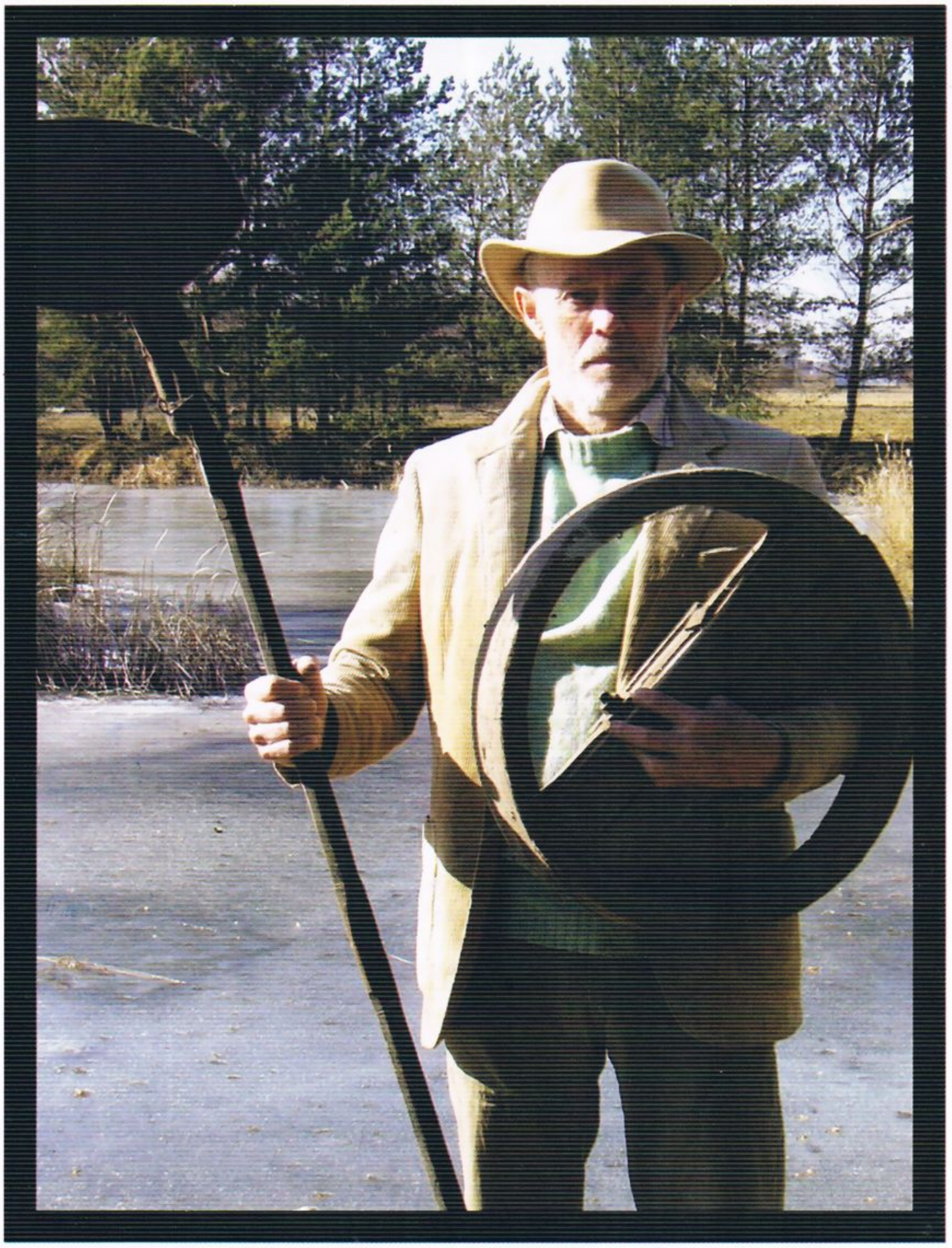

Coś o Wojtku...

Poprosiła mnie Iza Kwiecińska, żebym napisał coś o Wojtku. Pomyślałem sobie: co ja kurna jakiś pisarz jestem, czy co? To chyba Ona jest od tego. Odpowiedziałem wymijająco, że w szkole przerabiałem tylko drukowanie, z nadzieją, że da sobie spokój. Niestety. Na następny dzień ponowiła prośbę, więc spytałem: – co mam napisać, przecież jaki Wojtek był, każdy wie. Doradziła, żebym coś od siebie, tak, jakbym z Nim rozmawiał... że tak trzeba. Dobra, jak trzeba, to trzeba. Wyrwałem synciowi kartkę z zeszytu, do ręki długopis, siedzę i myślę, co z Wojciechem zwojowałem.

Hmm, najlepiej nam szło... popijanie Ulaszkowej kawki, na drugim miejscu szukanie skarbów, a na końcu ich znajdowanie. Dlaczego ta kawka na pierwszym? Bo robiła ją Ula i przy niej fajnie się gadało. Jak Stojak opowiadał, sami wiecie z Jego artykułów, tylko że ja miałem opowieści za darmo, soczyście, na żywo i bez cenzury – bezcenne!

Szukanie skarbów szło gorzej, przez tę kawkę właśnie, bo jak z rana zbieraliśmy się na poszukiwania, zawsze padało pytanie – kawki się napijemy? Jak nie, jak tak! A przy niej rozmowy, dyskusje i opowieści do południa. Czasu na szukanie zostawało mało, to i skarbów mało. Ma się rozumieć. Chociaż nie powiem, nie raz mieliśmy farta, ale to dzięki Wojciowi, ponieważ miał dar rozmawiania z ludźmi i wyłapywania pozornie nieistotnych faktów, na które inni nie zwracali uwagi.

Samo szukanie z Wojtkiem, to też niezapomniane przeżycie. Jako rasowy poszukiwacz do lasu najczęściej wybierał się w... kapciach. Na początku denerwowało mnie to i krzyczałem: – leźże szybciej, bo do nocy nie wyjdziemy z lasu! Z czasem mi przeszło, przyzwyczaiłem się, a teraz myślę, że była w tym jakaś Stojakowa metoda szukania, bo kiedy idziesz wolniej, to zwracasz więcej uwagi na szczegóły i możesz wypatrzyć coś, czego inni nie zauważyli – ale to tylko moja teoria. Za każdym razem na moje pytanie – czemu Ty w kapciach, a nie w butach? Padała odpowiedź – odwal się!

Siedzę teraz na Wojtkowym tarasie, patrzę na owe kapcie popijając z Ulą i córką Małgosią kawę. Niestety, nikt nam już nic nie opowiada, została tylko cisza.

Maciek Drugi Stefański
(Kropki, przecinki i takie tam dodała Małgosia)
P.S. Proszę was, zadzwońcie czasem do Uli i Małgosi, tel. 71 354 54 40

Duch Poszukiwaczy

Mało kto Go nie znał, jeśli nie osobiście, to ze słyszenia lub z publikacji w „Odkrywcy". Geolog z wykształcenia, dziennikarz z zamiłowania, poszukiwacz, a przede wszystkim CZŁOWIEK i to pisane dużą literą. Człowiek legenda, z pasją i z poczuciem swojej misji. Życzliwy, dociekliwy aż do absurdu.

Odszedł niespodziewanie, zrobił wszystkim kolejnego psikusa wybierając sobie stosowną datę śmierci – 1 września. Widocznie gdzieś, tam na górze, potrzebowali doświadczonego eksploratora do pozaziemskich poszukiwań.

Patrzy teraz na nas z innej perspektywy, paląc wkurzony kolejnego papierosa, widząc, jak niejednokrotnie był blisko celu, może nawet mijał go o centymetry. Teraz Wie i Widzi wszystkie swoje i nasze „skarby". Znając jednak przekorę Wojtka jestem przekonany, że nieraz Go spotkamy, jako dobrego ducha wspomagającego nasze poszukiwania. Duch „Stojaka" będzie nad nami czuwał. Nie bójmy się go, bo to będzie przyjazny i sprawiedliwy Duch Poszukiwaczy.

Wojtku! Dzięki Ci za to kim byłeś, oby takich jak Ty było więcej, i niech Ci się dobrze wiedzie w tych pozaziemskich eksploracjach...

Wiem, że kiedyś do nas wrócisz!

Jerzy Cera

I co teraz...

Odszedł Maestro poszukiwaczy skarbów. Czy znajdzie się ktoś, kto jak On będzie wytrwale dążył do odkrywania tajemnic, zaszczepiania młodym tego specyficznego, ale jakże pięknego sposobu na wypoczynek i przybliżanie historii? Może i tak, ale na pewno nie z taką osobowością.

A jaki był? Był znośno nieznośny, niekiedy – niemożliwy. Każdy oceni Go po swojemu, ale każdemu będzie Go brakowało.

Taki był.

Był osią łączącą wszystkich poszukiwaczy, wykorzystujących najróżniejsze sposoby poszukiwania oraz ich różne rodzaje. Jeden grzebał w okopach, inny nurkował, by znajdować, kolejny chodził z wykrywaczem po polu, a jeszcze inny odkrywał stare sztolnie. Wojciech był dla wszystkich. Pomagał, doradzał. Potrafił patrzeć na życie w sposób prosty i skuteczny, czerpiąc z niego ile się da, i przekazując wszystkim ile można. Śmiejąc się często z tych, co muszą czerpać wiedzę z doświadczeń innych, by dokonać oceny czegokolwiek. On po prostu wiedział. Nie można było Go nie lubić, mimo tych wszystkich indywidualnych cech, które później współgrały harmonijnie w trakcie rozmów i zwad przyjacielskich.

Taki był.

Chciał mnie kiedyś przepędzić jak psa. Kiedyś, po zdjęciach do filmu „Rydygier", powiedział: – Znowu się taki przyklei i będzie tu jeździł. Herbatę będzie popijał i trzeba się będzie nim opiekować.

Się obraziłem normalnie.

Nie było mnie u nich miesiąc... wówczas jeszcze nie wiedziałem, jaki ma charakterek – Ten od filmu o skarbach. Takie były moje pierwsze odwiedziny u Stojaka.

No i zostałem. Popijałem herbatkę. Kłóciliśmy się i godziliśmy, ale tak miało być. Dyskusjom niekiedy nie było końca. Pokazał mi, jak fajne jest poszukiwanie skarbów. Tych małych, drobnych, nie takich wielkich, za którymi wcześniej ganiałem. Fabryki podziemne już nie były dla mnie. Wykrywacz do metalu i w pole, a potem wspólne ślęczenie nad znaleziskami i główkowanie, cóż to takiego. I oczywiście... kawka-herbatka.

Pokazał, może nawet nieświadomie, jak proste i racjonalne jest życie na wsi. Przestałem być miastowym.

Pozostanie po Nim pustka.

A my w swym samolubnym postępowaniu chcielibyśmy zatrzymać Go. Dusza dojrzała i niestety, wyruszyła w długą drogę.

Wojtek zawsze mówił, że aby znaleźć skarb należy mieć informacje. To podstawa. Teraz Wojciech ma informacje z pierwszej ręki i zna położenie wszystkich skarbów. Wie jak niewiele brakowało do odkrycia tych, które próbował zlokalizować. Może wystarczyło tylko stuknąć w tę ścianę, lub oderwać stopień schodów by dostać się do skarbu...

Dla mnie znajomość z Wojciechem była częścią mojej własnej drogi. Drogi życia i przygód.

Będzie mi Go brakowało.

Krzysztof Kaczmarek alias „Kompresor"

„Jeśli go nie znałeś, to nie żałuj". Cytat z „Dżemu", to jedyne, co przychodzi do głowy. Jeśli znaliście Wojtka tylko przez pryzmat telewizyjnego „Klubu Poszukiwaczy Skarbów", czy felietonów w „Odkrywcy", to się cieszcie, bo gdybyście znali go osobiście – Wasza strata byłaby większa. Powiedzieć: „nietuzinkowy", „łamiący schematy", „wykraczający poza ramy", to tylko płytkie synonimy, które o Wojtku nie mówią nic. Bardzo trudno jest opowiedzieć o kimś, kto z różną częstotliwością funkcjonował w moim życiu przeszło 20 lat.

Poznaliśmy się na Ślęży, bodajże w 1992 roku. Oczywiście na poszukiwaniach. Sztolni szukaliśmy. Ukrytych skarbów. Dla Wojtka nie było podziału na militaria, depozyty, itp. Dla Niego, to wszystko były skarby. Wszak „Klub Poszukiwaczy Skarbów" tak powinien wyglądać i rzeczywiście stworzył Klub. Jego dom na Strachowicach, to było miejsce spotkań ludzi najróżniejszego autoramentu. Jechało się do Wojtka, żeby coś wyjaśnić, żeby wspólnie się zastanowić, albo tylko napić kawy, którą parzyła Ulaszka i trafiało się na ludzi z branży. Nowe znajomości, fuzje, układy. Wojtek łączył ludzi i czasami zawdzięczaliśmy to przypadkowi, ale jakże często była to jego inicjatywa. Stół w kuchni, gdzie zazwyczaj przyjmował, pełen był dziwnych przedmiotów, które Wojtek właśnie znalazł, dostał, zamienił. Siedzieliśmy nad tym i puszczaliśmy wodze wyobraźni – jak mogło być, kto schował, do czego służyło. Jedna wielka intelektualna rozrywka. A wyobraźnię Wojtek miał nie tylko praktyczną i skarbową, ale również wysoko abstrakcyjną. Wiecie, że kot Stojaków przez długie lata robił doktorat z ichtiologii i dlatego siedział godzinami nad stawem wpatrując się w wodę? To było właśnie jego poczucie humoru, które czasami krzesało w postronnych iskrami niezrozumienia. Dla przykładu: przyjeżdżam razu pewnego na Strachowice. Wojtek ledwo wstał z łóżka, więc, jak to On, bez skrępowania włóczy się po domu na boso i w koszuli nocnej. Koszula charakterystyczna – z wyszytym, czy też wyhaftowanym wielkim pawiem na piersiach. Skojarzenie było proste:

– Stojak, ty to masz dużego ptaka – powiedziałem.

Wojtek parsknął śmiechem i wbił sobie w pamięć. Później bardzo długo, jeśli tylko byłem obecny, różnym poszukiwaczom chwalił się:

– Wiecie, co powiedział Biczak? Że mam wielkiego ptaka...

Ja się śmiałem. On się śmiał. Niektórym wyjaśnialiśmy, o co chodzi. Innym nie. Wszystko zależało od chwili. Pewnie niektórzy do dziś zachodzą nad tym w głowę.

Brakuje mi Go.

Nie będzie już, z kim analizować zdjęć lotniczych. Knuć nad poszukiwaniami. Oglądać makiety Jego remontowanego zamku, czy po prostu napić się kawki. Dzięki Uli, o której udziale w tym wielkim stojakowym przedstawieniu nie można zapominać.

Anegdot, opowieści i rozmów całkowicie poważnych było mnóstwo. Zostawiam je dla siebie. Dla mnie Wojtek był kimś specyficznym. Komu teraz opowiem, że krasnoludki chowają mi w domu różne rzeczy? Kto doradzi, że krasnoludkom najlepiej zostawić resztki z kolacji, bo wtedy są mniej chibitne? Nie ma. Skończyła się Epoka i to nie tylko dla mnie.

Radek „Kmicic" Biczak

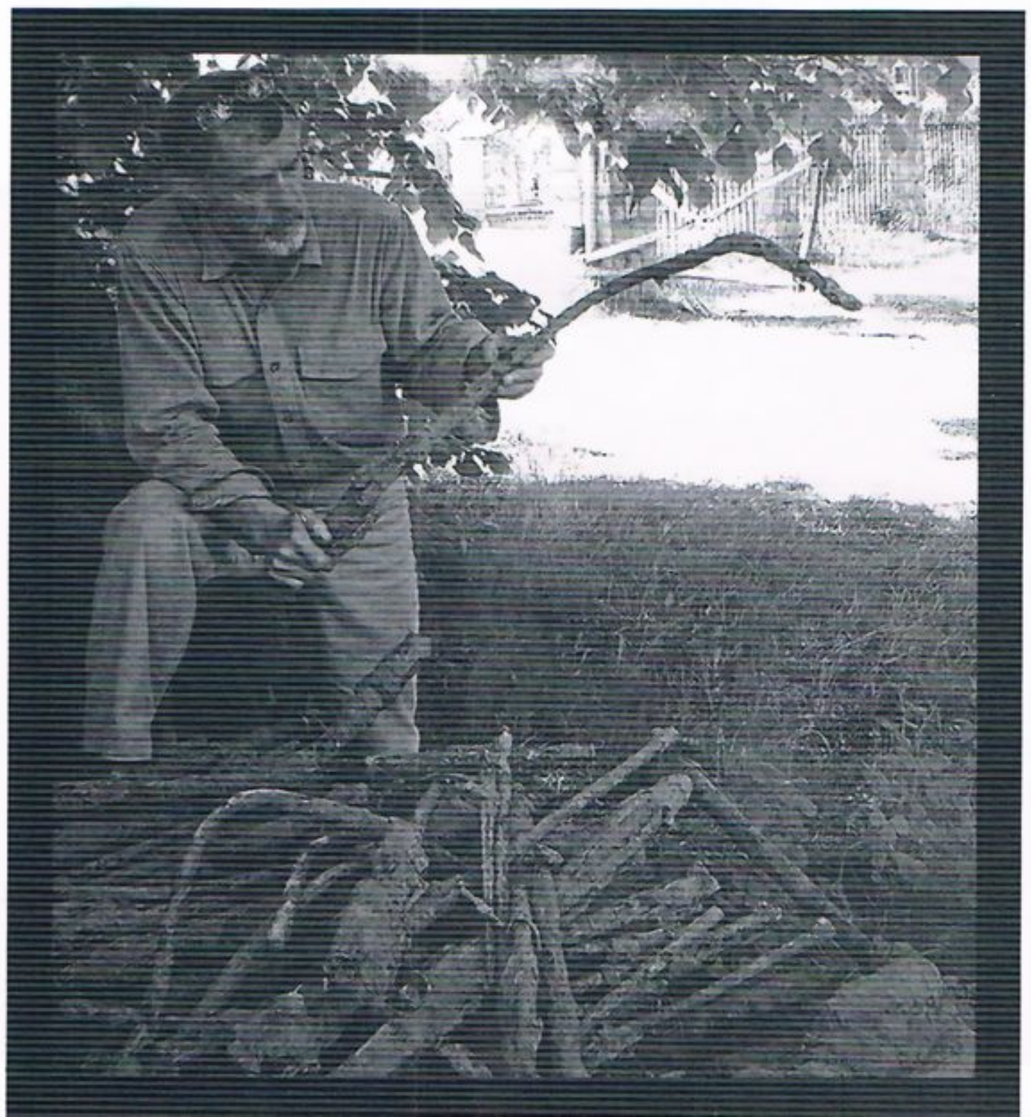

Nie odszedł...

Trudno po Jego „wyłączeniu" się z naszego życia, zebrać myśli „do kupy" i napisać o Nim coś sensownego. Wszystko będzie banałem. Że nestor poszukiwaczy, żywa legenda, że taki, że owaki. Jaki był? Dla mnie po prostu był dobrym człowiekiem. Człowiekiem ze swoimi wadami i ułomnościami, ale i talentami oraz zaletami. Celowo nie używam określenia – odszedł, zmarł. Wojtek pozostanie w naszej pamięci i sercach.

Napisałem, że „wyłączył się", bo wierzę, że jest On w dalszym ciągu, tu z nami, blisko. Nie odszedł. Dyskretnie będzie nas obserwował, i gdy uzna to za stosowne, udzieli nam wskazówek, da jakiś znak.

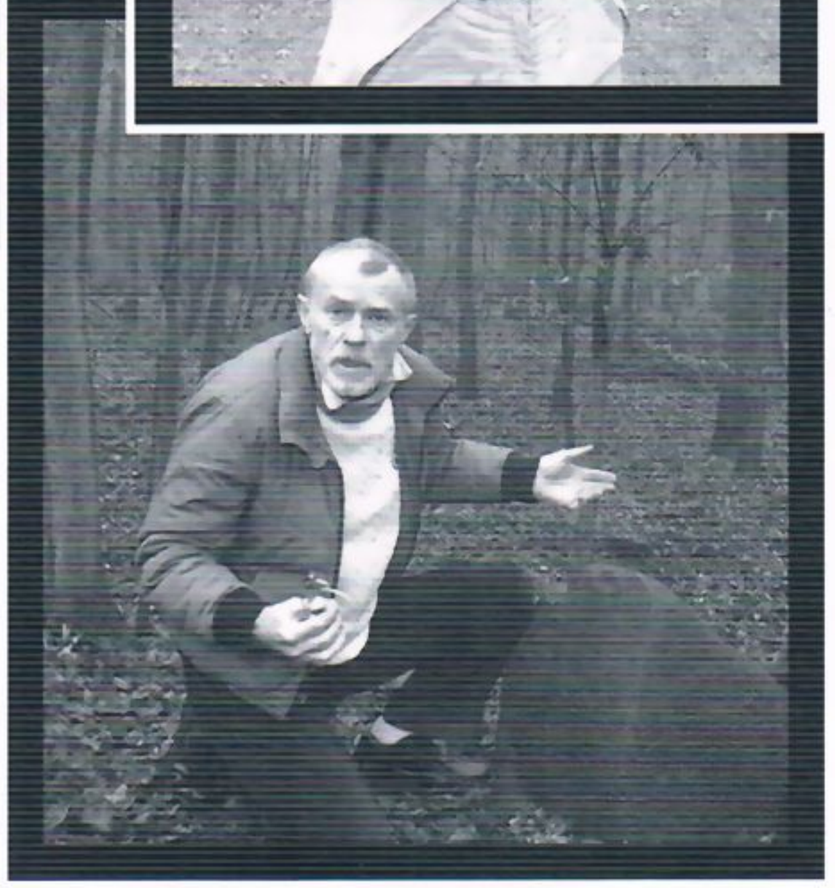

Na pewno wiele słów napiszą o Nim ludzie, którzy chodzili z nim w teren, razem z nim szukali, kopali, pompowali wodę itp.

Poznaliśmy się jakoś na przełomie roku 2000/2001. Moja z Wojtkiem znajomość dotyczyła bardziej dokumentów, papierów, książek. To była frajda u Niego w domu obłożyć się wydawnictwami, mapami, zdjęciami lotniczymi i siorbiąc kawkę dyskutować z Wojtkiem. A właściwie spierać się z nim, bo miał swoje poglądy na określone sprawy i niechętnie je zmieniał. Był uparty, nie docierały do niego żadne argumenty. Ale też po kilku dniach, tygodniach, gdy sprawę na spokojnie „przetrawił", potrafił powiedzieć „przepraszam, miałeś rację", nawet publicznie. W dzisiejszych czasach mało kto zdobywa się na taki gest.

Oglądając telewizyjny „Klub Poszukiwaczy Skarbów", czytając jego artykuły, czy po prostu spotykając się z nim, odniosłem wrażenie, że Wojtkowi nie chodziło o znalezienie czegoś fizycznie namacalnego, jakiejś skrzyni ze złotem. Jemu chodziło o samo szukanie. I o przygody z tym związane. W światek polskich poszukiwaczy dawał też, jakże potrzebną, szczyptę zdrowego rozsądku. Był w końcu inżynierem, do życia pochodził racjonalnie. Braki w wiedzy fachowej przy niektórych tematach nadrabiał właśnie takim zdroworozsądkowym podejściem. – Po co Niemcy/Rosjanie/„strażnicy" (niepotrzebne skreślić) mieliby zbudować właśnie w tym miejscu tajne laboratorium/podziemną fabrykę itp. (niepotrzebne skreślić)? Tam nie ma linii kolejowej/elektrowni/ujęcia wody itp. (niepotrzebne skreślić). Przecież budowniczy nie byli durniami – mawiał.

Nasza znajomość rozpoczęła się od problematyki niemieckich pociągów pancernych. Zażarcie dyskutowaliśmy wtedy o nich. Jak się okazało, ostatnim wspólnym tematem też okazał się opancerzony kolos na szynach. Konkretny, ten, który brał udział w obronie Festung Breslau. Pociąg leutnanta Poersela. Wojtek upierał się, że pancerna kopułka, którą odnalazł, pochodzi właśnie z tego składu, ja z Markiem Krukiem dostarczyłem mu zdjęcie pokazujące zastosowanie owego „bunkierka", jako umocnienie polowe. Gdy kwestia ta została w miarę wyjaśniona, pozostała nam sprawa wyglądu samego pociągu leutnanta Poersela. Jestem w trakcie poszukiwań zachowanych fotografii. Wojtek już pewnie wie, jak wyglądał pancerny skład z Breslau.

Radek Szewczyk

Jedyna fotka

I znowu odkładanie czegoś tam na później nie wyszło mi na dobre. Jak tylko Iza Kwiecińska zadzwoniła do mnie i usłyszałem w słuchawce, że ma mi do przekazania smutną wiadomość, wiedziałem, wiedziałem już po pierwszych słowach, że chodzi o Stojaka.

Dlaczego napisałem Stojaka a nie Wojtka?

Pamiętam, że ile razy się z nim spotykałem we Wrocławiu i w huku startujących czy lądujących samolotów dyskutowaliśmy zawzięcie o sowiogórskim „Riese", tyle razy odwiedzające Go licznie osoby w rozmowie używały formy „idź do Stojaka, Stojak to wie, Stojak ci pomoże". A i w „Odkrywcy" można było wyczuć „styl Stojaka". Jego artykuły do końca w wyrafinowany sposób obnażały i czasami ośmieszały nawet niektóre „stawy" polskiej eksploracji. Chociaż ja w osobistych i internetowych kontaktach używałem formy Wojtek, Wojtku.

I cóż Wojtku, już nie spotkamy się ani we Wrocławiu, ani w Górach Sowich. Smutne to, chociażby dlatego, że pisałeś jeszcze na początku tego roku z przekorą: „czy dostąpisz zaszczytu spotkania się ze mną"? A ja, uśmiechając się pod nosem, planowałem niepodziankę na wakacyjny czas i myślałem, że tym razem będąc przejazdem we Wrocławiu, nie przełożymy spotkania i wreszcie się spotkamy i pogadamy. Ano nie pogadamy.

Patrząc na zdjęcia z moich licznych podróży, wiszących na ścianie przed moim biurkiem, złapałem się na tym, że przez tyle lat naszej znajomości, licznych przegadanych godzin nie mamy ani jednej wspólnej fotografii. Zawsze odkładaliśmy to na później, żeby wykorzystać każdą chwilę na rozmowę, nurtujące Ciebie wątpliwości. Tak, byłeś „niedowiarkiem", ale stawiającym sprawy uczciwie i bardzo starannie argumentując Twoje za i przeciw. I oprócz wspólnej fotografii tego będzie mi brakowało...

A jakim Cię zapamiętam? Dokładnie Takim, jak na tej jedynej fotce, którą posiadam. Z pasją i niewyczerpaną energią opowiadającym o swoich wyprawach, odkryciach, przygodach i z dumą pokazującym swoje „skarby".

Dariusz Garba, Kamp-Lintfort, wrzesień 2013

Trudno dziś pisać o Wojtku Stojaku. **Trudno będzie mówić „BYŁ", a nie „JEST"**. Co o Nim napisać, by nie popaść w banał? O Osobie o niezwykłej charyzmie, inteligencji, nie mieszczącej się w żadnych schematach. O Osobie o niespotykanej wiedzy historycznej, militarnej i krajoznawczej, której wielką miłością był Wrocław i Dolny Śląsk.

Poznałem Wojtka 20 lat temu. Zawsze wspominając ten moment mówiliśmy, że połączył nas Włodek Antkowiak. Podróżowałem wówczas z Włodkiem po Polsce i pewnego dnia zaproponował, byśmy odwiedzili fajnego faceta. Był nim właśnie Wojtek. Od tej pory, każdemu mojemu przejazdowi przez Wrocław towarzyszył pobyt w Strachowicach, u Stojaków. Gdzie nieodmiennie witany byłem – Witaj Dudziaku! Co tam słychać?

Z Wojtkiem nigdy nie było dość rozmowy. Powszechnie było bowiem wiadomo, że w sprawach związanych z II wojną światową i Dolnym Śląskiem, nie ma sobie równych. Miał niespotykaną wiedzę z różnych dziedzin. Logika Jego wywodów i proste zapytanie – a po co by to mieli zrobić? obaliła w pył niejedną historię skarbową. Potrafił w mistrzowski sposób, posługując się swoją inteligencja i wiedzą, przetworzyć historie skarbowe, nadając im przymiot legend albo prawdopodobnych zdarzeń. Ta umiejętność powodowała, że Wojtek był stale wykorzystywany, jako weryfikator historii skarbowych i różnych tajemnic. Posiadał ich też w swej głowie ogromną ilość. Ciągle namawiałem Go do pisania i trochę z tej skarbnicy zostało ujawnione. Dziś żałuję, że to tylko malutka cząstka i więcej już Wojtek nic nie napisze, bo archiwum które posiadał, bez Niego nie ma już swej pełnej wartości.

Wojtek był jednym z niewielu poszukiwaczy skarbów w Polsce, który naprawdę szukał skarbów. Organizował i brał udział w wielu akcjach poszukiwawczych. Tylko część z nich sfilmował i opisał w „Odkrywcy". Często żałowaliśmy, że dysponujemy zbyt małymi środkami, i że zapał poszukiwaczy nie zawsze zmierza w sensownym kierunku, że zbyt często brakuje racjonalnej i logicznej analizy, że nasze Państwo nie wspiera takich działań.

Wiele razy do rana przegadywaliśmy najróżniejsze historie, przeplatając je refleksjami o życiu, ludziach. Bo Wojtek posiadał także niezwykłą filozofię życia. Pełną szacunku dla drugiego człowieka, dla śmierci, przemijania, pozbawioną powszechnego dziś pędu i materializmu. Opartą na prawdziwym patriotyzmie i fascynacji historią. Z biegiem lat nasze rozmowy stawały się co raz mniej skarbowe, a bardziej filozoficzne. W naszych rozmowach na tarasie Jego domu w Strachowicach, coraz więcej było zadumy nad tym, w jaką to dziwną, złą stronę pędzi świat i zachwytu nad pięknem otaczającego nas świata, o co akurat w tym miejscu było łatwo.

Nie sposób nie wspomnieć o roli Wojtka w powstaniu „Odkrywcy". Pomysł założenia gazety oczywiście poddałem Jego ocenie. Pewnie nie wszyscy pamiętają i wiedzą, że Wojtek był głównym bohaterem pierwszego – zerowego numeru. Tak więc „Odkrywca" zaczął się od Niego. Śmiał się potem, że robię z niego gwiazdora, bo jego zdjęcie było także na okładce. Od tego czasu Wojtek stał się stałym komentatorem działań gazety i surowym krytykiem treści. Zawsze jednak podkreślał, że to z troski o jej jakość i dalsze losy. Po długich namowach udało się w końcu nakłonić Wojtka do pisania, a efektem tego było to, że wielu czytelników, łącznie ze mną, lekturę „Odkrywcy" zaczynało właśnie od Jego artykułu.

Bardzo ceniłem sobie przyjaźń Wojtka i zaufanie którym mnie darzył. Dziś łzy mi się cisną i ogarnia żal, że odszedł za szybko, zbyt nagle, że zostało jeszcze tyle nie obgadanych i nie opisanych spraw. Pozostała pustka i cisnąca się do głowy refleksja, że wraz z Jego odejściem kończy się pewna epoka poszukiwania skarbów i odkrywania tajemnic historii. Pełna entuzjazmu, romantyzmu i wolności. To był piękny, niezwykły czas.

Dziękuję Ci Wojtku za to, że byłeś z nami.

Marek Dudziak

Na eksploracyjnym szczycie,
czyli odkrycie depozytu batalionu AK „Giewont"

PIOTR MASZKOWSKI

W tym wypadku szczęście było zaledwie jednym z wielu czynników decydującym o powodzeniu akcji eksploracyjnej. Na ostateczny efekt złożyło się wiele warunków, z których chyba najważniejszym była precyzyjna relacja bezpośredniego świadka ukrycia broni, należącej do oddziału Armii Krajowej działającej na południu Wielkopolski. Oto historia poszukiwań zakończonych pełnym sukcesem…

Gdy w marcu br. w Zbyczynie na pd. Wielkopolski pojawili się na wizji lokalnej przedstawiciele gostyńskiego oddziału Stowarzyszenia „Pomost" (zajmującego się lokalizacją grobów i ekshumacjami szczątków żołnierzy niemieckich) – Paweł Gruszka i Wojtek Kowalczyk – nie przypuszczali, że jej efekt wykroczy poza planowane zlokalizowanie mogiły niemieckich żołnierzy. Przewodnikiem po okolicy i wskazicielem grobu był pan Julian Golec, 82-letni mieszkaniec wsi, który mimo upływu niemal 70. lat od zakończenia wojny, bezbłędnie namierzył poszukiwany grób. Starszy człowiek miał jednak dużo większą wiedzę na temat wydarzeń, jakie rozgrywały się w tej okolicy w czasie II wojny światowej. Od słowa do słowa, przeszedł do opowiadania o aktywności miejscowego oddziału AK, którego członkiem był jego ojciec Józef, a on sam, jako młody chłopak, pełnił w nim funkcję łącznika. Opowieść była niezwykle ciekawa, starszy człowiek widząc zainteresowanie młodych ludzi historią, w pewnym momencie zaczął wspominać, ze szczegółami, pewne zdarzenie sprzed 66 laty, jakie miało miejsce na pobliskim polu…

Lato 1947 roku

Mimo, że od dwóch lat panował już pokój, pamięć o niedawnej wojnie i niemieckiej okupacji wciąż była żywa. Zresztą nie tylko pamięć, bowiem czas nadal był niespokojny. Choć większość ludzi chciała zapomnieć o mrocznej przeszłości i żyć normalnie, wielu nie mogło się pogodzić z komunistycznym widmem, jakie zawisło nad Polską w wyniku jałtańskich ustaleń. Dla wielu członków ruchu oporu walka zbrojna i konspiracja w kraju nie zakończyły się wraz z pokonaniem Niemców. Spora część z nich postanowiła kontynuować działalność przeciwko nowym władzom, które z bezwzględną zaciekłością, przy pomocy monstrualnie rozbudowanych sił bezpieczeństwa rozpoczęły brutalne represje przeciwko faktycznym lub domniemanym członkom antykomunistycznego podziemia niepodległościowego… W tych warunkach posiadanie jakiejkolwiek broni, której po wojnie przecież nie brakowało, groziło aresztowaniem, więzieniem, a często i wyrokiem śmierci. Funkcjonariusze bezpieki poszukiwali jej reagując na najdrobniejszy donos, dlatego też masowo ją ukrywano, w oczekiwaniu na uspokojenie sytuacji, dekując również na czas kiedy będzie na powrót przydatna, choćby na wypadek spodziewanego wówczas wybuchu III wojny światowej…

Noc była ciepła i bezksiężycowa, ciemności ogarnęły nieliczne zabudowania Zbyczyny i okoliczne pola. Na jednym z nich, gdzie wcześniej Józef Golec z synami wydobywał piasek potrzebny do postawienia fundamentów pod niewielką stodołę, wykopany był już sporej wielkości dół. W ciągu dnia nie wzbudzał niczyich podejrzeń, wszyscy wiedzieli, że Józef niedawno zdobył materiał do budowy drewnianej konstrukcji. Od jakiegoś czasu deski i bale składował przy własnej zagrodzie, co było już z daleka widoczne. Była to jednak przykrywka, pod mającą odbyć się tego wieczora

POD OSŁONĄ NOCY załadował na wóz deski z bronią i wywiózł je do miejsca planowanego ukrycia. Wszyscy biorący udział w akcji zostali zaprzysiężeni i zobowiązani do zachowania tajemnicy.

ostatnią już akcję miejscowego oddziału Armii Krajowej.

Józef Golec był bowiem zakonspirowanym członkiem działającego na pograniczu południowej Wielkopolski i Dolnego Śląska II Batalionu AK „Giewont" (Podobwód Syców), dowodzonego od marca 1943 roku przez por. Józefa Młynarza ps. „Farys". Jako jeden z ponad 800 członków organizacji służył w II kompanii plut. Franciszka Mielczarka ps. „Adaś", której terenem działania, oprócz Zbyczyny, były wsie: Gronowice, Trębaczów, Dalbrowice, Miechów, Koza Wielka, Głuszyna, Brzezinki, Smogorzów, Perzów i Domasław. Do końca wojny uniknął szczęśliwie aresztowania przez Gestapo, które na przestrzeni 1943 i 1944 roku niemal doszczętnie rozbiło organizację, w której służył. Gdy wojna się skończyła, nastąpiło rozformowanie jego oddziału, lecz w obliczu nasilających się ze strony władz represji przeciwko żołnierzom

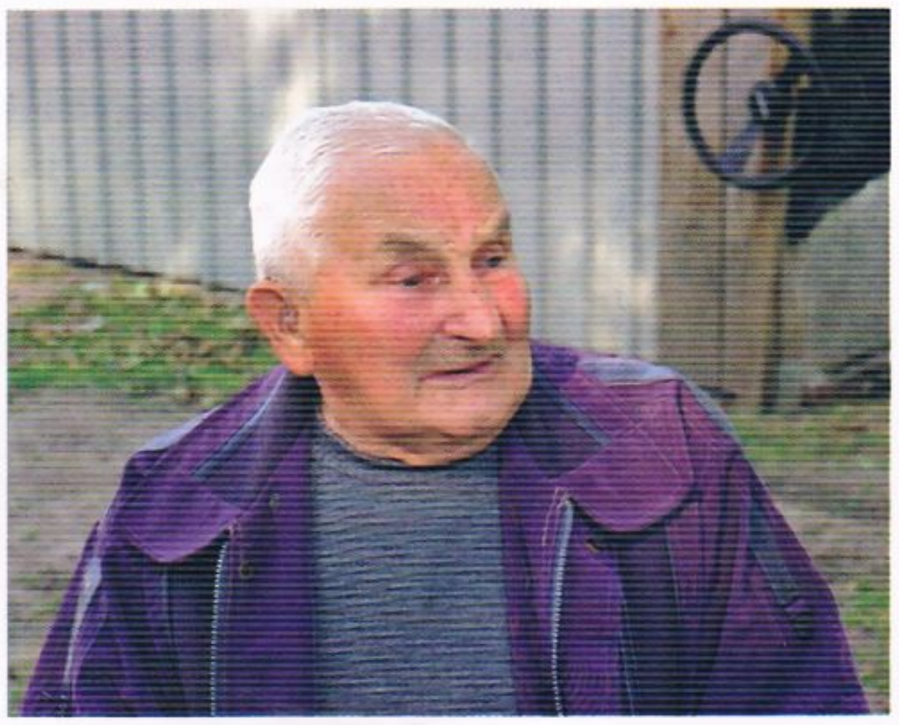

Pan Julian Golec, 82-letni mieszkaniec wsi Zbyczyna. Tuż po wojnie ukrył wraz ojcem broń II kompanii Batalionu Armii Krajowej „Giewont".

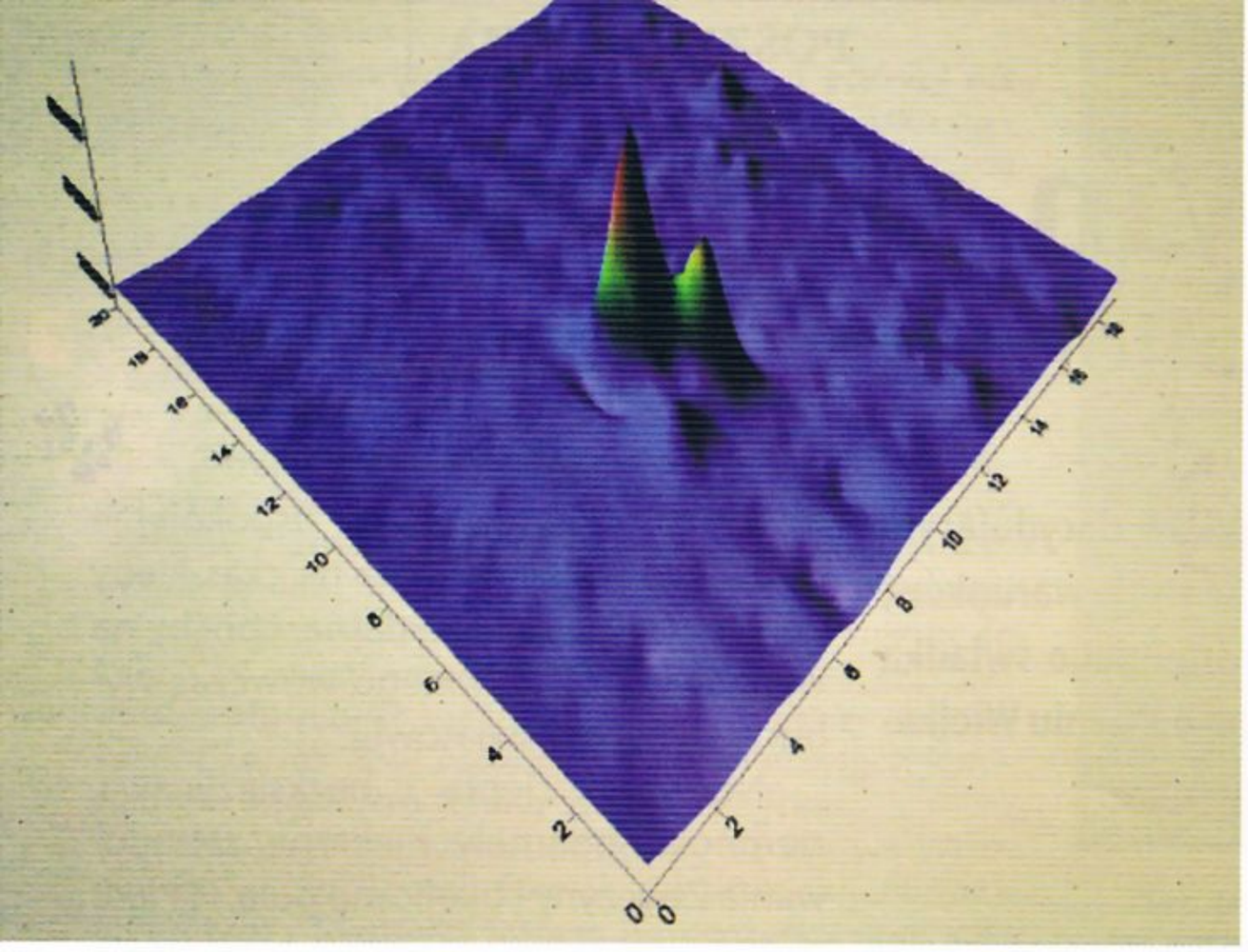

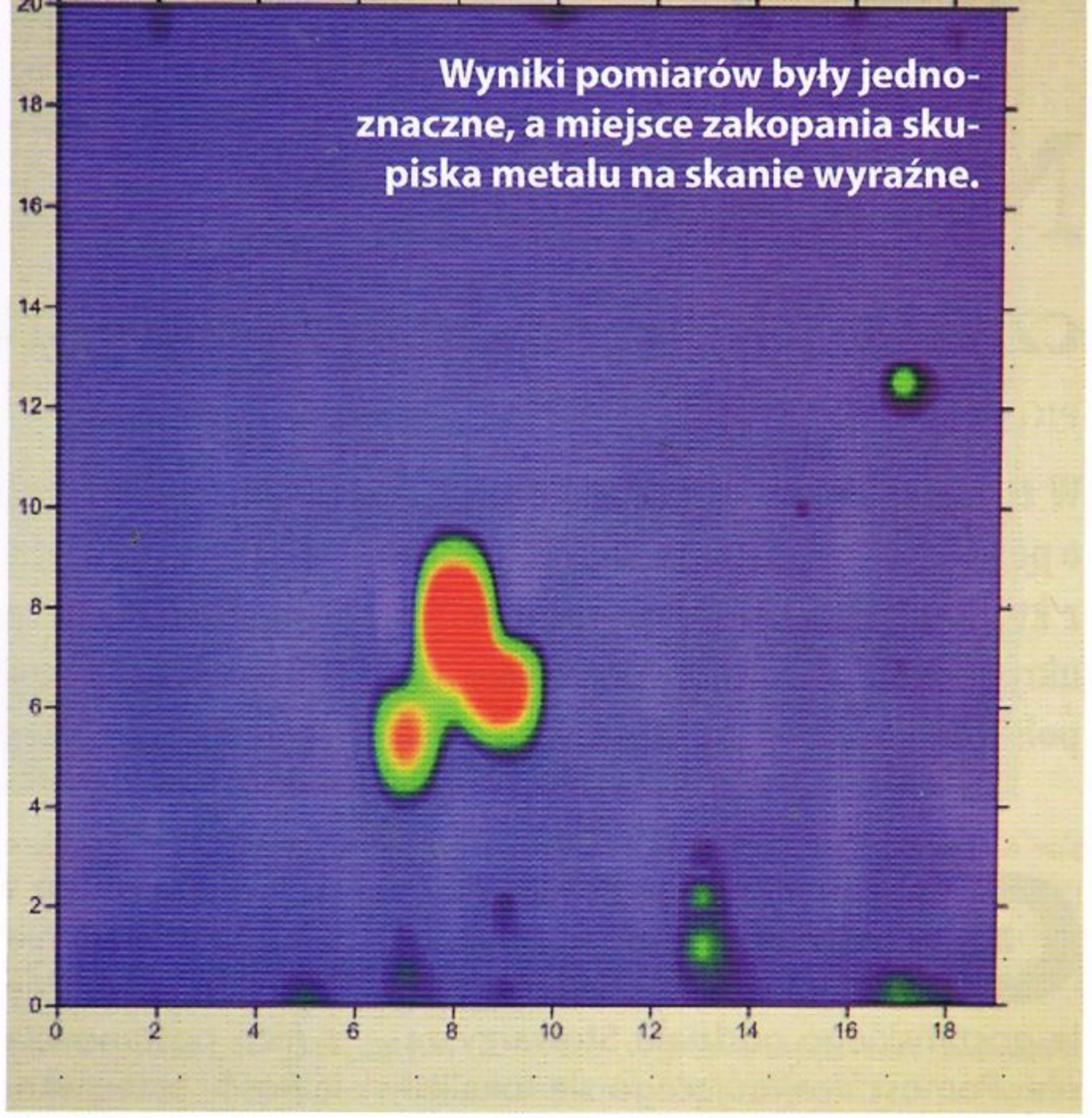

Armii Krajowej, jej członkowie musieli nadal pozostać w konspiracji. Z czasem funkcjonariusze lokalnego UB i MO zaczęli dokonywać – na terenie mniej lub bardziej podejrzanych gospodarstw – rewizji w poszukiwaniu zadekowanej broni. Po oddziale Józefa Golca pozostało kilkanaście sztuk karabinów wraz ze sporym zapasem amunicji. Zabezpieczona od końca wojny i ukryta w sianie w jednej z okolicznych stodół, zaczęła z czasem stanowić coraz większe zagrożenie. Zwłaszcza po tym, jak w domostwie Józefa UB znalazło granaty, a gospodarz cudem uniknął najwyższej kary. Dlatego też korzystając z okazji, broń oddziału ukryta dotychczas w sianie została dyskretnie wywieziona i schowana wśród desek przeznaczonych do budowy szopy. Wkrótce zapadła decyzja, by znaleźć dla niej trwały i bezpieczny schowek.

Tego wieczora Józef poprosił swoich synów o pogłębienie dołu na polu, skąd dotychczas wybierali piasek pod fundament stodoły. Pod osłoną nocy załadował na wóz deski z bronią i wywiózł je do miejsca planowanego ukrycia. Następnie wraz z synami złożyli depozyt, przykryli ziemią i dla niepoznaki zatarli wszelkie ślady wykopu zajeżdżając końmi ubitą ziemię. Wszyscy biorący udział w akcji zostali zaprzysiężeni i zobowiązani do zachowania tajemnicy. Mijały lata, później całe dekady wypełnione codziennością i problemami. III wojna światowa nie wybuchła, władza komunistyczna bezwzględnie rozprawiła się z podziemiem niepodległościowym, sytuacja z wolna się stabilizowała. Do dzisiaj odeszli niemal wszyscy, którzy wiedzieli o ukryciu broni.

Pierwszego wykopu dokonał Pan Julian Golec...

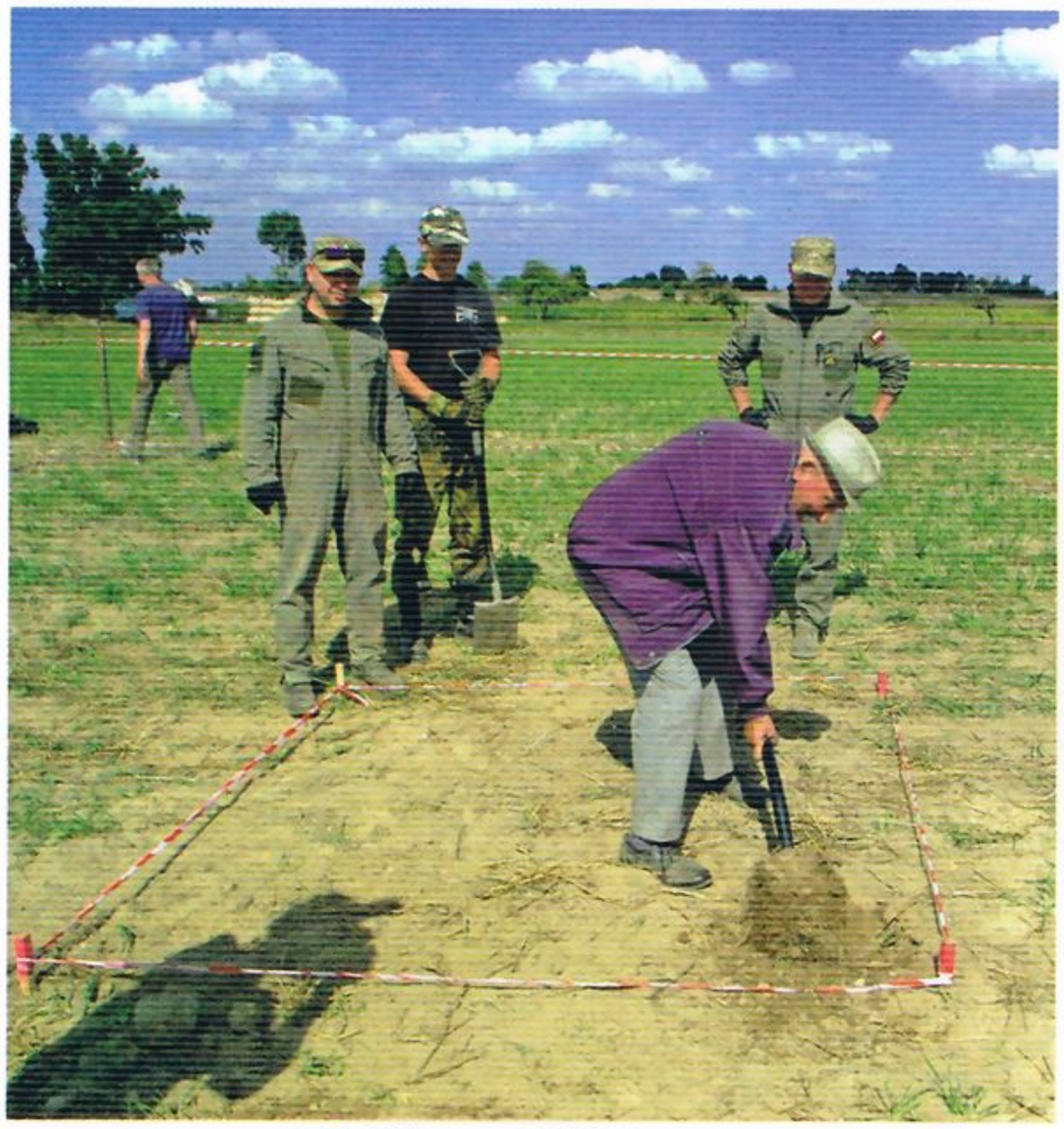

... następnie wykop systematycznie się powiększał.
Na górym zdjęciu, po prawej, arch. P. Konczewski nadzorujący prace. Na dolnym zdjęciu obserwatorzy: od lewej – p. Julian, p. Danuta Gosek, sołtys wsi Zbyczyna i p. Bożena Henczyca, wójt gminy Perzów.

W pewnym momencie udało się natrafić na pierwsze znalezisko...

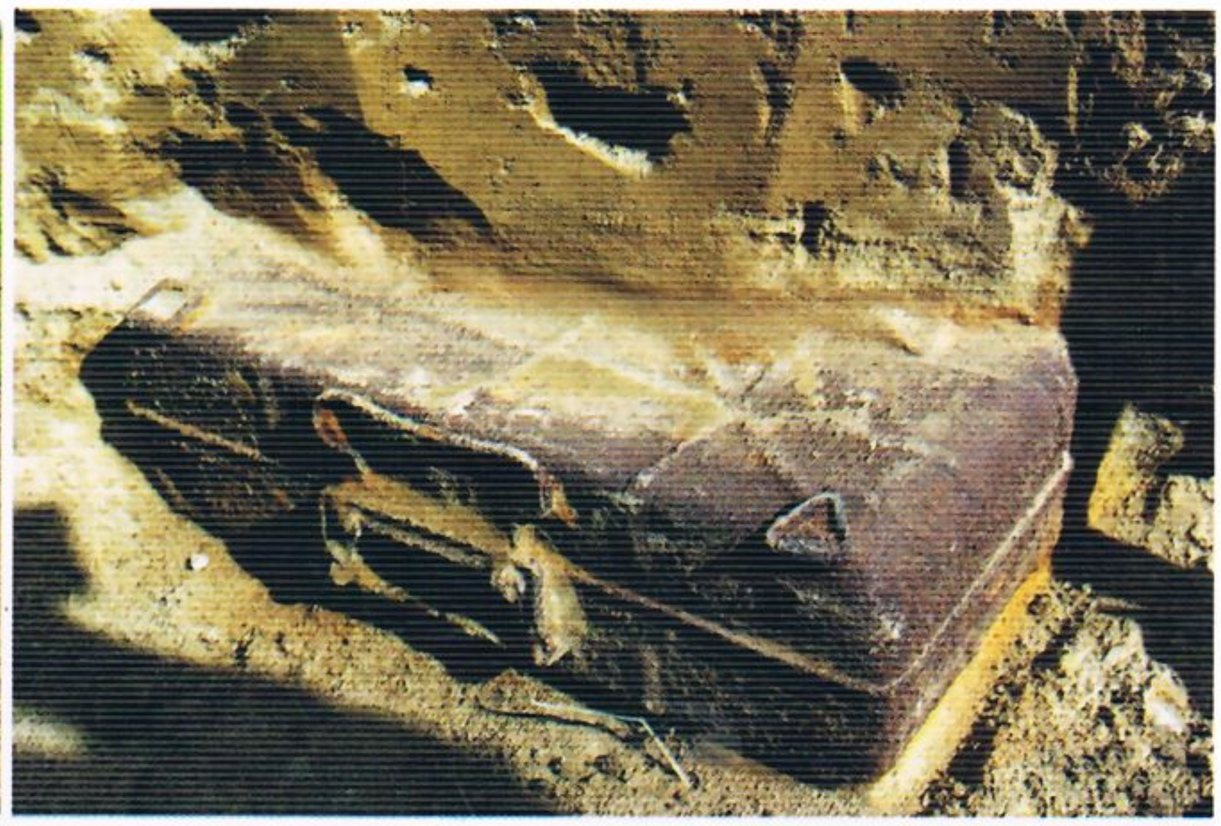

... a była nim skrzynka amunicyjna.

68 lat później

Zakopana broń przeleżała więc w świadomym zapomnieniu aż do marca 2013 roku, kiedy Pan Julian Golec, syn Józefa z II kompanii II Batalionu „Giewont", czując się zwolniony z przyrzeczenia danego niemal 70 lat wcześniej, opowiedział powyższą historię członkom Stowarzyszenia „Pomost". W związku z tym, że działalność Stowarzyszenia nie przewiduje poszukiwań ukrytych depozytów, sprawa została przekazana do kontynuacji poznańskiemu Stowarzyszeniu „Perkun", które z kolei ściśle współpracuje z Grupą Eksploracyjną Miesięcznika „Odkrywca". Tym samym wspólnymi siłami rozpoczęła się próba weryfikacji ujawnionego przez świadka tropu.

W maju br. GEMO przeprowadziła pierwsze badania, których wyniki okazały się niezwykle obiecujące. Aparatura wykazała spore skupisko metalu, pasujące do opisu zakopanego przez Pana Juliana depozytu. Chcąc jednak podjąć się jego wydobycia, należało przede wszystkim dopełnić wszelkich formalności związanych z prowadzeniem tego typu prac. W ciągu kolejnych miesięcy uzyskano odpowiednie zezwolenia: Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, zgodę właściciela terenu oraz deklarację nadzoru archeologicznego – towarzyszącego nam już wielokrotnie przy tego typu pracach – archeologa Pawła Konczewskiego. Placówką muzealną, która zdecydowała się przyjąć do swoich zbiorów poszukiwany depozyt jest Muzeum Uzbrojenia, będące oddziałem Wielkopolskiego Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu. Niebagatelnym wsparciem okazała się również przychylność miejscowych władz gminnych.

Nadszedł wreszcie długo wyczekiwany przez wszystkich zainteresowanych moment. Najbardziej chyba przez samego Pana Juliana, dla którego przedsięwzięte poszukiwania były również swoistą podróżą sentymentalną w czasie. Mógł się bowiem cofnąć o kilkadziesiąt lat do swojej młodości, a to wartość sama w sobie.

W czwartek, 5 września br. rozpoczęła się akcja. Pierwszym jej etapem było oznaczenie wytypowanego fragmentu pola i powtórne przebadanie go będącym w dyspozycji Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca" detektorem firmy Lorenz. Gdy, dzięki uzyskanemu sygnałowi udało się potwierdzić skupisko metalu, wyznaczony został właściwy obrys przyszłego wykopu. Pierwszy szpadel symbolicznie i honorowo zagłębił w ziemię Pan Julian. Wkrótce otwór systematycznie zaczął się powiększać. W pewnym momencie dał się słyszeć suchy odgłos uderzenia łopaty o metal. Po ostrożnym odsłonięciu i oczyszczeniu znaleziska z piasku okazało się, że natrafiono na skrzynkę amunicyjną. Wkrótce prace zostały wznowione, gdy w przeciwległym końcu wykopu pojawiły się fragmenty skórzanego pasa nośnego, elementy sprzączek i kawał-

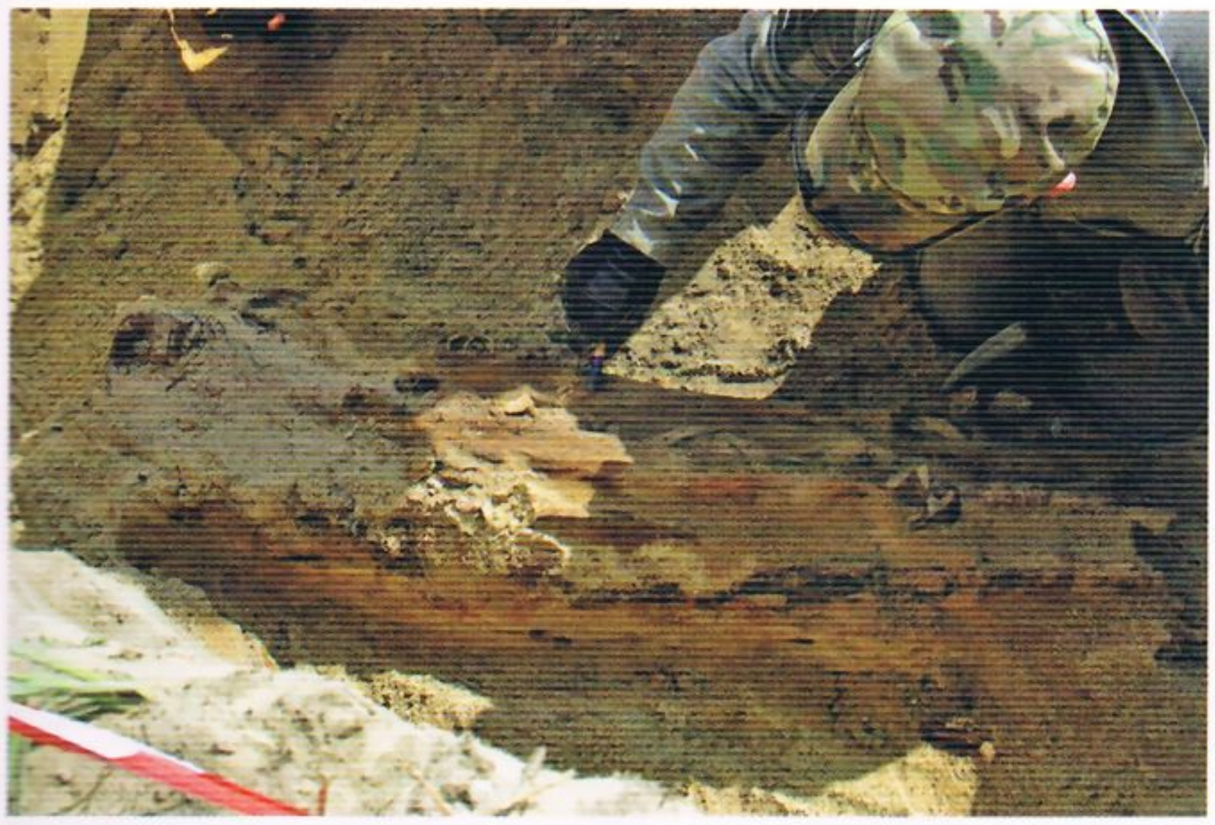

W dalszej kolejności pojawiły się zarysy broni...

... które ostrożnie odsłania arch. P. Konczewski.

Skrzynka zawierała kilkaset sztuk amunicji 7,92 mm w łódkach oraz zespolonych w taśmie.

Na początku zdawało się, że są 3 sztuki, następnie 6, ostatecznie wyszło aż 11 karabinów.

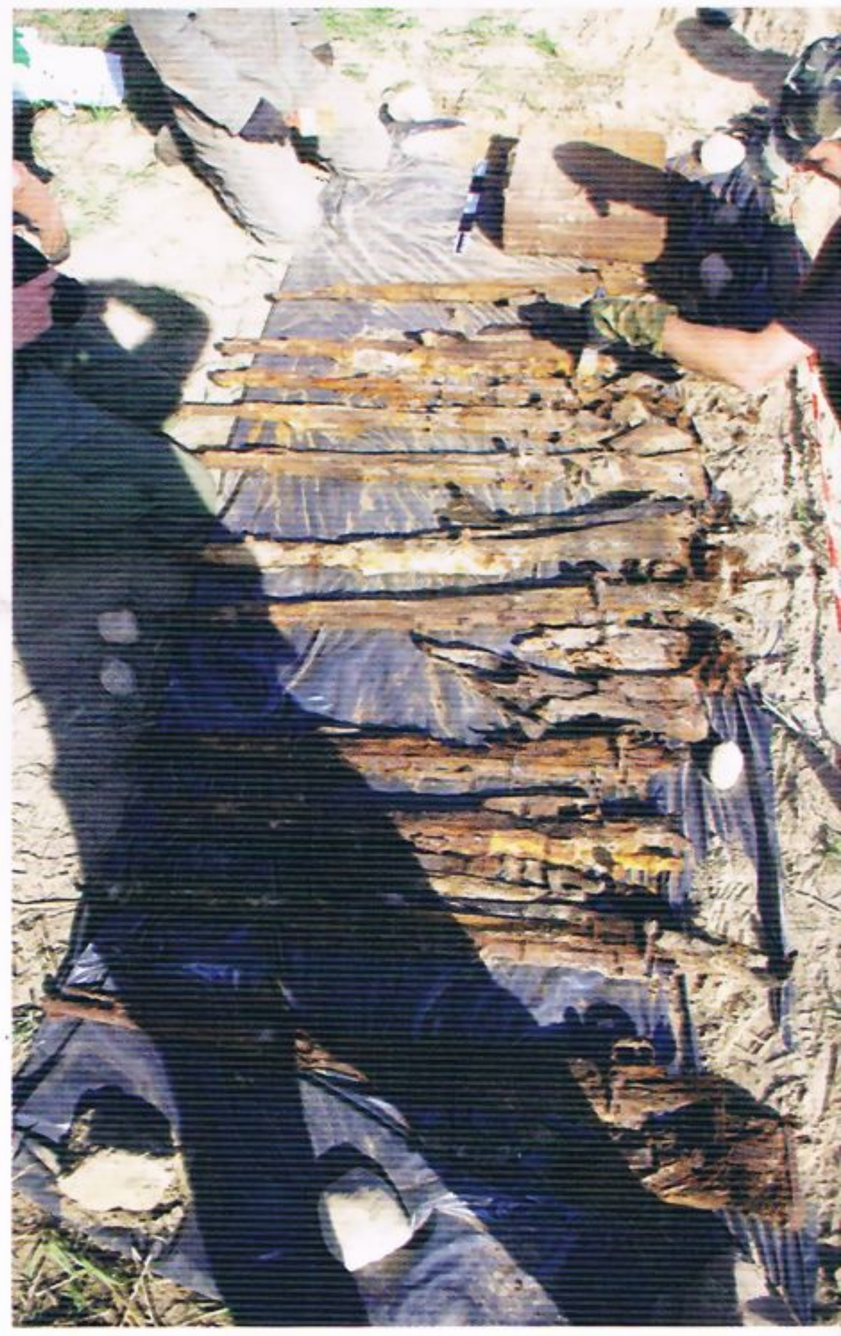

Było to 7 sztuk Mauserów 98, 2 szt. Mausera 98K oraz 2 karabinki Carcano.

ki spróchniałej sklejki. Był to znak, aby do akcji wkroczył archeolog. Rozpoczął się najbardziej mozolny etap prac. Powoli w ubitym gruncie zaczął wyłaniać się charakterystyczny zarys karabinu, z początku jednego, chwilę później już trzech. Ostatecznie wyszło ich 11, w tym: 7 Mauserów 98, 2 Mausery 98K i dwie sztuki włoskiego karabinu Carcano. Stan broni niestety nie był najlepszy, gros elementów drewnianych, a więc kolb i łoży spróchniało, zaś rdza pokrywała większość metalowych części, chociaż niektóre zamki zaskakiwały niemal fabryczną oksydą. Widoczne były również fragmenty worków jutowych, w które owinięta była broń, lecz nie przetrwały one próby czasu. Symbolicznie, pod jednym z karabinów odnaleziony został kłos zboża… sprzed 70 lat, co jednocześnie było potwierdzeniem kolejnego elementu relacji Pana Juliana o wcześniejszym przechowywaniu broni w stodole. Następnie nadszedł czas, by wydobyć skrzynkę amunicyjną na powierzchnię. Jej otwarcie nie było wcale łatwe. W końcu po kilku próbach udało się rozruszać jej poszczególne części i oczom zebranych ukazało się kilkaset sztuk amunicji kal. 7,92 mm – zarówno w taśmach, jak i łódkach amunicyjnych.

Całość akcji, ułożenie depozytu w wykopie, jak i przebieg wydobycia, zostały udokumentowane przez nadzorującego prace archeologa Pawła Konczewskiego i w formie dokumentacji przekazane do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Następnie Arkadiusz Macie-

Broń była znacznie skorodowana, jednak pewne jej elementy zachowały się w zaskakująco dobrym stanie.

jewski, kierownik Muzeum Uzbrojenia w Poznaniu, przejął oficjalnie całość znaleziska, zobowiązując się do jego konserwacji i włączenia do zbiorów podległej sobie placówki. Zanim jednak depozyt zostanie wyeksponowany, minie trochę czasu. Broń wymaga długotrwałych zabiegów renowacyjno-konserwacyjnych, lecz niewątpliwie znacznie wzbogaci zasoby Muzeum. Zwłaszcza, że kontekst znaleziska jest określony, historia jego pochodzenia zidentyfikowana i bezpośrednio związana z Wielkopolską.

Niewątpliwie akcja, jak i jej efekt w postaci odnalezionego depozytu broni, należą do jednych z najciekawszych odkryć eksploracyjnych tego roku. Warto odnotować również, że niezwykle rzadko zdarza się bezpośredni świadek, który jest w stanie po niemal 70 latach bezbłędnie wskazać miejsce ukrycia znajdujące się prawie pośrodku sporego pola. Pan Julian dokonał tego bezbłędnie. Reszta, to efekt gry zespołowej, doświadczenia eksploracyjnego, doskonałego sprzętu i organizacji samej akcji, która zakończyła się powodzeniem.

Pan Julian Golec ogląda wydobytą po 67 latach broń, którą zakopał wraz z ojcem tuż po wojnie.

Przeprowadzone działania pokazały również, że mimo bezlitosnego upływu czasu bezwzględnie zacierającego ślady przeszłości, odkrycia tego typu są nadal możliwe. Co więcej, nie zawsze muszą być dziełem przypadku, czy przysłowiowego szczęścia, lecz, jak w opisanej historii, rezultatem zaawansowanych i metodycznych działań. Zatem oby więcej takich wyzwań i efektów czego sobie i Państwu na przyszłość życzymy.

ZDJĘCIA: ARCH. REDAKCJI

Uczestnicy i obserwatorzy akcji w komplecie.

REKLAMA

Artykuł, zredagowany na potrzeby miesięcznika „Odkrywca", jest fragmentem książki Szymona Wrzesińskiego pt. „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku", która ukaże się na rynku wydawniczym w listopadzie br., nakładem Agencji Wydawniczej CB Andrzej Zasieczny.

Powojenne losy skarbów z Kamiennej Góry

SZYMON WRZESIŃSKI

9 maja 1945 roku do miasta wkroczyły pierwsze oddziały czerwonoarmistów, szybko zajmując kolejne ulice. Dziesięć dni później na rynku zjawiła się 16-osobowa grupa operacyjna na czele z Tadeuszem Kalamanem, jako Pełnomocnikiem Rządu na obwód XXVIII. Przybyłe polskie władze miały jednak spory problem. Okazało się, że Rosjanie zabezpieczyli wszystkie większe fabryki, magazyny i majątki ziemskie, ustanawiając nad nimi tymczasową administrację wojskową.

Regionaliści i pasjonaci

Idea stworzenia muzeum w Landeshut (Kamienna Góra) narodziła się w połowie XVIII wieku, kiedy w osobnym pomieszczeniu przy zborze ewangelickim zaczęto gromadzić stare rękopisy, a następnie inne zabytki kultury oraz zbiory przyrodnicze. Stale rosnąca ilość eksponatów pobudziła w latach 20. XX stulecia do działania grupę mieszkańców, którzy poczuli potrzebę utrwalenia historii o regionie w oddzielnym (czytaj: świeckim) budynku. Zwłaszcza, że takowe placówki historyczne funkcjonowały w tym czasie niemal w każdym sudeckim miasteczku. Projekt musiał jednak poczekać aż do 600. rocznicy pierwszego zapisu kronikarskiego, odnoszącego się bezpośrednio do istniejącej tu wówczas osady targowej. Nieoficjalne otwarcie Muzeum Regionalnego nastąpiło 23 września 1932 roku. Opiekę nad nim sprawowało specjalne Towarzystwo, które powołało komisję ekspertów, m.in. profesorowie: Arndt, Gothan i Berg z Berlina, prof. Maetschke i dr Peukert z ówczesnego Breslau (Wrocławia) oraz Kruber z Jeleniej Góry (niem. Hirschberg) i Nikolaus von Lutterotti – archiwista i historyk sztuki z Krzeszowa (niem. Grüssau). Ich zadaniem było gromadzenie oraz naukowe opracowanie kolejnych eksponatów. Prace szły wielotorowo, albowiem planowano stworzyć trzy działy muzeum: przyrodniczy, etnograficzny i historyczny.

Mimo wielkiego zapału, szybko okazało się, że brak odpowiednich funduszy może przekreślić ambitne plany. Wspomina o tym treść listu komisji do spraw Muzeum Regionalnego w Landeshut z dnia 12 listopada 1932 roku, w którym ubolewa się, iż władze miejskie nie są w stanie „wesprzeć dobrze zaczętego tworu". Jednocześnie poproszono magistrat o znalezienie wsparcia finansowego dla tego przedsięwzięcia. Zaznaczono, że „finansowa zapaść miasta nie pozwala na tego rodzaju dofinansowania". Jedynym w zasadzie gestem dobrej woli ze strony samorządowców, było nieodpłatne przekazanie pomieszczeń w budynku dawnej poczty. Trudna sytuacja była odbiciem kilkuletniego zastoju gospodarczego miasta. Tysiące osób w najbliższej okolicy było pozbawionych możliwości zarobkowania i pobierało z miejskiej kasy zasiłki dla bezrobotnych. Nawet areszt policyjny przekształcono na azyl dla kilkuset bezdomnych, którzy stracili pracę w poprzednich latach podczas tzw. wielkiego kryzysu. Wśród robotników znaleźć można było również rolników, którzy po nieurodzaju i chorobie zbóż, nieraz tracili swe zadłużone gospodarstwa. Grupę bezrobotnych powiększali także górnicy z zatopionej, największej w powiecie kopalni węgla kamiennego (1931).

Spowolnienie prac i niepewna sytuacja polityczna zahamowały nieco podjęte działania. Dopiero osobiste zaangażowanie regionalistów, a zwłaszcza starosty powiatu kamiennogórskiego dr. Fibranza, pomogły zwieńczyć dzieło. Uroczyste otwarcie Muzeum Regionalnego odbyło się w czerwcu 1939 roku. Pierwszym kierownikiem i zarazem współzałożycielem placówki był miejscowy historyk, Ernst Kunick. Podczas otwarcia opiekunowie kolejnych działów prezentowali zgromadzone kolekcje i snuli przed gośćmi plany dalszego rozwoju. Prorocze okazały się słowa Kurta Frahne, który w swoim przemówieniu podkreślił konieczność gromadzenia eksponatów związanych z historią tkactwa i włókiennictwa w powiecie kamiennogórskim: *„W perspektywie włókiennictwo będzie wiodącym działem tego muzeum i pomnikiem najważniejszej dziedziny miejscowego życia gospodarczego i wysokiej jakości rzemiosła, z którego Landeshut słynie od wieków".* Od tej chwili, aż do zamknięcia muzeum pod koniec wojny, odwiedzającym przypominano, że od połowy XVII stulecia Kamienna Góra, obok Jeleniej Góry, była najprężniej rozwiniętym ośrodkiem tkactwa, a następnie lniar-

Budynek Muzeum w Kamiennej Górze ok. 1965 r. z podpisem na elewacji „TUR" – zamiast MUZEUM. Reprodukcja. Fot. Cz. Thullie.

skiego przemysłu tekstylnego. Wytwarzane w okolicy produkty słynęły z wysokiej jakości i eksportowano je do wielu krajów świata.

Trzy skrzynie z obrazami

Pierwsze i nader cenne eksponaty z muzeum, kościołów i prywatnych posesji zabrali w maju 1945 roku żołnierze radzieccy. Po nich przez kilka miesięcy grabieży dokonywali szabrownicy. Po unormowaniu się polskiej administracji i ograniczeniu dalszej kradzieży na masową skalę, 30 listopada do Referatu Kultury i Sztuki w Kamiennej Górze dotarł dokument profesora Marcelego Łabędzia, udzielający zgody na dalszą wywózkę kamiennogórskich skarbów: *„W związku z pismem Ministerstwa Kultury i Sztuki przesyła się do wiadomości, że obecnie kierownikami akcji zabezpieczania i zwożenia dzieł sztuki i zbiorów muzealnych na terenie Dolnego Śląska są wyłącznie: dr Kieszkowski Witold zastępca Generalnego Konserwatora, dr Dziekoński Tadeusz Ministerialny Inspektor Muzeów, mgr Zanoziński Kazimierz".* Jednocześnie poinformowano, że do miasta może przyjechać także jeden z dziewięciu współpracowników wyżej wymienionych. W dalszej części zaznaczono wyraźnie: *„Wymienionym po wylegitymowaniu, należy wydać zbiory za odpowiednim pokwitowaniem".*

Kilka tygodni później, działając z nadrzędnym poleceniem, kamiennogórski referat wysyłał pisma do zarządów kolejnych gmin polecające wyszukanie cennych przedmiotów i miejsc. Niestety, najczęściej do siedziby starostwa trafiały podobnie brzmiące pisma: *„W odpowiedzi na pismo z dnia 22 stycznia donosimy, że u nas nie ma żadnych dzieł sztuki itp."* – pisali przedstawiciele władzy m.in. w Błażkowej. Czy faktycznie sprawdzono, co kryją pomieszczenia dworu i kapliczki wzniesionych pod koniec XIX wieku? Mało prawdopodobne. W podobnym tonie brzmiała odpowiedź wójta i sekretarza Gminy Leszczyniec: *„Donosimy, że na terenie tutejszej gminy nie ma żadnych dzieł sztuki o wartości zabytkowej lub artystycznej".* Jak również wójta Gminy Marciszów: *„W związku z pismem Starostwa Powiatowego w sprawie zgłoszenia dzieł sztuki, wyjaśniamy, że na terenie tutejszej gminy nie posiadamy żadnych wartościowych dzieł sztuki".* Trudno uwierzyć, że przedstawiciel lokalnej władzy nie widział gotyckiego i barokowego wyposażenia, które przetrwało w kościele cmentarnym. Szereg cennych przedmiotów znajdowało się również w świątyni ewangelickiej, przejętej po wojnie przez katolików.

Marazm ówczesnych przedstawicieli władzy był porażający. Bardzo często nawet nie próbowano zadać sobie większego trudu odnalezienia zabytków, zarówno ruchomych, jak i nieruchomych. Burmistrz Chełmska Śląskiego wraz ze swoim sekretarzem w piśmie-odpowiedzi butnie mijali się z prawdą: *„Nie zauważa się na terenie tutejszej gminy żadnych zamków, kościołów, pomników itp. budowli, które należałoby otoczyć specjalną opieką".* Tymczasem w miejscowości tej znajdowały się m.in.: ratusz, kościół katolicki, zbór ewangelicki, barokowa plebania, renesansowy budynek szkoły parafialnej, kilkusetletnie kamienice i rozmaite pomniki. Ponadto zachowały się tutaj jedyne w Polsce Domy Tkaczy Śląskich, wzniesione w XVIII wieku!

Mimo niechęci ze strony wielu urzędników oraz zwykłych mieszkańców, co pewien czas natrafiano na doniesienia o skarbach ukrytych w tym lub innym miejscu. 19 marca 1946 r. na tymczasowe biurko zastępcy Generalnego Konserwatora Zabytków w muzeum w Jeleniej Górze trafił niespodziewany dokument kamiennogórskiego referenta z Wydziału Kultury i Sztuki: *„Komunikuję, że w budynku dawnego »Landratsamtu«, obecnie zajętego przez Armię Czerwoną znajdowały się czasowo trzy skrzynie obrazów, które jednak w jesieni 1944 roku zostały z powrotem zabrane do Dessau. W sprawie tej przesłuchiwano Niemców zatrudnionych w dawnym »Landratsamcie« oraz byłego Komendanta Wojennego Armii Czerwonej".* Całą akcja została zainicjowana kilka dni wcześniej przez Witolda Kieszkowskiego, który w odręcznej notatce prosił o zajęcie się tą sprawą: *„W urzędowych wykazach poniemieckich odnalazłem wiadomość, że w Kamiennej Górze w budynku niemieckiego zarządu powiatowego zdeponowane zostało Anhaltskie Muzeum z Dessau. Proszę o wyczerpujące zbadanie tej sprawy, przesłuchanie Niemców, którzy mogliby udzielić potrzebnych informacji i nadesłanie mi wyczerpującego sprawozdania w terminie do dnia 22 marca 1946 roku* [na adres] *Jelenia Góra, Muzeum im. Jana Matejki, na moje nazwisko".* Nie wiadomo, jak zakończyły się poszukiwania, albowiem w Archiwum Państwowym brakuje wspomnianego sprawozdania. Najprawdopodobniej zostało napisane, lecz ślad po nim zaginął. Czy zostało zniszczone, bądź skradzione nim przeniesiono dokumentację do jeleniogórskiego oddziału?

Budynek Muzeum w Kamiennej Górze, stan obecny. Fot. Sebastian Borecki.

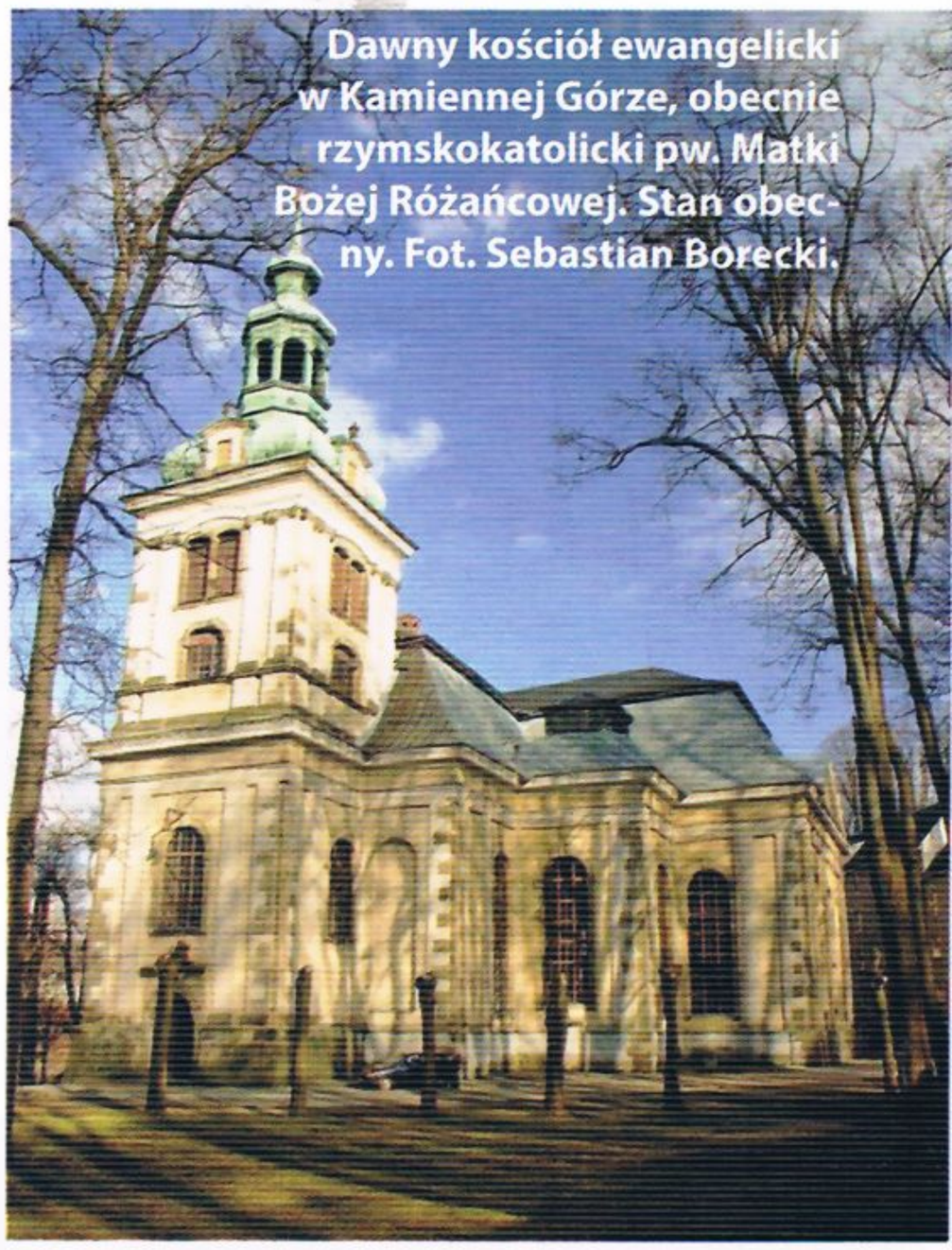

Dawny kościół ewangelicki w Kamiennej Górze, obecnie rzymskokatolicki pw. Matki Bożej Różańcowej. Stan obecny. Fot. Sebastian Borecki.

Zapomniane muzeum w kościele

19 marca 1946 r. do składnicy w Muzeum im. Jana Matejki w Jeleniej Górze dostarczono lakoniczną wzmiankę oraz drugi dokument o znalezieniu nowego

„skarbca": *„Przesyłam odpis meldunku wysłanego do* [władz] *Województwa o innym muzeum odnalezionym w Kamiennej Górze"* – pisał podekscytowany pracownik Wydziału Kultury i Sztuki. Kilka miesięcy wyczekiwania na decyzje władz wymusiło podjęcie kreatywnych działań. Stąd też 20 listopada do poniemieckich składnic muzealnych udały się osoby cieszące się lokalnym zaufaniem, które obiecały pomoc: *„Na zaproszenie referentki Wydziału Kultury i Sztuki obejrzeliśmy dwa dawne niemieckie muzea, jedne w Rynku, drugie w kościele ewangelickim. Muzeum w Rynku jest wyraźnie zdewastowane, w kościele ewangelickim jest w stanie lepszym, ale i tu wiele eksponatów brakuje. W sumie jednak muzea te zawierają dużo wartościowych eksponatów nadających się do zorganizowania* [jednego] *muzeum. Byłoby najlepiej z obydwu wyłączyć bibliotekę i stworzyć z niej osobny dział przy bibliotece miejskiej. Resztę eksponatów zgromadzić w jednym*

Ruiny zamku Grodztwo – Kreppelhof – w Kamiennej Górze. Stan obecny. Fot. Sebastian Borecki.

lokalu na Rynku i zorganizować [nowe] *muzeum. Wydaje się nam, że zarząd i organizacja tego muzeum leży w kompetencji Zarządu Miejskiego w Kamiennej Górze. Zanim jednak ta organizacja się rozpocznie, jest rzeczą konieczną natychmiast zabezpieczyć obydwa muzea, przez zaopatrzenie ich w nowe zamki i złożenie ich w pewnych rękach. Prosimy Obywatela Starostę o wydanie odpowiednich zarządzeń. Tymczasowego nadzoru nad muzeum gotów jest się podjąć Obywatel Makowicz, profesor Gimnazjum"*. Wspólnie sporządzony dokument podpisali: dyrektor Jan Radomski, Makowicz Gabriel i niejaki Rudomino. Kim był ten ostatni? Najprawdopodobniej chodziło o przedwojennego nauczyciela Stanisława Rudomina-Dusiatkę, który od marca do sierpnia 1945 roku pracował w Starostwie Powiatowym w Bytomiu na stanowisku urzędnika „VIII stopnia służbowego". Po przeprowadzce do

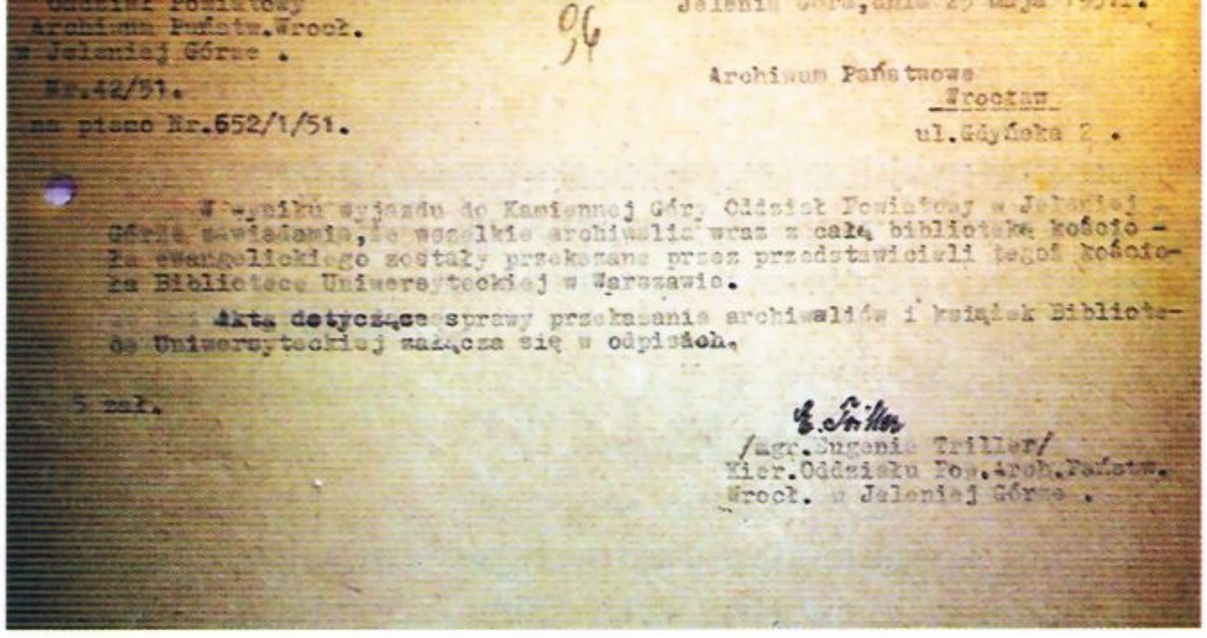

Archiwum Państwowe
Wrocław
ul. Gdyńska 2 .

W wyniku wyjazdu do Kamiennej Gór. Oddział Powiatowy w Jeleniej Górze zawiadamia, że wszelkie archiwalia wraz z całą biblioteką kościoła ewangelickiego zostały przekazane przez przedstawicieli tegoż kościoła Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie.

Akta dotyczące sprawy przekazania archiwaliów i książek Biblioteki Uniwersyteckiej znajdują się w odpisach.

5 zał.

/mgr. Eugenia Triller/
Kier. Oddziału Pow. Arch. Państw.
Wrocł. w Jeleniej Górze .

Pismo Eugenii Triller (z 25 V 1951 r.) informujące o przekazaniu przez przedstawicieli kościoła ewangelickiego w Kamiennej Górze cennych woluminów do Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Ze zb. Archiwum Państwowego O/Jelenia Góra.

Kamiennej Góry, gdzie zamieszkała jego siostra Janina, od września zaczął współtworzyć szkolnictwo zawodowe dla młodzieży i dorosłych. Mając wieloletni dorobek nauczycielski, bardzo szybko, bo już 1 października, objął stanowisko podinspektora do spraw Oświaty i Kultury dla Dorosłych. Zainteresowanie „kamiennogórskimi skarbami" nie powinno dziwić – zwłaszcza w kontekście faktu, że Rudomina był jednym z członków komisji, który rewindykował poniemieckie księgozbiory ukryte w okresie II wojny światowej w Krzeszowie. Trudno ocenić, jakie eksponaty zaginęły w kolejnych latach, a jakie zostały przeniesione ze świątyni ewangelickiej do muzeum w Rynku. Ogromne braki w dokumentacji budzą szereg wątpliwości o prawidłowe funkcjonowanie i zabezpieczenie pozostawionych dzieł sztuki oraz archiwaliów. Zwłaszcza w kontekście wydarzeń, które miały miejsce dopiero 5 lat po „odnalezieniu" kościelnego muzeum!

Wiosną 1951 roku wrocławskie Archiwum Państwowe, tydzień po otrzymaniu ważnej informacji o tajemniczych woluminach, wysłało do podległej placówki kilka wskazówek do podjęcia natychmiastowych działań: *„Nawiązując do pisma Rejonowego Urzędu Likwidacyjnego w Wałbrzychu z dniem 12 maja, w którym Urząd Likwidacyjny donosi, iż w bibliotece kościoła ewangelickiego w Kamiennej Górze wykryto nieznane bliżej rękopisy, Archiwum Państwowe poleca Oddziałowi w Jeleniej Górze sprawdzić, jakie archiwalia znajdują się w ww. bibliotece"*. Po odczytaniu dokumentu Eugenia Triller udała się odszukać archiwalia, lecz wielodniowa zwłoka przyniosła już swoje skutki: *„W wyniku wyjazdu do Kamiennej Góry Oddział Powiatowy w Jeleniej Górze zawiadamia, że wszelkie archiwalia wraz z całą biblioteką kościoła ewangelickiego zostały przekazane przez przedstawicieli tegoż kościoła Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie"* – pisała kierowniczka jeleniogórskiego oddziału Archiwum. Najprawdopodobniej cenne zbiory zabrał do stolicy dr Michał Ambros, który w tym okresie w okolicach Jeleniej Góry poszukiwał wartościowych woluminów celem sprowadzenia ich do Biblioteki Uniwersyteckiej.

Kolejne poniemieckie skrytki

Wydawałoby się, że to koniec historii o znaleziskach w Kamiennej Górze. Tymczasem majowy wyjazd służbowy Eugenii Triller do Kamiennej Góry miał jeszcze jeden, nieznany dotąd epizod: *„Według informacji (…) księgi i archiwalia znajdujące się w Zamku Kamiennej Góry wraz z eksponatami muzealnymi, zbroją i monetami zostały oddane przez* [tutejszy] *Referat Kultury pod opiekę Milicji. Prawdziwości ww. informacji nie zdołano sprawdzić z powodu braku czasu"* – tłumaczyła się pod koniec maja jelenio-

Kościół ewangelicki w Kamiennej Górze w latach powojennych. Reprodukcja. Fot. J. Sarnecki.

górska urzędniczka. Nie wiadomo, czym była tak bardzo zajęta, skoro książki były już w Warszawie, a archiwaliów najwyraźniej nie szukała, skoro sugerowała, że także zostały wywiezione do stolicy. Dziwić może również zachowanie pracowników kamiennogórskiego starostwa, którzy zamiast zasilić cennymi zbiorami własne muzeum, przekazali je do innej placówki. Niewykluczone, że zostali do tego zmuszeni. Przyczyn tej zaskakującej decyzji jednak nie znamy.

Kolejna historia miała miejsce na początku czerwca, kiedy do wrocławskiego Archiwum dotarła wiadomość, że w budynkach Sądu Powiatowego oraz Prezydium Miejskiej Rady Narodowej znaleziono rozmaite dokumenty. Efektu można się było spodziewać; dyrektor dr Michał Wąsowicz niemal natychmiast wysłał do podległej mu placówki ważny dokument: *„Archiwum Państwowe poleca udać się do Kamiennej Góry w celu zabezpieczenia archiwaliów poniemieckich oraz ewentualnego ich przewiezienia do Państwowego Archiwum Powiatowego w Jeleniej Górze"*. Kierowniczce nadbobrzańskiego oddziału jednak się nie śpieszyło. Jej wyjazd nastąpił bowiem 26 czerwca, dopiero po przyjeździe jednego z wrocławskich pracowników Archiwum. Po dotarciu na miejsce, Eugenia Triller nie wykonała zadania do końca, pozostawiając archiwalia w niezbyt odpowiednim miejscu: *„Oddział Powiatowy w Jeleniej Górze przesyła* [w załączniku] *dowód zabezpieczenia akt poniemieckich w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Kamiennej Górze"* – czytamy lakoniczne sprawozdanie. Znacznie ciekawsze były informacje zawarte we wspomnianym załączniku, według którego na strychu władz miejskich zdeponowano dokumenty z papieru i pergaminu, sięgające XVII wieku! Obok nich znajdowały się dokumenty podpisane, jako *„Verwaltung – magistrat – Landeshut"*. Kolejny załącznik wspominał o tym, co znaleziono w jednym z pomieszczeń sądu: *„Przedstawiciel Archiwum Państwowego we Wrocławiu zabezpieczył dnia 26 czerwca 1951 roku akta poniemieckie (księgi i akta hipoteczne – koniec XVIII, początek XIX wieku, akta NSDAP,* [dokumenty z] *Namslau, akta personalne »Arbeiterpartei«), znajdujące się w budynku Sądu Powiatowego w Kamiennej Górze i pozostawił* [tam też] *pod opieką"*. Najprawdopodobniej wszystkie woluminy trafiły ostatecznie do Archiwum we Wrocławiu.

Nowe, czyli stare muzeum

Oficjalna historia kamiennogórskiej placówki zaczyna się w roku 1947. Wówczas to w wielkiej kamienicy położonej w samym sercu miasta funkcjonowało kilka instytucji. Oprócz Powiatowej i Miejskiej Biblioteki oraz magistratu, na drugim i trzecim piętrze ulokowano Muzeum Regionalne, prowadzone przez pierwszego kierownika muzeum, Stanisława Sabaka. Tyle jedynie można przeczytać na stronie internetowej prowadzonej przez pracowników ww. placówki. W rzeczywistości muzeum istniało wcześniej i tylko na jednym piętrze, choć faktycznie przez dłuższy czas było zamknięte dla odwiedzających. Głównym powodem była potrzeba ustalenia stałej siedziby, o czym informuje pismo Referenta Kultury i Sztuki Zygmunta Klimeckiego z 11 września 1945 roku: *„Do Obywatela Burmistrza miasta Kamienna Góra. Proszę o przydzielenie budynku na Powiatowe Muzeum w Kamiennej Górze. Obecnie Muzeum znajduje się w budynku Urzędu Budowlanego Magistratu Rynek 24. Jeżeli to możliwe, proszę nam przydzielić jedno piętro tego budynku"*. Dokument przechowywany w oddziale Archiwum Państwowego w Jeleniej Górze potwierdza jednoznacznie, że późnym latem muzeum już istniało. Ponieważ w tym samym gmachu znajdowały się rozmaite wydziały magistratu, dlatego pracownicy muzeum obawiali się o swój dalszy byt. Dopiero potwierdzenie pisma dawało realną szansę na zachowanie stanowisk i sens kontynuowania pracy przy zgromadzonych dotąd zbiorach. O tym, kim byli ówcześni muzealnicy wspomina „Biuletyn Informacyjny Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki we Wrocławiu", będący swoistym sprawozdaniem dolnośląskich placówek muzealnych: *„Referat Kultury i Sztuki* [w Kamiennej Górze] *zajął się zabezpieczeniem i skatalogowaniem zbiorów w miejscowym muzeum"* – czytamy w maszynopisie z pierwszego kwartału 1946 roku.

Przedłużające się katalogowanie ocalałych zbiorów, pochodzących z byłych muzeów niemieckich zarówno w Kamiennej Górze, jak i najbliższej okolicy, doprowadziło do podjęcia nowych decyzji. W 1947 roku władze lokalne postanowiły, że muzeum musi w końcu zacząć przyjmować odwiedzających. Ponieważ pretekstem był prawdopodobnie zły stan lokalu, znaleziono skromne środki i szybko odświeżono kolejne sale. Co ciekawe, wiosną 1948 roku

Rynek w Kamiennej Górze w 1941 r., przed i po wojnie w największej kamienicy funkcjonowało Muzeum. For. ze zb. Autora.

Miejska Rada Narodowa poleciła Komisji Oświaty i Kultury dokonać oceny zbiorów muzealnych, ale nie znamy wyników tej pracy. Zapewne ogołocone po wojnie liczne gabloty budziły pytania o dalszy sens funkcjonowania placówki. Niewykluczone, że skromne sprawozdanie okazało się zarazem doskonałym pretekstem do podjęcia decyzji o przejęciu, jeszcze w tym samym roku, zbiorów muzealnych z Chełmska Śląskiego. W ten sposób zaoszczędzono środki i zamiast dwóch placówek stworzono jedno „wspólne" Muzeum Regionalne. Przekształcenie placówki nie rozwiązało jednak wszystkich problemów: *„Muzeum utrzymywane było przez Zarząd Miejski, jednak pod koniec 1949 roku zamknięto je z braku kredytów"* – twierdził przed laty Józef Gębczak. W rzeczywistości zamknięto je już znacznie wcześniej.

Decyzja ta miała brzemienne skutki. Zaczęto bowiem pozbywać się stąd wielu eksponatów. Latem, wrocławski oddział Muzeum Wojska Polskiego dowiedział się, że w małym, prowincjonalnym muzeum znajdują się cenne militaria stanowiące do końca wojny zapewne część kolekcji z zamku w Kamiennej Górze. W pierwszej kolejności należało potwierdzić, czy owe zabytki faktycznie tam się znajdują: *„Zarząd Miejski w Kamiennej Górze zawiadamia, że dnia 9 sierpnia 1949 roku mgr Eugenia Triller zwiedziła w Kamiennej Górze – Muzeum Miejskie, od dwóch miesięcy zamknięte dla publiczności, i oglądała tamże (w osobnym pokoju) dwie kompletne zbroje rycerskie, broń sieczną i palną, a także małą armatę"* – informował Prezydent Miasta. Możemy się łatwo domyślić, co się z nimi stało. Korzystając z okazji kierowniczka jeleniogórskiego Archiwum jeszcze tego samego dnia obejrzała dokładnie zawartość kolejnych pomieszczeń: *„W Muzeum Miejskim w Kamiennej Górze, w pokoju na trzecim piętrze, przeglądnięto zawartość dwóch szaf, około 5 metrów bieżących. Zawierają* [one] *dokumenty pergaminowe z pieczęciami wiszącymi lub ze śladami pieczęci, odpisy z 1720 roku, księgi katastralne – początek XVIII wieku,* [ponadto] *w obu* [szafach] *książki do nabożeństwa. W* [tym] *samym pokoju – złożone na podłodze aż po sufit książki z dziedziny prawa pruskiego i śląskiego – XIX wiek".* Niestety, nieznany jest los wspomnianych dokumentów i książek. Najprawdopodobniej część z nich trafiła do Archiwum w Jeleniej Górze bądź do Wrocławia, lecz nie ma na to pewnych dowodów.

29 grudnia Miejska Rada Narodowa w Kamiennej Górze stwierdziła, że znalazła sposób na pozbycie się problemu finansowania edukacyjnej placówki, i przegłosowała uchwałę o jej przekazaniu Naczelnej Dyrekcji Muzeów: *„Wznowiono działalność* [dopiero] *w chwili przejęcia Muzeum przez Państwo. Skromny stan wystaw skłonił Dyrekcję Muzeum Śląskiego do wciągnięcia Kamiennej Góry do planu reorganizacji muzeów podopiecznych. Rozpoczęcie jej przewidziane było na rok 1953, na przeszkodzie jednak stanął brak kredytów na konieczny remont budowlany"* – zauważył autor artykułu poświęconego muzeom śląskim na przełomie lat 40. i 50. XX wieku (por. „Rocznik Sztuki Śląskiej, Tom I).

W 1954 roku Muzeum Regionalne uzyskało na swoje potrzeby całą kamienicę, a pomieszczenia, użytkowane dotąd przez dwie miejscowe biblioteki, zostały opuszczone. Po znalezieniu środków przeprowadzono odgrzybienie kamienicy, zaś rozpoczęte prace ogólnoremontowe zakończono dopiero w roku 1957, po uzyskaniu kolejnych kredytów. Nowe Muzeum posiadało 21 sal, łącznie o sporej kubaturze. Ówczesny stan zbiorów przedstawiał się następująco. Na 5 087 eksponatów: 3 368 było związanych z przyrodą, 800 z etnografią, 408 ze sztuką, 137 z archeologią, 10 z historią, a 354 z inną tematyką: *„Na pierwszy plan wysuwa się kolekcja warsztatów tkackich złożona z kilkunastu dawnych, dobrze zachowanych okazów i narzędzi tkackich oraz przykładów produkowanych przez nie wyrobów tekstylnych. Zbiór ten daje możność stworzenia poważnego działu tkackiego, uzasadnionego tutaj dawnymi tradycjami i obecną rolą Kamiennej Góry, jako ważnego w kraju ośrodka przemysłu tkackiego. Dobrze przedstawia się stan zbiorów etnograficznych, wiążących się z poprzednim działem w kategorii tkanin i strojów. W tym zakresie istnieją możliwości dalszego zasilenia kolekcji przekazami z innych muzeów śląskich. Mniej zasobny jest dział historyczny, ale po pewnych uzupełnieniach będzie w stanie ukazać mieszczańską kulturę i strukturę gospodarczą w czasach nowszych i niejedno zagadnienie głównego działu tkackiego uwydatnić dokumentem lub materiałem ikonograficznym. Dział przyrodniczy, mimo swej liczebności, jedynie w zakresie geologii przekracza poziom lepszych zbiorów szkolnych"* – podsumował Józef Gębczak, który oglądał wszystkie ekspozycje pod koniec lat 50. Dział tkacki faktycznie rozbudowano i stał się najważniejszym ze wszystkich. Wyrazem tego była m.in. nowa nazwa placówki, która od 1969 roku funkcjonowała jako Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego. Dlatego też w kolejnych latach zrezygnowano z uzupełniania bogatej kolekcji przyrodniczej przejętej z Gabinetu Osobliwości przy Kościele Łaski. Mało tego, znaczną część eksponatów w latach 70. ubiegłego stulecia przekazano do Muzeum Przyrodniczego w Cieplicach oraz do Muzeum w Wałbrzychu.

Witold Kieszkowski – historyk sztuki, przed 1939 r. Konserwator Zabytków w województwach kresowych. Po 1945 r. zasłużony w rewindykacji z Niemiec polskich dzieł sztuki. W latach 1945-49 Konserwator Generalny Zabytków w Polsce. Wicedyrektor Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków, który w latach 1945-46 kierował akcją rewindykacyjną na Dolnym Śląsku.

Józef Gębczak – historyk sztuki, który w czerwcu 1945 r. pod gruzami Urzędu Konserwatorskiego odnalazł i odszyfrował tzw. listę Grundmanna – spis miejsc w prowincji dolnośląskiej, w których urządzono składnice ewakuowanych dóbr kultury. Lista została przekazana Witoldowi Kieszkowskiemu. Autor opracowania „Losy ruchomego mienia kulturalnego i artystycznego na Dolnym Śląsku w czasie drugiej wojny światowej", w którym omówione zostały poszczególne składnice Grundmanna.

Prof. Günther Grundmann – historyk sztuki, niemiecki Konserwator Zabytków Prowincji Dolnośląskiej. Kierował akcją ukrycia zbiorów.

Wykorzystane cytaty pochodzą z dokumentów przechowywanych w Archiwum Państwowym we Wrocławiu, Oddział w Jeleniej Górze (sygnatury w zb. Autora).

Szymon Wrzesiński

Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Hitlerjugend na Śląsku"; „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy"; „Napoleon nad Bobrem i Kwisą, Szlakiem bitew, skarbów i zabytków wojny 1813 roku".

Na skarbowych tropach Srebrnej Góry

PIOTR MASZKOWSKI

Historia Srebrnej Góry na Dolnym Śląsku nierozerwalnie związana jest z górującą nieopodal twierdzą pruską, zwaną również, ze względu na ogrom i górskie położenie, „śląskim Gibraltarem". Poszczególne jej forty kryją wiele tajemnic. Szczególnie dotyczących ukrytych depozytów, jakie Niemcy mieli tam złożyć pod koniec II wojny światowej…

Zdjęcie lotnicze twierdzy z 5 września 1944 roku. Nieco później na jej teren miał przybyć tajemniczy transport ciężarówek…

O Srebrnej Górze napisano już bardzo wiele, co zrozumiałe, głównie w kontekście twierdzy. Lecz to, co od dekad rozpala wyobraźnię, to legendy skarbowe, związane nie tylko z jej podziemiami, ale również z siecią starych wyrobisk górniczych ciągnących się pod okolicą. Na przestrzeni ostatnich lat omówiliśmy na naszych łamach chyba już wszystkie możliwe aspekty tego tajemniczego miejsca, chociaż tak naprawdę nie udało się ustalić, od kiedy należy szukać początków srebrnogórskiej gorączki. Zatem spróbujmy zagłębić się w przeszłość, w celu odnalezienia punktu zaczepienia, który stał się impulsem dla kilku pokoleń eksploratorów i miłośników tajemnic wymieniających jednym tchem Srebrną Górę, jako miejsce ukrycia przebogatych skarbów, których szukają zapamiętale praktycznie do współczesnych nam czasów.

Wyobraźnię pobudzają co jakiś czas medialne, a także przekazywane pocztą pantoflową informacje, że już za chwilę coś ze „srebrnej" wyjdzie. Lecz mijają lata i kolejne dekady, a tu nic. No może prawie, bowiem kilka razy otarliśmy się o wielką tajemnicę. Na przykład wtedy, gdy dosłownie tydzień przed planowaną eksploracją jednego z pobliskich wyrobisk, ktoś ubiegł ekipę Darka Wójcika i Krzysztofa Krzyżanowskiego („Odkrywca" 7/2008), i w profesjonalny sposób spenetrował namierzoną wcześniej starą kopalnię, zostawiając po sobie „zawodowe" zabezpieczenie i obudowę pustej już sztolni. Ponoć coś stamtąd wyciągnięto, podobno było to nawet cenne… Po co komu jednak odkrycie, którym nie można się pochwalić? Ano dla zysku, tylko po co później „kłapać jęzorem" na lewo i prawo, chwalić się na forach internetowych – pod nimbem skrajnej tajemniczości? Eksploracyjnego splendoru to nie dodaje… wręcz przeciwnie. Było to jednak dość dawno, i nie do końca zapewne prawda, w dodatku bez jakiegokolwiek kontekstu, więc warte dalszego omawiania nie jest.

Faktem natomiast jest, że zarówno srebrnogórska twierdza, z licznymi kazamatami, odnogami i podziemnymi korytarzami, jak i tamtejsze sztolnie pogórnicze, pozostaną potencjalnym schowkiem chyba już do końca świata. Tym samym pozwala to na snucie coraz to nowych teorii, stawiania kolejnych śmiałych hipotez, jednocześnie rozbudzających nadzieję i rozpalających wyobraźnię. Na ile są jednak prawdziwe?

Archiwalna fotografia jednego z fortów twierdzy srebrnogórskiej.

Werwolf w Srebrnej Górze

Poniemieckie „wilkołaki" panoszyły się w świetle licznych relacji prasowych, książkowych i ogniskowych opowieści po okolicy szczególnie tłumnie, chroniąc się w zimnych kazamatach twierdzy, magazynując zapasy żywności i broń w pobliskich jej skrytkach, wreszcie prowadząc bliżej nieokreślone akcje dywersyjne. Jak zwykle przekazy tego typu poza klimatem grozy, nie niosą za sobą żadnych konkretów. Udało nam się nawet dotrzeć do akt jednej z tego typu spraw, i prawda niestety nie jest już tak spektakularna, jak można byłoby się spodziewać po tym zagadnieniu. Na przełomie lat 40. i 50. bezpieka faktycznie prowadziła w okolicy Srebrnej Góry akcję o jednoznacznym kryptonimie „Wilkołak". Niewiele miała jednak wspólnego ze zwalczaniem pohitlerowskiego podziemia zbrojnego. W jej efekcie zginęły dwie ścigane osoby, ukrywające się w odludnych górach w pobliżu twierdzy. Zdjęcia ilustrujące ich kryjówkę budzą raczej żałość i współczucie z warunków, w jakich nieszczęśnikom przyszło przebywać. Nawet jeżeli ta sprawa coś miała wspólnego z Werwolfem, to tylko nazwę.

Początek gorączki

Jest późna wiosna roku 1957. Gorączka skarbowa i moda na nazistowskie tajemnice tli się praktycznie od końca wojny, jednak żywym ogniem zapłonie dopiero za jakiś czas, gdy świat dowie się o zaginięciu i poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty oraz odkrywaniu sekretów jeziora Toplitz. Tymczasem do Srebrnej Góry przyjeżdża dziennikarz poczytnego w owym czasie magazynu „Dookoła Świata", Jerzy Wojdyłło. Wizyta jest nieprzypadkowa, gdyż do redakcji wpłynął wcześniej list czytelnika następującej treści: *„Skarby tu wielkie, tylko pochowane. Sam jeden czort wie, gdzie ich szukać. Mówią, że bogactw a dobytku tutaj co niemiara. Przyjeżdżajcie, bo warto"*. Niezależnie od tego, czy anonim był autentyczny, brzmiał wystarczająco zachęcająco. O przebiegu tej wizyty i jej efektach możemy przeczytać w artykule „Góra tajemnic". Niezwykle barwnym i specyficznym w swej formie. Między wierszami można odczytać nieco westernową konwencję, którą przyjął autor. Zapewne nieprzypadkowo, bowiem motyw Dzikiego Zachodu w odniesieniu do Ziem Odzyskanych, był dość w owym czasie popularny. Mamy więc oto młodego dziennikarza, który kroczy wąskimi i krętymi uliczkami Srebrnej Góry, ku tajemniczej górującej nad okolicą twierdzy, niczym do opuszczonego w tajemniczych okolicznościach fortu amerykańskiej kawalerii.

Współczesne zdjęcia twierdzy i jej zakamarki, które w 1964 roku penetrowała ekipa Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

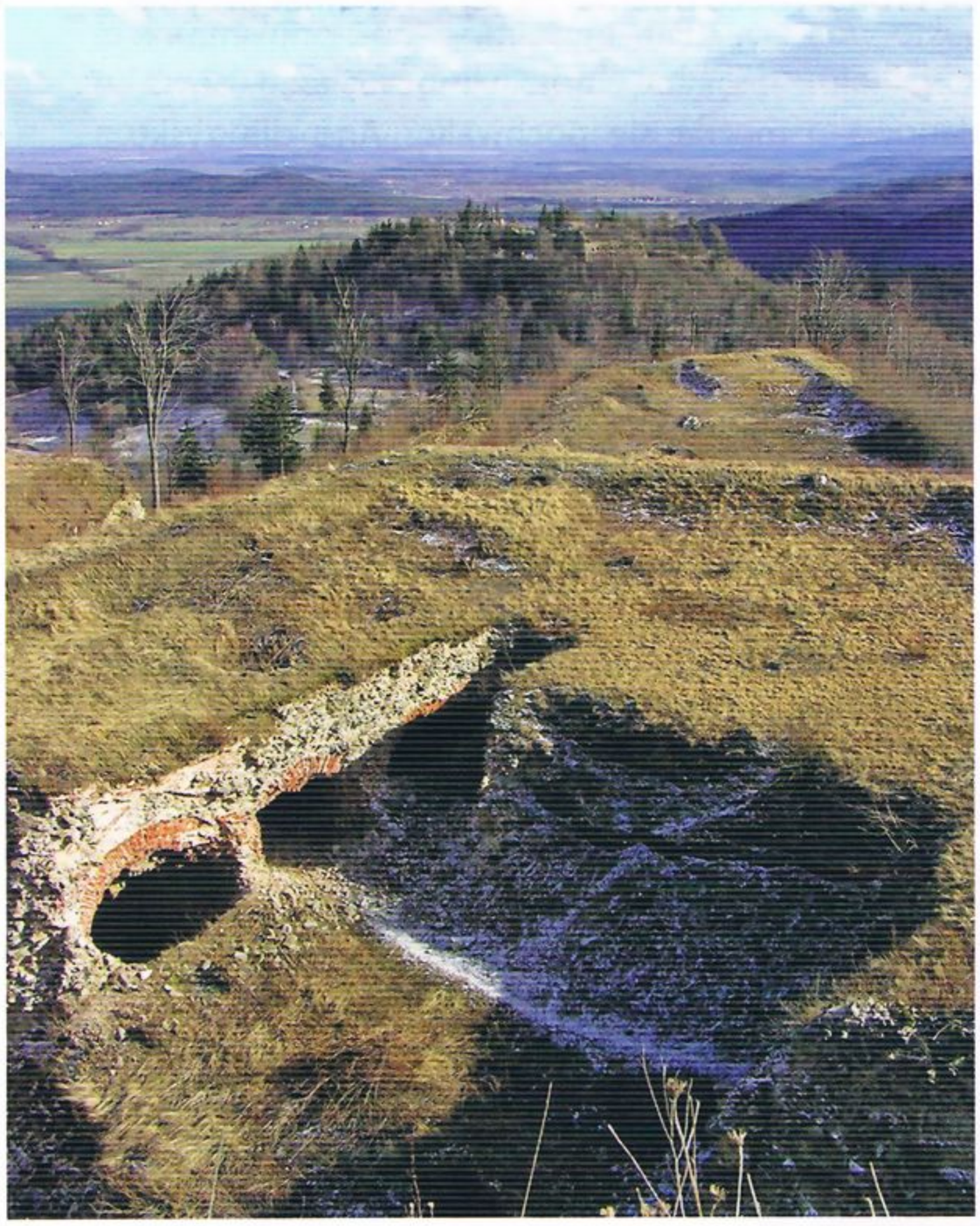

Idąc tak, czuje się obco, kamienice i miejscowe zakłady wydają się mu częściowo opustoszałe, choć, jak stwierdzał, niegdyś musiało się toczyć tu gwarne życie. Mieszkańcy, na których natrafia, są niezbyt ufni, obserwują go dyskretnie przyczajeni w oknach. Gdy odwracał ku nim wzrok, znacząco zasuwali firany. Nie za dobrze wróżyło to jego misji. *„Próbowaliśmy zasięgnąć języka. Polacy niewiele jednak wiedzą, przyjechali tu po wyzwoleniu. Niemcy milczą. Wieść o tym, że interesujemy się twierdzą rozeszła się w mgnieniu oka. Gdzieśmy się nie zjawili, czujnie śledziły nas zza firanek nieufne oczy, gdzieśmy nie zakołatali, wnet na gwarnych izbach zalegała cisza"*. W końcu dziennikarzowi, ze strzępów informacji krążących po okolicy, udało się wytropić zarys tajemniczej historii skarbowej, którą tak oto przedstawił w swym artykule: *„Było to wiosną przed 12 laty. Wokół płonącego Wrocławia zaciskały się kleszcze nacierających armii. Wąskim skrawkiem uciekały na zachód rozbite hitlerowskie oddziały. O, właśnie tędy, tą szosą pędziły w popłochu na Nową Rudę i dalej w głąb Rzeszy. Wojna zbliżała się i do Srebrnej Góry, gdzie tak cicho było dotychczas i spokojnie, jak u Boga za piecem. W miasteczku zostali tylko starcy, kobiety i dzieci. Pewnego dnia o świcie zahuczały ciężko ładowane samochody. Po domach rozbiegli się żołnierze w SS-mańskich mundurach. Surowo zakazano wychodzenia na ulicę. Nie wolno wyglądać przez okna pod karą śmierci. Przez całą dobę pięły się w górę ciężarowe auta. Nikły w bastionach twierdzy i nie wracały. Rozeszły się wieści o tajemniczych transportach. Miały to być dzieła sztuki z europejskich muzeów, to znowu sztaby złota, stare wrocławskie archiwa. Bają*

o motocyklach i cudownej broni". Wojdyłło ustalił również kilka dodatkowych i istotnych informacji. Mianowicie, od zakończenia wojny okoliczni mieszkańcy myszkowali po opuszczonej i zrujnowanej twierdzy w poszukiwaniu owych skarbów – bez specjalnych efektów. Wspomina w tekście jednak zasłyszaną zapewne relację, której niestety już nie rozwija, o akcji, jaką przeprowadziło w okolicy polskie już wojsko, na podstawie wskazania, jak się wyraził „starego Heinricha". *„(…) raz tylko żołnierze odkopali trzy wielkie, zalakowane kufry. Wywieziono je do Wrocławia i słuch o nich zaginął"*. Fakt ten, o ile prawdziwy, może stanowić ciekawy trop do dalszej kwerendy, choćby w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej. Do tej chwili, mimo pewnych prób, nie udało się nam go jednak potwierdzić w jakimkolwiek materiale źródłowym…

Wracając jednak do relacji Jerzego Wojdyłły, w końcu udało mu się uzyskać wskazówkę, mogącą pomóc w rozwiązaniu srebrnogórskich tajemnic. Pozyskał m.in. oryginalny plan twierdzy, w którym *„ślad wiódł do chaty byłego sołtysa"*. Gdy go odwiedził, gospodarz okazał się być zamkniętym w sobie człowiekiem, pilnie strzegącym swoich sekretów. Najwyraźniej przybysz ze stolicy nie wzbudził też jego zaufania. *„Na ścianie wisi duży obraz. Panorama twierdzy. Podobno gdzieś na jej odwrocie ukryta była mapa. Nie udało się nam jej zdobyć, czujne oczy gospodarza śledziły każdy ruch, usta przeczyły wszystkiemu"*.

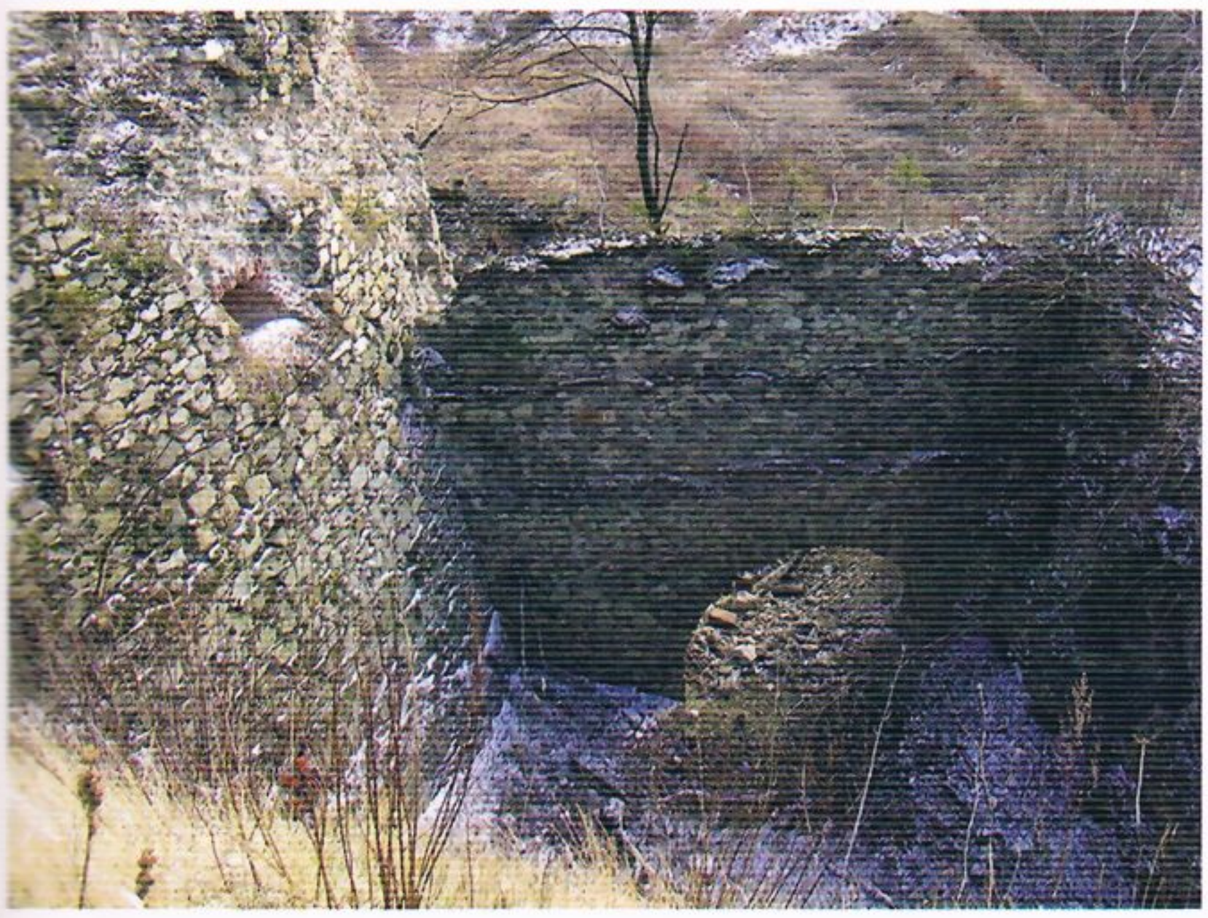

Przyznać trzeba, że artykuł nawet dzisiaj czyta się świetnie, lecz sam efekt wyprawy nie był zbyt porywający. Niemniej, zapewne można go uznać za jeden z pierwszych dotyczących tajemnic skarbowych Srebrnej Góry. Jego rola jednak jest znacznie większa, ponieważ stał się przyczynkiem do akcji poszukiwań przeprowadzonej na terenie twierdzy kilka lat później, w 1964 roku…

W poszukiwania dowodów zbrodni i nie tylko…

O twierdzy w Srebrnej Górze ponownie zrobiło się głośno 7 lat później. Wówczas, w związku z możliwym przedawnieniem ścigania zbrodni hitlerowskich – upływającym zgodnie z niemieckim prawem po 20 latach od zakończenia wojny – Głów-

na Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce nasiliła na przestrzeni 1964 roku akcję poszukiwania ich dodatkowych dowodów. Celem tych działań w kraju, jak i podobnych za granicą, było wywarcie presji na rząd RFN, by nie dopuścić do takiego stanu rzeczy. W połączeniu z naciskami światowej opinii publicznej kampania zaowocowała, w okresie późniejszym, faktycznym zablokowaniem ratyfikacji takiego układu przez Bundestag. Proces ten opisany już został na naszych łamach („Odkrywca" nr 6 i 7 /2013).

Przypomnijmy, że od lipca 1964 do maja 1965 roku wstępnym rekonesansem zostało objętych 6 miejsc, w tym omawiana przez nas twierdza w Srebrnej Górze. Pierwszy etap akcji odbył się 28 i 29 września 1964 roku i praktycznie, obok pobieżnego rozpoznania terenu twierdzy, ograniczył się do przesłuchania, jak się okaże jedynego, kluczowego dla sprawy świadka Józefa Wachowicza. Jego zeznanie z 28 września 1964 roku dla GKBZHwP wiele wyjaśnia, lecz czy wnosi coś nowego?

„W Srebrnej Górze mieszkam dawno, przybyłem tu po pierwszej wojnie światowej. W okresie hitlerowskim byłem obywatelem Rzeszy, ale jestem Polakiem i pochodzę z Poznańskiego" – zaczął świadek niejako od wyjaśnień, żeby nie rzec od wytłumaczenia swojego statusu. Był więc autochtonem. Następnie przeszedł do zasadniczej części informacji, którą zdecydował się przekazać: *„W połowie roku 1944 – było to gorące lato – do Srebrnej Góry przyjechał duży oddział SS i zaciągnął coś w rodzaju służby wartowniczej przy fortach Donjonu i Hochenstein oraz na drodze prowadzącej do fortów. W tym czasie mocno pilnowano, aby do fortów nie przedostał się ktoś niepowołany. W czasie, gdy przebywał tu oddział SS i gdy strzegł fortów – a trwało to około 3-ch do 4-ch miesięcy – szosą w górę fortów jeździły ciężko załadowane samochody. Nie wiem i nikt z miejscowej ludności nie wiedział o tym, co zawierały samochody, co zrobiono z ładunkiem i w jakim celu. Jednego jestem pewny – wozy były ciężko załadowane i z trudem wspinały się po szosie. Po zakończeniu akcji ludzie poszli do fortów, żeby zobaczyć co się tam działo. Na dziedzińcu fortu Hochenstein leżały olbrzymie ilości szmelcu bronzu, miedzi i mosiądzu. Niczego poza tym nie znaleźliśmy"*.

Warto zwrócić uwagę, że zasadniczo część dotycząca tajemniczego transportu jest niezwykle podobna do znanej nam już, opisywanej w artykule w tygodniku „Dookoła świata" z 1957 roku. Różni się nieco szczegółami, lecz okoliczności są niemal identyczne. Czyżby łączyła je postać tego samego informatora? Wszystko wskazuje, że tak. *„Były sołtys"* skrywający tajemnicę planów twierdzy z tekstu Jerzego Wojdyłły i Józef Wachowicz, to ta sama postać. I niestety trzeba przyznać, że do dziś stanowi to najsłabszy punkt tej historii, która jak się okazuje, praktycznie od początku była jednoźródłowa… Nie przeszkadzało to jednak badaczom tego tematu podejmować rozlicznych prób weryfikacji tej samej relacji. Niemniej trzeba przyznać, że dalsza część zeznania z 1964 roku wyciągnęła na światło dzienne historię do tamtej pory niemal zapomnianą, która stała się w późniejszym czasie podstawą popularności Srebrnej Góry:

„Wiadomym mi jest, że w fortach Hochenstein i Spitzberg przebywali jeńcy wojenni, oficerowie polscy, angielscy i jeńcy radzieccy, co się ostatecznie z nimi stało, tego nie wiem. Również nie znam miejsca, w którym grzebano ciała jeńców. Między innymi w kazamatach fortów przebywał admirał Unrug i gen. Piskor oraz oficerowie z Westerplatte".

I tak naprawdę od tego momentu rozpoczyna się główna legenda Srebrnej Góry, która wbrew pozorom w okresie PRL-u stała się sławna nie tyle z powodu swych tajemnic skarbowych, czy unikatowej twierdzy, lecz funkcjonującego na jej terenie od 1939 do 1941 roku Stalagu VIII B. A właściwie jeńców tam przetrzymywanych, z których większość stanowili wyżsi rangą oficerowie polscy wzięci do niewoli w 1939 roku. Epizod ten, jedyny chyba tego typu w okolicy, w połączeniu z historią spektakularnych ucieczek stał się wręcz podstawą do propagandowego w okresie Polski Ludowej spolszczania historii miasteczka, naznaczonego wrogą ideologicznie i dziejowo pruską twierdzą. GKBZHwP mając już w 1964 roku wyraźne sygnały o prawdopodobnych zbrodniach na polskich oficerach, przygotowywała się nawet do wszczęcia śledztwa w tej sprawie, ostatecznie jednak, z powodu braku dowodów, sprawa w 1973 roku została zamknięta.

Wróćmy jednak do interesującej nas akcji przedsięwziętej przez GKBZHwP. Po przesłuchaniu Józefa Wachowicza i wstępnym rekonesansie terenowym, Jacek Wilczur, ówczesny kierownik licznych badań terenowych Komisji, tak oto argumentował w październiku 1964 roku przed swoim kierownictwem i Ministrem Sprawiedliwości potrzebę zorganizowania bardziej zaawansowanych działań na terenie twierdzy: *„Po otrzymaniu informacji, że w okolicach Srebrnej Góry mają się znajdować ukryte dokumenty i inne dowody zbrodni hitlerowskich, Główna Komisja przeprowadziła wstępne badania na miejscu, z których wynika co następuje:*

W Srebrnej Górze (dawn. Silberberg) istnieje dawna forteca niemiecka z obszernymi podziemiami drążonymi w górze. W okresie II wojny światowej w starych fortach mieścił się specjalny obóz dla jeńców wojennych. W/g zeznań świadków spośród miejscowej ludności do starych fortów Niemcy przywozili jakieś skrzynie, których przed zakończeniem wojny nie wywieziono. W związku z twierdzeniem niektórych badaczy (np. Krannhals z NRF, Fraenkel z Anglii), że na ziemiach polskich znajdują się jakieś materiały dawnego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) istnieje prawdopodobieństwo, że zostały one ukryte w podziemiach starych fortów Srebrnej Góry. Jakkolwiek prawdopodobieństwo to jest, moim zdaniem, raczej niewielkie, to wydaje mi się, że po fakcie znalezienia na terenie Czechosłowacji, w sierpniu rb. dokumentów b. Gł. Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy zatopionych w specjalnych pojemnikach w jeziorze na granicy Austrii, celowe jest dla uniknięcia ewent. zarzutów braku zainteresowania, przeprowadzenie poszukiwań na terenie Srebrnej Góry".

Opis sytuacji i faktów – przyznać trzeba niezwykle fachowy – okazał się wystarczający.

Wkrótce planowana akcja zyskała poparcie Dyrektora GKBZHwP Janusza Gumkowskiego. Jacek Wilczur dostał wszelkie możliwe pełnomocnictwa i wkrótce, wraz z grupą grotołazów ze Speleoklubu Warszawskiego PTTK, przystąpił do działań. 3 listopada 1964 roku rozpoczęły się badania twierdzy w kierunku poszukiwań dowodów zbrodni, ukrytej dokumentacji oraz niesprecyzowanych walorów potencjalnie ukrytych na jej terenie. Spenetrowano pomiesz-

czenia naziemne i podziemne centralnego fortu twierdzy Donjon oraz poszukiwano podziemnych przejść pomiędzy nim, a zewnętrznym pasem umocnień. Przeprowadzono kilka *„rozkopań stożków gruzowych w zachodniej części twierdzy"*. Sporo uwagi ekipa poświęciła również trzem studniom, na wspomnianym już forcie Donjon, na terenie fortu Hochenstein i na zewnętrznym pierścieniu umocnień.

„Wszystkie wymienione wyżej prace nie przyniosły wyników pozytywnych i miały, zgodnie z założeniami charakter wstępny, rozpoznawczy. Gruntowne zbadanie choćby jednego z wymienionych problemów wymaga (...) specjalnego sprzętu i większej ilości ludzi" – pisał w swym raporcie końcowym dla Ministerstwa Sprawiedliwości i Głównej Komisji kierujący pracami grotołazów Aleksander Majewski. Niestety, był to koniec oficjalnych poszukiwań na terenie twierdzy firmowanych przez GKBZHwP. Co prawda planowano ich wznowienie z użyciem bardziej zaawansowanych środków technicznych i większej ilości specjalistów, jednak zamierzenia te nie zostały już zrealizowane. Badania na większą skalę zostały przeprowadzone dopiero w latach 90., siłami prywatnych poszukiwaczy, ale jest to już historia na oddzielny artykuł.

Wnioski

Analizując historię ukrycia depozytów pod koniec II wojny na terenie srebrnogórskiej twierdzy, wydaje się, że oparta jest ona na jednoźródłowym przekazie – powielanym i uzupełnianym o nowe wątki począwszy od końca lat 50. Jej schemat nie odbiega od utartego wzorca, wykorzystującego jakże popularny i charakterystyczny motyw – tajemniczy transport wiozący przeważnie nieokreślony, choć wartościowy ładunek, który następnie jest ukrywany w pokopalnianych, czy też świeżo wydrążonych sztolniach, podziemiach zamków, pałacowych piwnicach itp.

Przesłanką do ich późniejszych poszukiwań jest zawsze relacja bezpośredniego bądź pośredniego świadka zdarzenia, sugerującego najczęściej, jakoby osoby biorące udział w opisywanym zdarzeniu zostały zlikwidowane przez niemieckich strażników. Tym samym relacje takie są jednostronne i całkowicie nieweryfikowalne. Pomimo tego, są niezwykle pasjonujące, rozbudzające wyobraźnię i od zawsze stanowią nie lada sensację.

Problemem jednak jest pewien fakt, tym razem już weryfikowalny. Zawartość takiego transportu w świetle wiarygodnych źródeł nie została nigdy odnaleziona. Owszem, wielu ludzi, również spoza środowiska eksploracyjnego, przekonuje, że takie odkrycia miały miejsce. Jednak poza słowami i powoływaniem się najczęściej na tajemną wiedzę służb specjalnych... nie jest w stanie swojej tezy udowodnić i przedstawić jakiegokolwiek dowodu. Dlatego też wciąż możemy żyć nadzieją, że przełom kiedyś nastąpi, bo przecież któraś z kilkuset podobnych opowieści musi być prawdziwa.

FOTOGRAFIE WYKORZYSTANE W ARTYKULE: ARCHIWUM REDAKCJI. ZDJĘCIE LOTNICZE TWIERDZY: ARCH. WOJTKA STOJAKA

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

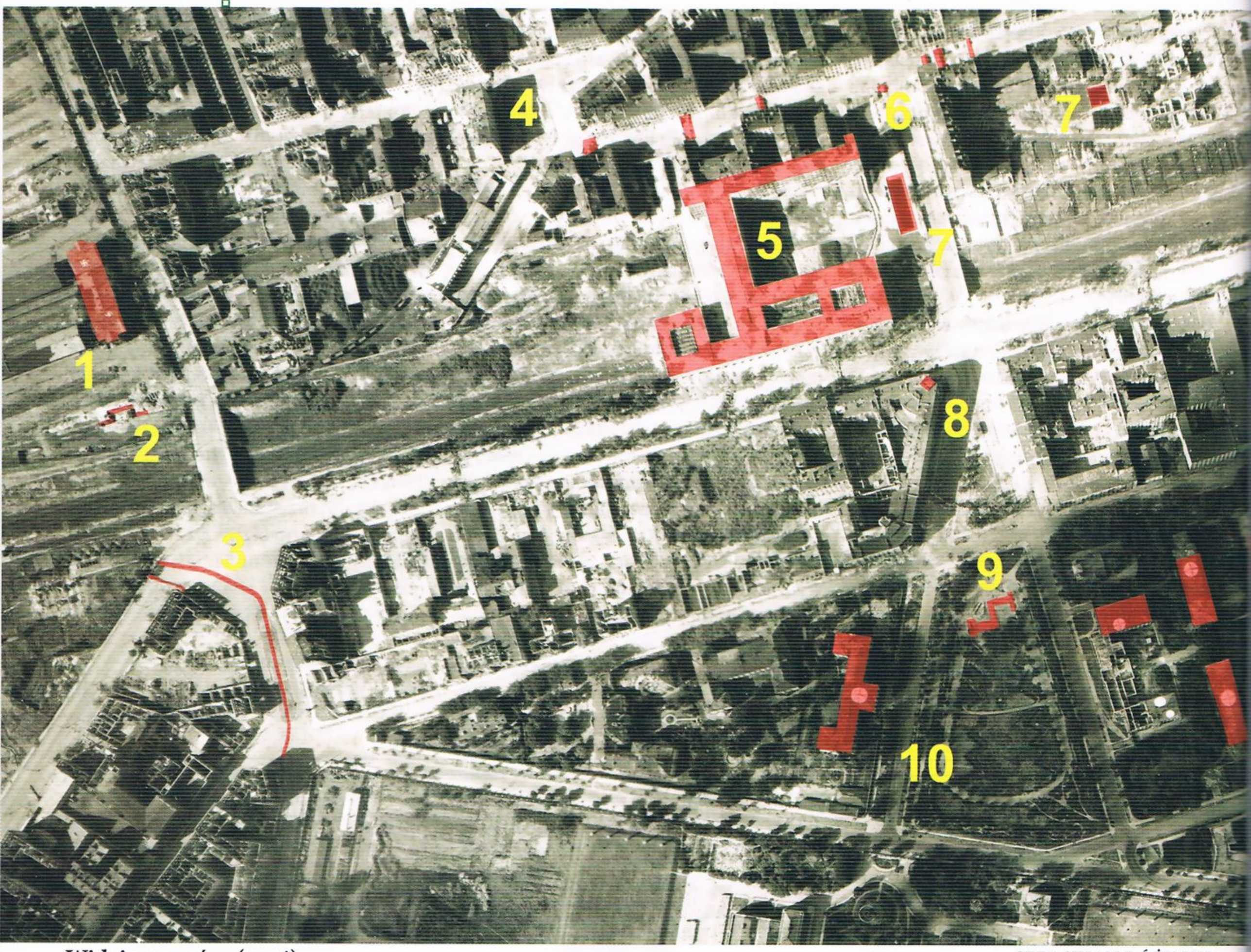

Widziane z góry (cz. 4)

SEBASTIAN RÓŻYCKI

Gruzy, barykady, schrony i swastyki...

Powstanie Warszawskie na niemieckim zdjęciu lotniczym

Panuje powszechna opinia, że Warszawa jest najlepiej odfotografowanym polskim miastem na zdjęciach lotniczych z okresu II wojny światowej. W internecie można znaleźć kilkadziesiąt niemieckich fotogramów z lat 1939-1944. Najciekawsze niemieckie zdjęcia lotnicze prezentowane są na wystawach tematycznych lub przy okazji licznych prelekcji pana Zygmunta Walkowskiego[1].

Przeglądając jednak wyniki kwerendy przeprowadzonej w NARA można stwierdzić, że Warszawa nie miała jednak tak dużego znaczenia dla rozpoznania niemieckiego[2], jak to mogłoby się wydawać. Okazuje się, że stolica była dla wielu lotów zwiadowczych punktem orientacji. Szczególnie okolice Olszynki Grochowskiej i charakterystyczny węzeł kolejowy o kształcie „połówki cyfry 8" stały się miejscem, gdzie obserwatorzy niemieckich maszyn uruchamiali kamery lecąc np. na północ w kierunku Wierzbicy, Pułtuska lub na wschód – w stronę Mińska Mazowieckiego czy Dęblina.

Wykonano kilka lotów, których celem była tylko Warszawa, jednak brakuje w nich „prawdziwego fotogrametrycznego" nalotu, jakie zostały wykonane np. dla Łodzi (i to kilkakrotnie). Znacząca liczba niemieckich zdjęć dla Warszawy przechowywanych w NARA, to okres zbliżania i zatrzymania się frontu na środkowej Wiśle w roku 1944. Intensywność lotów była duża,

Opis techniczny zdjęcia:
Lokalizacja: Warszawa, województwo mazowieckie.
Format zdjęcia: 30×30 cm, kamera Rb30, ogniskowa kamery – 201,09 mm.
Data wykonania zdjęcia: 30 sierpnia 1944, godzina 15:15.
Skala zdjęcia: 1:8000.

ale tak jak pisałem wcześniej, rozpoznanie nie dotyczyło samego miasta. Przeważają skale zbliżone do 1:10 000.

W zbiorach fotogramów dla Warszawy zachowała się jedna „mała perełka". Seria niemieckich zdjęć w skali 1:8000. Mimo zachmurzenia, cieni rzucanych przez chmury oraz dosłownie dwudziestu zdjęć z tej serii, materiał jest fantastycznym źródłem informacji na temat sytuacji panującej w Warszawie pod koniec sierpnia 1944 roku.

Przypisy:

[1] Zygmunt Walkowski – polski fotograf, specjalista interpretacji zdjęć Warszawy z okresu okupacji niemieckiej i Powstania Warszawskiego. Jeden z najbardziej zasłużonych badaczy i dokumentalistów historii najnowszej Polski, zwłaszcza z okresu II wojny światowej i dziejów Powstania Warszawskiego, uważanym za najwybitniejszego znawcę ikonografii (zwłaszcza fotograficznej i filmowej) Warszawy tamtego okresu. Od wielu lat zajmuje się przygotowywaniem i opracowywaniem szaty ilustracyjnej (archiwalne materiały fotograficzne, mapy, plany itp.) do wielu ważnych publikacji historycznych i wystaw prezentowanych w kraju i za granicą. Uczestniczy w przygotowaniu filmów dokumentalnych, brał także udział w opracowaniu Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powstania Warszawskiego. Współzałożyciel i współwłaściciel firmy „Historia z ograniczoną odpowiedzialnością" (m.in. wespół z Andrzejem Krzysztofem Kunertem) zajmującej się działalnością wydawniczą i wystawienniczą. Źródło: wikipedia

[2] W Archiwum USA znaleźć można tylko dwie serie zdjęć wykonane przez aliantów, jednak ich jakość w większości jest bardzo słaba (duże zachmurzenie).

○ ○ ○

JACEK OLECKI

Zdjęcia lotnicze są bezcennym źródłem informacji zarówno dla zawodowych badaczy i historyków, jak i dla poszukiwaczy amatorów. W okresie okupacji hitlerowskiej Warszawa była fotografowana z powietrza tak przez Niemców, jak i przez lotnictwo alianckie. Prezentowany i omawiany fragment zdjęcia lotniczego wykonany został przez Luftwaffe. Fotografię zeskanowano w przepastnych archiwach amerykańskich i dzięki uprzejmości p. Sebastiana Różyckiego możemy przyjrzeć jej się dziś nieco dokładniej.

Omawiany fragment zdjęcia lotniczego przedstawia teren zamykający się, w przybliżeniu, od zachodu obecną ulicą Towarową, od północy Chmielną, od wschodu Żelazną oraz ul. Koszykową od strony południowej. Zdjęcie wykonane zostało pod koniec sierpnia 1944 roku (najprawdopodobniej 30.08.1944), tak więc już podczas trwania Powstania Warszawskiego. Poza oczywistymi obrazami wypalonych i zniszczonych budynków, czy wykopów i ukryć ziemnych, na placach oraz skwerach można zauważyć także znajdujące się w różnym stanie powstańcze barykady, np. przy ul. Chmielnej (4). Przy placu Zawiszy widoczna jest także barykada, ale tą wzniosły dla odmiany wojska okupacyjne. Skutecznie blokuje ona dostęp do ulicy Grójeckiej. Na przedpolu barykady najprawdopodobniej zainstalowane zostały kozły drewniane z drutem kolczastym (3). Świetnie widać, że ciągną się one aż do zbiegu ulicy Raszyńskiej z Tarczyńską, odcinając dostęp do znajdujących się głębiej pozycji niemieckich.

Najbardziej charakterystyczny i widoczny na zdjęciu obiekt, to z pewnością pokaźnych rozmiarów zabudowa Centralnego Dworca Pocztowego przy Al. Jerozolimskich i Żelaznej (5). Doskonale widoczne jest malowanie maskujące jakim go pokryto. Warto wiedzieć, że niewiele budynków w Warszawie zostało w ten sposób „wyróżnione" przez Niemców. Podobno nieregularne plamy były widoczne na ocalałym fragmencie Dworca Pocztowego jeszcze wiele lat po zakończeniu wojny. Na dachu północnego budynku widać także platformę przeciwlotniczą z zamontowanym na niej działkiem plot., jedną z wielu jakie zbudowano w czasie okupacji na terenie Warszawy. Innego rodzaju stanowisko, przypuszczalnie obserwacyjne, znajduje się na dachu budynku na rogu Al. Jerozolimskich i Lindleya (8), widoczna jest nawet kładka prowadząca do niego. Warto wspomnieć, że na rosyjskich zdjęciach lotniczych z 1945 roku po tym ostatnim stanowisku nie ma już nawet śladu.

Przyjrzyjmy się jeszcze przez chwilę dachom budynków. Niepozorny Dworzec Towarowy ma na dachu namalowane dwie swastyki (1). Tak naprawdę do dzisiaj nie ma całkowitej pewności, kto, i w jakim celu je tam umieścił. Czy było to oznakowanie skierowane przez Niemców do Luftwaffe mające sygnalizować, że tu znajdują się ich pozycje? Jeżeli tak, to dlaczego w Śródmieściu Warszawy takie oznakowanie znajduje się jeszcze tylko w dwóch innych miejscach, w tym jedno… na ziemi koło jednego z baraków żandarmerii przy ówczesnym Dworcu Głównym. A może to jednak niemiecki sygnał będący desperackim „wołaniem o wsparcie"?

Przyciągają wzrok także charakterystyczne budynki Szpitala Dzieciątka Jezus z namalowanymi na dachach znakami Czerwonego Krzyża, mającymi chronić szpitalny kompleks przed bombami sprzymierzonych. Na zdjęciu krzyże znajdują się na Klinice Położniczej i Chorób Kobiecych, budynku administracji i na jednym z pawilonów (10).

Chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na jeszcze kilka, może mniej rzucających się w oczy, ale bardzo interesujących obiektów, o istnieniu których możemy się dowiedzieć dzięki temu zdjęciu. W większości przeszły już one do historii. Jest to niewielki schron wartowniczo-obserwacyjny na rogu Żelaznej i Chmielnej (6), znajdujące się w fazie budowy, ale jak pokazała przyszłość nigdy nie ukończone ukrycie przeciwlotnicze przy ul. Towarowej (2) oraz podobne, lecz ukończone i doskonale widoczne ukrycie na pl. Starynkiewicza (9). Niewykluczone, że jego relikt na skwerze pozostał do dziś. Warto także zauważyć dwa spośród kilkudziesięciu basenów przeciwpożarowych (7), jakie budowano na terenie miasta od 1942 roku. Nieliczne z nich przetrwały do dzisiaj, można je odszukać właśnie dzięki analizowaniu fotografii lotniczych podobnych do omawianej w tym opracowaniu.

Jacek Olecki

Z wykształcenia informatyk. Miłośnik Warszawy i historii II wojny światowej. Poszukiwacz-amator śladów wojennej przeszłości na Mazowszu. Założyciel internetowego forum o tej tematyce www.werttrew.fora.pl. Autor serii książek „Wojenne tajemnice Warszawy i Mazowsza". Współpracownik reaktywowanego miesięcznika „Stolica".

Sebastian Różycki

Adiunkt na Wydz. Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Prowadzi m.in. zajęcia z interpretacji zdjęć lotniczych. Od trzech lat gromadzi dane nt. rozpoznania lotniczego i zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej. Na łamach „Odkrywcy" zadebiutował współautorskim tłumaczeniem dzienników niemieckiej jednostki walczącej w Powstaniu Warszawskim 1944 („Odkrywca" nr 8/2011).

W ramach cyklu „Widziane z góry" ukazały się: cz.1, „Szklane oko nad Wilczym Szańcem" (nr 7/2013); cz.2, „Helski port wojenny" (nr 8/2013); cz.3, „Cypel Helu/Helski po zakończeniu Kampanii Obronnej 1939 roku" (nr 9/2013).

Złoty skarb w Zgorzelcu

TOMASZ RZECZYCKI

Niedaleko brzegu Nysy Kłodzkiej, pomiędzy ulicami Parkową i Wolności, stoi w Zgorzelcu monumentalny gmach Miejskiego Domu Kultury. Po II wojnie światowej w jego piwnicach odkopany został skarb o znacznej wartości.

Obecny gmach MDK wzniesiony został na przełomie stuleci, jako Górnołużycka Hala Chwały. Posługiwano się również nazwą Górnołużycka Hala Pamięci. Projektantem budowli był architekt Hugo Behr. Kamień węgielny pod tę inwestycję złożony został 18 X 1898 r., a uroczystość otwarcia zorganizowano 28 XI 1902 roku. Po oddaniu do użytku budynku postanowiono urządzić w nim Muzeum Cesarza Fryderyka. Jego otwarcie nastąpiło 1 VI 1904 roku. W Muzeum zgromadzono rozmaite zbiory, zarówno dzieła lokalnych twórców, jak i stare druki, numizmatyki, czy dzieła sztuki. Chyba nikt z mieszkańców ówczesnego Görlitz nie mógł przewidzieć, że placówka będzie funkcjonować niecałe pół wieku. Cezurą okazała się II wojna światowa.

Wiosną 1945 r. miasto zostało podzielone na dwie części. Obszar znajdujący się na zachodnim brzegu Nysy Łużyckiej znalazł się w radzieckiej strefie okupacyjnej Niemiec. Wschodni natomiast wszedł w skład okręgu administracyjnego Dolnego Śląska, podległego władzom polskim. Zresztą tuż po wojnie faktyczną władzę w mieście sprawowała komendantura Armii Radzieckiej, która kontrolowała przemieszczanie się ludzi po granicznym moście samochodowym. Przejściowy Punkt Kontrolny Wojsk Ochrony Pogranicza (czyli – mówiąc po polsku – przejście graniczne) ustanowiony został dopiero 27 XI 1945 roku.

Na pastwę losu

Nie jest łatwo precyzyjnie odtworzyć chronologię tuż powojennych dziejów budynku zgorzeleckiego Muzeum. Jak podaje autor materiału zamieszczonego na stronie internetowej MDK w Zgorzelcu, a opracowanego na podstawie

książki Zbyszka Dobrzyńskiego i Krzysztofa Fokta pt. „Pod stuletnią kopułą: (skarbonka wspomnień)", w pierwszym okresie po zakończeniu II wojny światowej *„władzę w Görlitz sprawowała komendantura wojskowa Armii Radzieckiej, której podlegał również budynek muzeum. Następnie, już w polskich Zgorzelicach, przez kilka miesięcy obiekt nadzorowało Wojsko Polskie. W tym właśnie wojennym i powojennym czasie zaginęła ogromna liczba wartościowych dzieł eksponowanych w muzeum"*. Trudno też dzisiaj ustalić chronologię grabieży. Trzeba pamiętać, że w Europie był to okres tuż po straszliwej wojnie, która sprzyjała rozluźnieniu hamulców moralnych. Często więc dochodziło do rozbojów, kradzieży, czy przywłaszczenia mienia. Nie wszędzie jednak na Ziemiach Odzyskanych panowało przyzwolenie na niszczenie niemieckiej spuścizny kulturalnej. W pierwszych latach powojennych w polskiej prasie można było np. znaleźć apele, aby nie palić niemieckich książek. Argumentowano to tym, że w niemieckich księgozbiorach znaleźć można informacje stanowiące dowód na słowiańską przeszłość Dolnego Śląska.

Jak wynika z powojennych wspomnień Zgorzelczan, przez pierwszy rok budynek muzeum dostępny był bez większych ograniczeń. Mieszkańcy myszkowali po pomieszczeniach i piwnicach, przywłaszczając sobie cenne pamiątki. Jeden z mieszkańców miasta cytowanych przez stronę internetową MZD Zgorzelec wspominał: *„W pierwszym roku nowej historii miasta budynek muzeum był przez krótki okres dosłownie otwarty dla publiczności. Źle, że tak się stało, bowiem ciekawscy, a szczególnie dzieci, szperali po jego salach, a nawet piwnicach. (...) Znajdowały się w nich jakieś paki i skrzynie. Niektórzy widzieli i zapamiętali stroje, szable, modele samochodów"*. Muzeum zostało udostępnione zwiedzającym decyzją zarządu miejskiego w 1946 roku. Jednak już 15 VII 1947 r. podwoje placówki zostały zamknięte. Jak się miało potem okazać – na zawsze. Dochodzenie w sprawie kradzieży w Muzeum prowadził Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Zgorzelcu. Kluczową postacią w sprawie okazał się Niemiec, stróż Muzeum, Bernard Hendler (być może jego nazwisko brzmiało Händler).

Jeden z pierwszych dokumentów w tej sprawie pochodzi z 15 VII 1947 r. i wytworzony został przez Wojska Ochrony Pogranicza. W żołnierskim meldunku mowa jest o śledztwie w sprawie kradzieży w muzeum. *„W związku z powyższym władze UBP aresztowały m.in. stróża miejskiego muzeum – Niemca. Po dwóch dniach został on wypuszczony na wolność i złożył u starosty pow. Zgorzelec doniesienie, wskutek którego przedstawiciel starostwa i funkcjonariusze UBP Zgorzelec odkopali w muzealnych piwnicach trzy skrzynie wielkości stołu pokojowego ze sprzętem kościelnym jak: monstrancje z kielichami, ornatami, pozłacanymi ramami, złotymi monetami o ciężarze około 6 kg oraz wielką ilość eksponatów. Znalezione przedmioty stanowią dużą wartość nie tylko jako kruszec (złoto), lecz również wartość historyczno-zabytkową, ponieważ pochodzą z XI-go i XIII-go wieku"*. Może zaskakiwać prędkość dotarcia do ukrytego skarbu. Takie jest życie. Czasem wieloletnie poszukiwania nie przynoszą żadnych efektów, a kiedy indziej wystarczy tylko trochę pogrzebać łopatą w gruncie, by wydobyć kilogramy złota…

Skrzynie znalezione w piasku

Nieco odmiennie szczegóły odkrycia skarbu przedstawia protokół z otwarcia trzech skrzyń spisany komisyjnie 16 VII 1947 r. o godzinie 10:10 w gmachu Muzeum Miejskiego w Zgorzelcu. Przy wydarzeniu tym obecni byli burmistrz Zgorzelca Leon Turlej, szef Referatu Kultury i Sztuki w Starostwie Powiatowym w Zgorzelcu Adolf Galat, kierownik bliżej niesprecyzowanego *„działu Ogólnego"* Longin Kozłowski, a także artysta malarz Jan Martyniak. W protokole czytamy m.in. (pisownia oryginalna): *„W dniu dzisiejszym zgłosił się do Zarządu Miejskiego portier tut. Muzeum Ob. narodowości niemieckiej Hendler Bernhard i zawiadomił, że żona jego Hendler Margarete chce zdradzić jakąś tajemnicę, dotyczącą Muzeum. Ob. Kozłowski natychmiast zawiadomił burmistrza Ob. Turleja Leona i razem z nim udał się celem przesłuchania Margarety Hendler. W wy-*

niku przesłuchania wymieniona oświadczyła, że w okresie ewakuacji niemców ze Zgorzelca w roku 1944 w nocy słyszała jakiś rumot w piwnicy i jak stwierdziła, że archiwista tutejszy niemiec Pietsch wraz ze stolarzem zakopali w kupie piasku w piwnicy Muzeum jakieś rzeczy. Na zapytanie co tam robili wymieniona oświadczyła, że nie wie. Wobec tego burmistrz miasta osobiście zameldował o powyższym Staroście Powiatowemu, który wydelegował swego przedstawiciela w osobie Kier. Ref. Kultury i Sztuki Ob. Galanta Adolfa i upoważnił do komisyjnego wydobycia i otwarcia zakopanych skrzyń". W dalszej części protokołu wyliczono pieczołowicie wszystkie przedmioty wydobyte z trzech skrzyń. Wyliczanka dotycząca pierwszej ze skrzyń odnotowanych w protokole zawiera 51 pozycji, ze skrzyni drugiej – 52, z trzeciej – 50 pozycji. Czegóż tam nie było… Były m.in. *„binokle »Double«"*, *„plakietka mozaikowa kolorowa nr. 59/37"*, *„skrzynka grająca z dwoma napisami »Wechsel«, »Spielen«"*, *„talerz metalowy z głową Chrystusa"*, *„nożyce do obcinania knotów z podstawką metalową znak Zg. 55/05"*, *„trzy worki jałmużnicze"*, czy też *„stary śpiewnik mocno uszkodzony"*. Oprócz wymienionych rzeczy, w skrzyniach znajdowały się przedmioty, których wartość była bezdyskusyjna. Trudno wyliczać wszystko. Były tam np. złoty zegarek, pierścionki, złota obrączka, srebrna taca, pozłacany puchar srebrny i wiele innych przedmiotów wykonanych z metali szlachetnych, a także cenne przedmioty kultu religijnego, jak: krucyfiksy czy lichtarze. Jedna z pozycji spisu stanowiła: *„paczka zalakowana z nieuszkodzonymi pieczęciami lakowymi zawierająca 45 pakietów z 544 złotymi monetami /według naklejonego na niej wykazu zawartość nie sprawdzana"*. W dwóch innych paczkach miało się znajdować, zgodnie z opisem, odpowiednio 9 oraz 46 złotych monet.

W odkopywaniu skrzyń, ich wydobyciu i otwarciu uczestniczyło kilka osób. Oni też oglądali wyjmowane przedmioty, spisywane następnie do protokołu. Byli to: woźny szkolny pan Gromadka, woźny Zarządu Miejskiego Józef Krowicki, kierownik Domu Kultury Bronisław Piłacki, kierownik Stołówki Miejskiej Stefan Mikuła oraz Czesław Delke i Stanisław Charchan z Przedsiębiorstwa Wodno-Gazowego, jak również, znany nam portier muzealny Bernhard Hendler.

Nazajutrz, czyli 17 VII 1947 r., dokonano komisyjnego otwarcia paczek z monetami. Uczestniczyła w tym komisja, którą tworzyli wspominani już burmistrz Leon Turlej, malarz Jan Martyniak i urzędnik Adolf Galant. Towarzyszył im inspektor Komisji Specjalnej Stanisław Lewiński, a w trakcie przeliczania monet dołączył zastępca szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Zgorzelcu pan Błachnic, oraz *„kier. B.O.S. /-/ Pietras Piotr"*. Jak można policzyć, sumując pozycje z protokołu, znaleziono 55 złotych monet oraz 452 inne monety. *„Powyższe monety z kopertami oraz przedmioty z poz. Nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, i 14 głównego protokołu złożono w pudełku tekturowym, który opieczętowano pieczęcią lakową »Ochrona Skarbowa Nr. 239« i pieczęcią lakow. »Starostwo Powiatowe Gorzelickie« z godłem państwowym i przekazano pod nadzór Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa"* – czytamy w protokole. Tu należą się dwie uwagi. Formalnie nie da się zidentyfikować z całkowitą pewnością, jakie przedmioty z głównego protokołu przekazano ubekom wraz z monetami. W raporcie nie zastosowano bowiem numeracji ciągłej, lecz dla każdej ze skrzyń oddzielną. Można jednak domniemywać, że chodzi o pierwszą wymienioną w protokole skrzynię, w której pod pozycją szóstą zapisano *„binokle »Double«"*. Prawdopodobnie błędnie opisano pieczęć starostwa powiatowego. Tuż po włączeniu wschodniej części Zgorzelca w granice Polski miasto nosiło nazwę Zgorzelice, a nie Gorzelice.

Tajemniczy delegat

Z podpisanego 17 VII 1947 r. protokołu można się dowiedzieć, że trzy skrzynie oraz paczkę z monetami przejęli pod swój nadzór panowie Błachnio i Nowacki z PUBP w Zgorzelcu. W miarę szczegółowo opisał to, przesłuchiwany na tę okoliczność cztery lata później, Bronisław Piłacki (pisownia oryginalna): *„Monety powyższe dołączone do innych przedmiotów przypuszczalnie złotych w rodzaju zegarków, pierścionków itp. zostały zważone przez członka komisji ob. Galanta i waga ich wynosiła około 4,3 lub 5,5 kg. Pozostałe przedmioty z zawartości skrzyń to tace, zegary, kubki, monstrancje, kielichy i.t.d. Monety wraz z innymi przedmiotami złotymi zostały zapakowane w karton i oddane pracownikom U.B. Wszystkie inne przedmioty po skończeniu segregowania (i zważeniu monet wraz z przedmiotami złotymi) zostały komisyjnie spisane, włożone spowrotem do tych samych skrzyń i przewiezione do U.B.P."*.

Niezależnie od tego rozpoczął się przysłowiowy łańcuszek przekazywania wiadomości o skarbie. Burmistrz Zgorzelca zawiadomił o odkryciu Stanisława Watrasa, starostę powiatu zgorzeleckiego. Starostwo Powiatowe w Zgorzelcu 17 VII 1947 r. zawiadomiło telegramem Urząd Wojewódzki Wrocławski, że w piwnicach miejscowego muzeum odkryto trzy skrzynie z zabytkowymi kosztownościami. Jednocześnie Starostwo zwróciło się z prośbą, aby władze wojewódzkie wydelegowały komisję, która przejrzałaby i zabezpieczyła te przedmioty, a następnie wydała dalsze dyspozycje, co należy z nimi zrobić. Tak też się stało – wybrano skład komisji spośród pracowników Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Wrocławskiego. Komisja przybyła do Zgorzelca. Na miejscu czekało ją zaskoczenie. Członkowie komisji dowiedzieli się… że żadnych skrzyń nie zobaczą, bo nieco wcześniej zajął się nimi Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa w Zgorzelcu, który przekazał skrzynie do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu. W tej sytuacji, członkowie komisji musieli zadowolić się odpisem protokołu, w którym z benedyktyńską cierpliwością wyli-

czone były wszelkie przedmioty ujawnione w skrzyniach.

A zatem, skrzynie z cenną zawartością zamiast do muzealników trafiły w ręce ubeków. O takim przebiegu sprawy Naczelna Dyrekcja Muzeów i Ochrony Zabytków (NDMiOZ) została powiadomiona przez Stefana Styczyńskiego – pismem z 23 VII 1947 roku. Artysta plastyk Stefan Styczyński, był delegatem Ministerstwa Kultury i Sztuki do zabezpieczenia zabytków ruchomych w województwie wrocławskim. Na wieść o tym NDMiOZ 13 VIII 1947 r. poleciła Jerzemu Guttlerowi – wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków we Wrocławiu, aby odnaleziony skarb przejąć od WUBP i rozdysponować – przedmioty złote miały zostać zdeponowane w skarbcu Narodowego Banku Polskiego, a przedmioty o wartości muzealnej miały trafić do dyspozycji Ministerstwa Kultury i Sztuki, konkretnie do Muzeum Państwowego we Wrocławiu.

Polecenie to nie zostało wykonane.

2 września (wg innych źródeł 5 września) 1947 r. Naczelna Dyrekcja Muzeów i Ochrony Zabytków otrzymała odpowiedź wicewojewody wrocławskiego Aleksandra Barchacza. Informował on, że Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego nie posiada już przedmiotów znalezionych w piwnicach zgorzeleckiego muzeum, gdyż po przewiezieniu ze Zgorzelca do Wrocławia zostały one wydane delegatowi Ministerstwa Skarbu – bez podania jego nazwiska. Ten zaś zawiózł je do Warszawy.

Cóż było robić? Idąc tym tropem, NDMiOZ 13 XI 1947 r. wysłała prośbę do Ministerstwa Skarbu, na ręce Głównego Inspektoratu Ochrony Skarbowej, o zwrot zajętych przedmiotów ze względu na ich wartość muzealną. Na odpowiedź, typowo „spychologiczną", trzeba było czekać aż 4 miesiące. Udzielił jej Główny Inspektorat Ochrony Skarbowej 9 III 1948 r. stwierdzając, że pismo z zapytaniem przesłał do Departamentu III Ministerstwa Skarbu, bo to on był władny na nie odpowiedzieć. A zatem skierowano pismo do niewłaściwego organu…

Cierpliwi muzealnicy zwrócili się więc do trzeciego departamentu, otrzymując 22 III 1948 r. zaskakującą odpowiedź, że sprawa zabytków ze zgorzeleckiego muzeum nie jest znana Ministerstwu Skarbu! Potem nastąpił długi czas oczekiwania na dalsze wyjaśnienia, które miały nadejść z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Jednak co najmniej do marca 1951 r. żadne wyjaśnienia nie nadeszły…

UB na tropie oszustwa feudałów

Sytuacja była zagadkowa, możliwości dwie. Pierwsza – że bezpieka przekazała błędną informację, jakoby skrzynie ze skarbem zabrał delegat Ministerstwa Skarbu. Druga – że delegat zabrał ze sobą zgorzelecki skarb, który następnie… gdzieś wyparował. Aby rozwikłać ten sekret, Ministerstwo Kultury i Sztuki wystosowało kolejne pismo, tym razem bezpośrednio do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Dzięki temu udało się ustalić, że żaden delegat Ministerstwa Skarbu niczego nie zabrał do Warszawy. Trzy skrzynie spoczywały w dalszym ciągu we Wrocławiu, lecz nie w siedzibie bezpieki, ale w Urzędzie Wojewódzkim Wrocławskim. Jedna ze skrzyń posiadała pieczęcie założone jeszcze w Zgorzelcu, a dwie kolejne, zostały rozpieczętowane i zawierały tylko przedmioty cynowe i posrebrzane niewielkiej wartości. Co się stało z monetami? Te miały zostać w 1948 r. wysłane za pokwitowaniem do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Znamienne są ostatnie zdania dokumentu. Napisano w nich, że występujący w sprawie płk. Dowkan, szef WUBP *„przeczuwa, że »będzie draka«"*… A więc nawet w funkcjonariuszu systemu dalekiego od praworządności odezwało się sumienie wskazują, że postępowanie prowadzone było w sposób nieprawidłowy.

Z jednej z niedatowanych notatek służbowych w tej sprawie pochodzących przypuszczalnie z 1951 r., możemy się dowiedzieć (pisownia oryginalna): *„W sprawie tej dwukrotnie zgłaszał się st. inspektor Ministerstwa Kultury i Sztuki ob. EINLEGER Herman, który m.in. oświadczył, że w Ministerstwie Finansów (u naczelnika Sokołowskiego) jest ślad, który miałby wskazywać na to, że również 5 1/2 kg. złota miało być ze Zgorzelca zdane w Narodowym Banku, ale ślad zaginął"*. Co się stało z pięcioma kilogramami złota? Z odpowiedzią na to pytanie próbowali się zmierzyć, w lipcu 1951 r., dwaj pracownicy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, panowie Szuss i Łachut. Odwiedzili oni 23 i 24 lipca WUBP we Wrocławiu oraz PUBP w Zgorzelcu, i dotarli do części spośród osób, których nazwiska figurowały w protokole z 17 VII 1947 r., a więc tym dotyczącym przeliczenia złotych i innych monet. Nie do wszystkich udało się dotrzeć. Okazało się, że np. Longin Kozłowski już zmarł, dawny burmistrz Zgorzelca Leon Turlej przeprowadził się do Mińska Mazowieckiego, a Adolf Galant, teraz zamieszkały we Wrocławiu, przebywał akurat na kuracji w jednym z uzdrowisk w Górach Złotych. Na miejscu nie było też funkcjonariuszy UB, którzy przejęli złoty skarb. Błachnio został przeniesiony służbowo do WUBP w Lublinie, a Nowacki, po zwolnieniu z UB, podjął pracę w Samopomocy Chłopskiej w Oławie.

Przesłuchany w sprawie dotyczącej wydarzenia sprzed czterech lat Jan Martyniak zeznał m.in., że *„Z przedmiotów znajdujących się w skrzyniach największą uwagę obecnych zwróciły monety koloru żółtego w różnej wielkości, które tak z ilości i objętości mogły ważyć około 4-5 kg."*. Natomiast Bronisław Piłacki w swej relacji dodał, *„że z zawartości skrzyń najwięcej uwagi zwróciły monety w ilości 401 sztuk przechowywane w 45 kopertach"*.

Panowie Szuss i Łachut stwierdzili też, że trudno skonfrontować zawartość skrzyń z tym, co w 1947 r. zapisane zostało w protokole po ich otwarciu, z prozaicznego m.in. powodu. Otóż osoby, które otwarły skrzynie, nie posiadały odpowiednich kompetencji z zakresu muzealnictwa, a w szczególności nie znały się na przedmiotach wykorzystywanych do celów kultu religijnego. Wydelegowanej do Zgorzelca i Wrocławia dwójce pracowników MBP udało się za to wysunąć hipotezę, co też mogło się stać z zaginionym złotem (pisownia oryginalna): *„Legenda 5 kg. złota związana z zawartością skrzyń które rzekomo miało zaginąć pochodzi według wszelkiego prawdopodobieństwa z faktu zważenia monet które z innymi przedmiotami złotymi ujętymi w wymienionych pozycjach ważyły około 5 kg."*. W konkluzji panowie Szuss i Łachut zaproponowali, aby zawartość zgorzeleckich skrzyń, przechowywaną do tego momentu z WUBP we Wrocławiu oraz w Biurze Finansowym MBP, przekazać do dyspozycji Ministerstwa Kultury i Sztuki, ze względu na olbrzymią wartość muzealną. *„Wniosek mój uzasadniam tym, że zawartość złota w starych monetach (ze względu na zna-*

ne oszustwa feudalnych panujących) jest minimalna jak również pozostałe przedmioty w których zawartość złota jest wątpliwa mogą mieć wartość tylko jako przedmioty muzealne" – czytamy w raporcie z podróży służbowej datowanym na 25 VII 1951 r., a adresowanym do dyrektora Gabinetu Ministra Bezpieczeństwa Publicznego, płk. Zygmunta Braude.

Tymczasem miesiące mijały, a trzy zgorzeleckie skrzynie pełne muzealiów w dalszym ciągu spoczywały w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego prowadziło w tej sprawie korespondencję z wrocławskim WUBP. Wiadomo z niej, że w trakcie dorocznej inwentaryzacji 25 IV 1951 r. dokonano komisyjnego otwarcia dwóch spośród trzech skrzyń i spisania po raz kolejny ich zawartości. Trzecia skrzynia została tylko otworzona i zaraz opieczętowana, bez dokonywania opisu.

Cierpliwy Zarząd Muzeów

Ostatnie pismo w tej sprawie do jakiego udało się dotrzeć, pochodzi z 7 IV 1952 roku. Wystosował je Centralny Zarząd Muzeów, podległy Ministerstwu Kultury i Sztuki, do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Z pisma dowiadujemy się, że nie został dotrzymany termin przekazania zgorzeleckich muzealiów, ustalony na 24 III 1952 roku. Dlatego Centralny Zarząd Muzeów kolejny raz zwracał się z prośbą o wyznaczenie nowego terminu, w którym kustosz Muzeum Narodowego w Warszawie Stanisław Gebethner mógłby zostać przyjęty w celu przejrzenia i ewentualnego przejęcia tychże zabytkowych przedmiotów.

Tyle o skarbie. A co z Muzeum? W jego gmachu w lipcu 1948 r. znalazł siedzibę Powiatowy Dom Kultury. Natomiast na utworzenie placówki muzealnej we wschodniej części podzielonego Nysą Łużycką miasta trzeba było poczekać 60 lat. Na początku XXI w., jednak w nieco innej części miasta utworzone zostało Muzeum Łużyckie, które zaczęło przyjmować zwiedzających 20 VII 2007 r. Na drugim brzegu, w niemieckiej części Zgorzelca funkcjonuje za to Muzeum Śląskie.

ZDJĘCIA: ARCH. REDAKCJI.

Źródła:
1. Archiwum Straży Granicznej w Szczecinie, zespół: Łużycka Brygada WOP, sygnatura 307.16 (Meldunki sytuacyjne 1. Oddziału WOP, 2.5.1948-15.8.1948, karta 276 (Meldunek sytuacyjny z 15 lipca 1948).
2. www.mdk.zgorzelec.eu
3. Archiwum IPN [w:] krzysztof.kopec.pl

Tomasz Rzeczycki

Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

REKLAMA

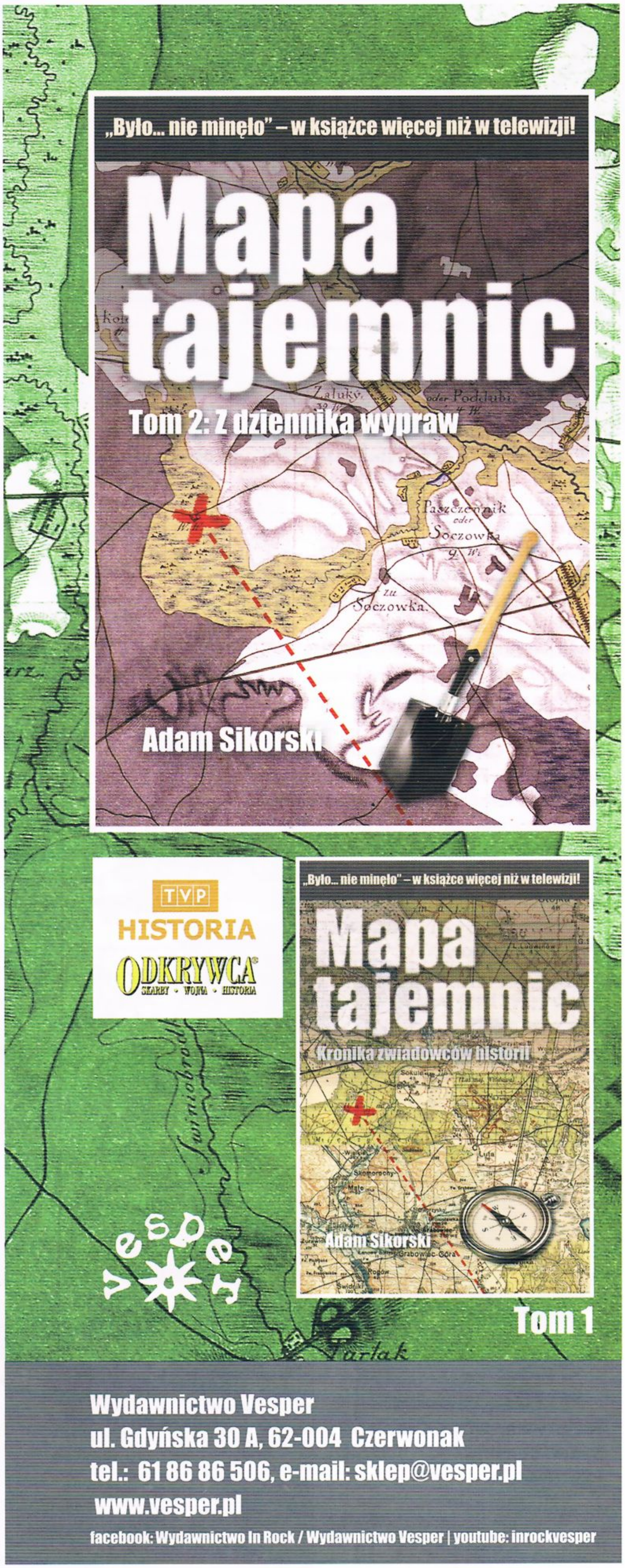

Na tropie skarbu Księcia Piratów

MARCIN SZYMANIAK

Amerykański odkrywca Barry Clifford od 30 lat poszukuje ogromnego skarbu „Czarnego Sama" Bellamy'ego, najbogatszego pirata czasów nowożytnych. Znalezisko, na które natrafił we wrześniu, może świadczyć, że jest bliski celu.

Z początku nic nie zapowiadało, że trzydniowa wyprawa po skarby z zatopionego statku „Whydah" będzie tak owocna. Ekipa pracująca na pokładzie mozoliła się w gęstej mgle, a nurkowie wracali z pustymi rękoma. Wszyscy byli już zmęczeni i rozeźleni, ale trzeciego dnia postanowiono wykopać jeszcze jeden, ostatni już rów na dnie morza, o średnicy około 4 metrów. Gdy nurek-szperacz schodził, by go zbadać, mało kto liczył na sukces. Barry Clifford myślał już o powrocie do portu na półwyspie Cape Cod (stan Massachusetts). Zamiast po 40 minutach, jak postanowił dowódca wyprawy, nurek dał sygnał, że wraca, już 20 minut po zejściu w głębiny. Członków załogi ogarnęło przygnębienie. Gdy jednak mężczyzna wyłonił się z wody, wszyscy oniemieli. Torba na znaleziska była wypełniona po brzegi!

– *Miał tyle różnych przedmiotów, monet i ołowianych kul, że więcej już nie mógł udźwignąć i musiał wracać. Przeczesał przy tym zaledwie 1 metr kwadratowy rowu. Monety leżały tam w kupkach, jak żetony w kasynie* – powiedział Clifford, cytowany przez ABC News.

Nurek Rocco Paccione przyznaje, że nie spodziewał się, iż cokolwiek znajdzie podczas ostatniego zejścia pod wodę. Gdy jednak jego wykrywacz metali nagle się ożywił, od razu zorientował się, iż natrafił na nie byle co. Paccione znalazł między innymi przypominającą kawałek skały tzw. konkrecję, która powstaje wtedy, gdy metale łączą się ze sobą w wyniku chemicznych reakcji w wodzie morskiej. Wykrywacz zasygnalizował też duże skupiska przedmiotów w kształcie monet; niektóre wyglądały tak, jakby były umieszczone w workach. Odkrywcom od razu podniósł się poziom adrenaliny; jeden z piratów z „Whydah" zeznał przed trzema wiekami, że właśnie w taki sposób przetrzymywano na tej jednostce zdobycz.

NA POKŁADZIE „WHYDAH" znajdował się łup nie tylko z żaglowca, ale również 400 tys. złotych i srebrnych monet – całość o wadze 4,5-5 ton – zrabowanych niedługo przed katastrofą… Wręcz niezliczone bogactwa.

W efekcie wrześniowych poszukiwań ekipa Clifforda znalazła skarby o wartości około 0,5 miliona dolarów! Oprócz monet wyłowiono m.in. złote naszyjniki i ołowiane kule do muszkietów. Niektóre przedmioty znajdowały się w piasku aż 6 metrów pod dnem. Amerykański poszukiwacz ma nadzieję, że jest już blisko odkrycia zasadniczej części skarbu „Czarnego" Sama Bellamy'ego – ładunku złotych i srebrnych monet o wadze kilku ton.

Mistrz morskiego rozboju

Człowiek, który zgromadził to bogactwo – Samuel Bellamy – był jednym z najskuteczniejszych morskich rabusiów w historii światowego piractwa. W lutym 2013 roku magazyn „Forbes" umieścił go na pierwszym miejscu listy „najlepiej zarabiających" piratów. Według ekspertów „Forbesa", w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze, jego majątek wynosiłby obecnie 120 milionów dolarów.

Urodzony w Anglii w 1689 roku, mały Sam został majtkiem na okręcie. Jako młodzieniec pływał do brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej, służył też na okrętach korsarskich w czasie wojny z Hiszpanią. Na Cape Cod poznał niejaką Marię Hallett. Połączył ich namiętny związek, ale rodzice dziewczyny nie chcieli mieć za zięcia biednego marynarza. Bellamy postanowił wtedy spróbować sił jako… poszukiwacz skarbów. Wraz ze swym kompanem Palgravem Williamsem zorganizował wyprawę po kosztowności z zatopionych statków hiszpańskiej tzw. Srebrnej Floty. Były to regularne konwoje, którymi Hiszpanie

Artystyczna wizja „Czarnego Sama" Bellamy'ego – Księcia Piratów.

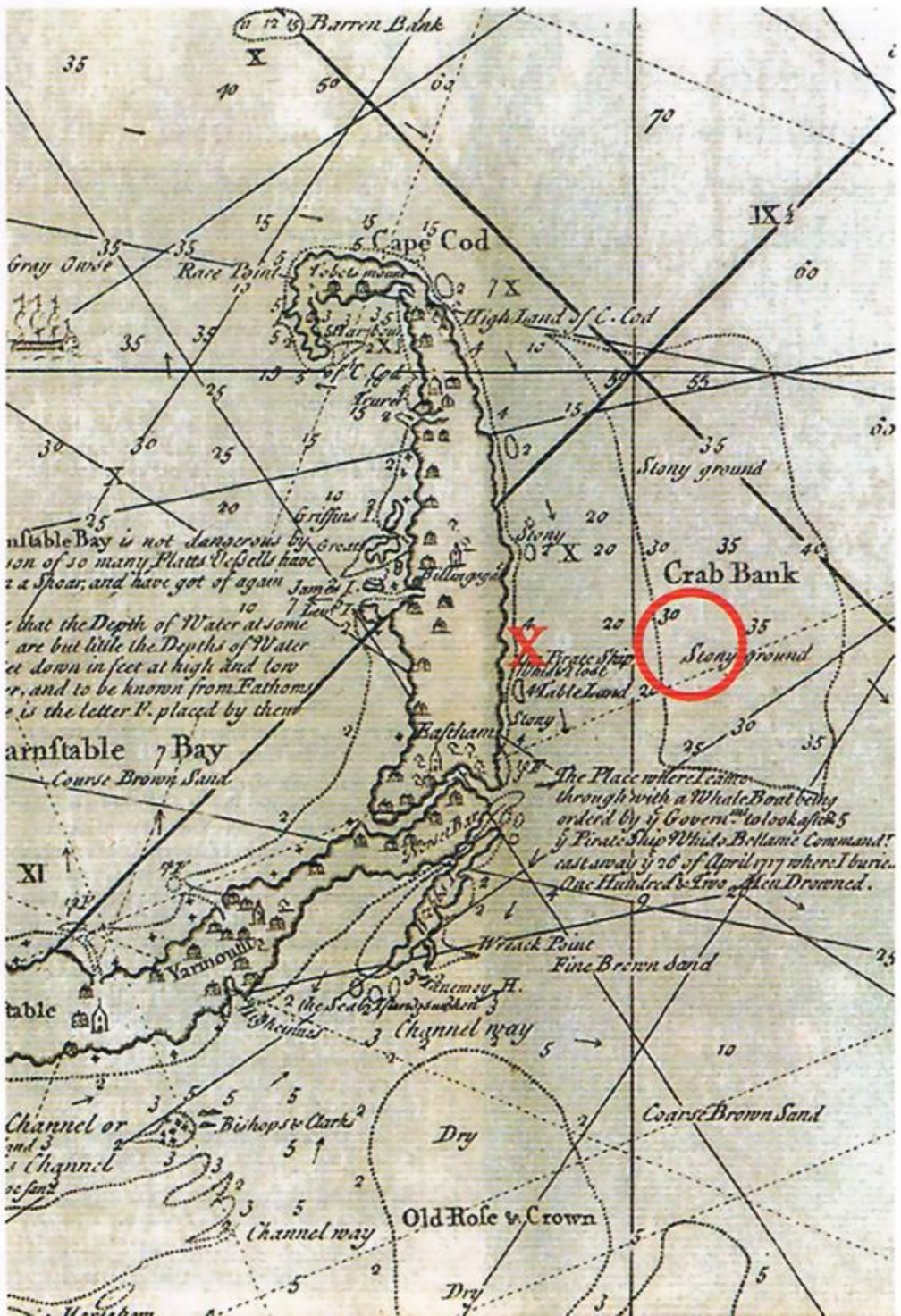

Mapa z lokalizacją wraku „Whydah Gally" przy brzegach stanu Massachusetts.

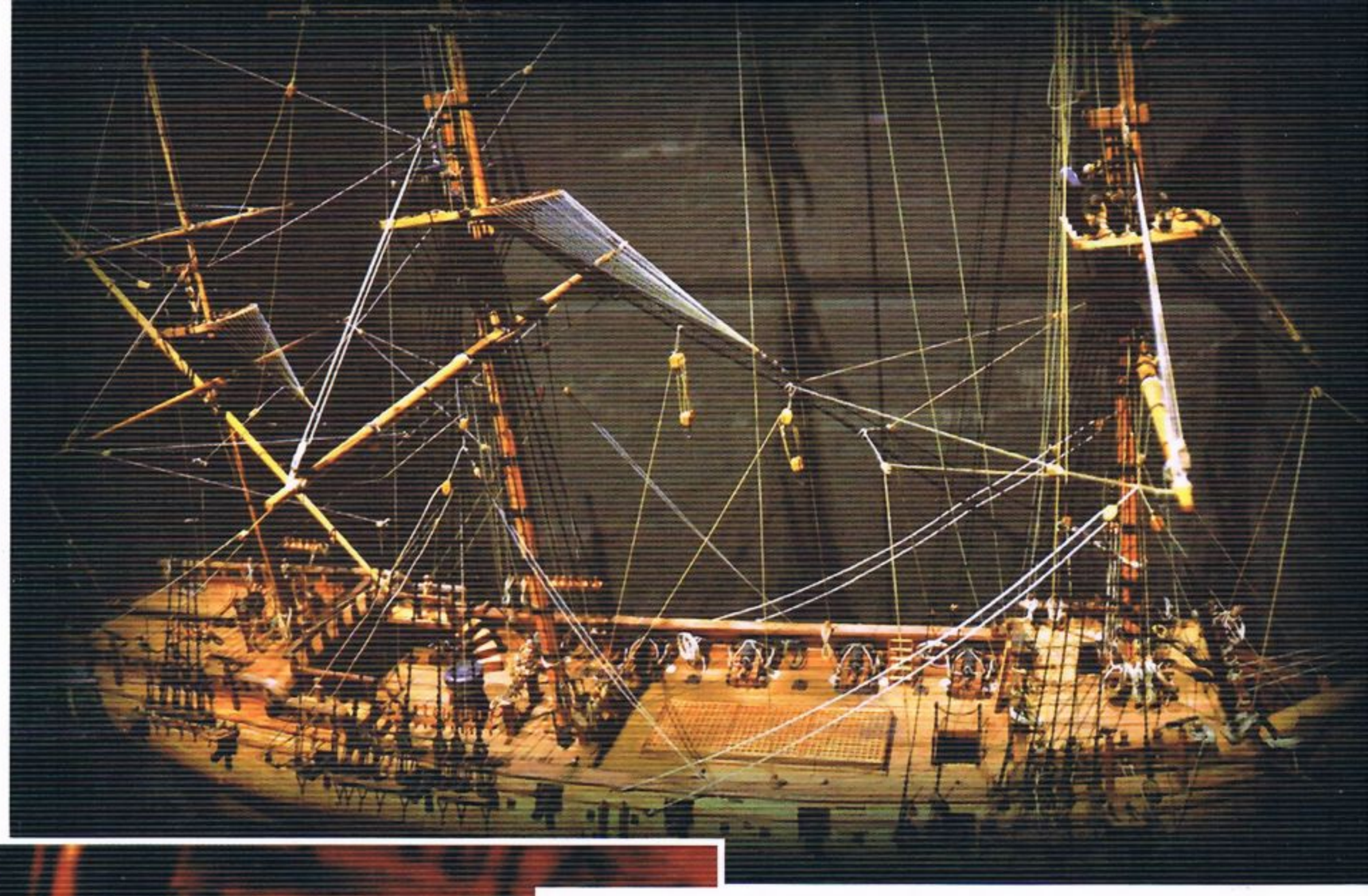

Model kolekcjonerski „Whydah Gally".

przewozili do kraju bogactwa ze swoich kolonii w Ameryce – srebro, złoto, klejnoty, perły, korzenie, cukier, tytoń itd. Wiele jednostek zatonęło podczas sztormów, część padała ofiarą napaści piratów i korsarzy. Na trasie Srebrnej Floty można więc było liczyć na „tłuste kąski".

Bellamy'emu i Williamsowi nie powiodło się jednak. Poszukiwania skarbów w morzu i dziś są niezwykle trudne, a co dopiero mówić o początkach XVIII wieku, kiedy nie dysponowano żadnym specjalistycznym sprzętem. Dwaj Brytyjczycy nabrali jednak takiego apetytu na hiszpańskie bogactwa, że postanowili zdobyć je inną drogą. Zaciągnęli się na piracki statek „Mary Anne" kapitana Benjamina Hornigolda.

Atmosfera na „Mary Anne" nie była najlepsza. Sporej części załogi nie podobała się postawa kapitana, który, jako lojalny poddany Korony Brytyjskiej, nie chciał atakować i rabować brytyjskich statków. W lecie 1716 r. postanowiono rozstrzygnąć spór wśród załogi poprzez głosowanie. Hornigold przegrał, złożył rezygnację z funkcji kapitana i opuścił jednostkę wraz z grupą lojalnych wobec niego ludzi. Pozostałych 90 marynarzy nieoczekiwanie wybrało na nowego dowódcę Sama Bellamy'ego. Świeżo upieczony kapitan miał zaledwie 28 lat, ale – jak się wkrótce miało okazać – talentów mu nie brakowało. Tak zaczęła się trwająca nieco ponad rok oszałamiająca piracka epopeja. Po przechwyceniu statku „Sultana" Bellamy przesiadł się na tę jednostkę, a kapitanem „Mary Anne" mianował swego przyjaciela Williamsa. Na swoją bazę wybrał niewielką wysepkę Blanco w zatoce Trellis. Piraci zbudowali tam osadę, w której gromadzili łupy, leczyli rany i organizowali huczne libacje po udanych rabunkach. Pływając pod czarną banderą z trupią czaszką i dwoma skrzyżowanymi piszczelami, „Sultana" i „Mary Anne" siały postrach na Karaibach, łupiąc statek za statkiem w błyskawicznym tempie. Bellamy'ego zaczęto nazywać „Czarnym Samem", gdyż nosił charakterystyczne długie czarne włosy, które związywał satynową opaską. Zyskał sobie opinię rycerskiego rabusia, bo załogi i pasażerów zajętych jednostek traktował łaskawie i – jeśli nie stawiali oporu – nie czynił im krzywdy. Stąd wziął się jego drugi przydomek – „Książę Piratów".

Skarby z zatopionego statku...

Dzwon odzyskany z wraku.

Początkowo atakował tylko niewielkie jednostki. Wykorzystując każdą małą zdobycz, pieczołowicie uzupełniał zbrojownie swoich statków, a załogi wzmacniał nowymi ochotnikami. Najmłodszym piratem w załodze „Czarnego Sama" został 11-letni John King. Bellamy zaatakował i opanował statek, którym chłopak podróżował wraz z matką. Małemu Johnowi tak spodobały się obyczaje morskich zbirów i perspektywa zostania morskim rabusiem, że poprosił o przyjęcie do korsarskiego bractwa. Zaczął nawet grozić matce, że się zabije, jeśli nie pozwoli mu zostać z „Czarnym Samem". Rozbawieni piraci zabrali małego Johna ze sobą, pozostawiając na obrabowanym statku jego zrozpaczoną matkę.

Tropem handlarzy niewolników

Zimą 1717 r. Bellamy doszedł do wniosku, że jest już wystarczająco silny, by zaryzykować atak na większy statek. Celem flotylli „Czarnego Sama" miał się okazać niewolniczy trójmasztowiec „Whydah". Była to nowoczesna, niedawno zwodowana jednostka o wadze 272 ton, uzbrojona w 18 armat. „Whydah", którego nazwa pochodziła od portu w Afryce Zachodniej, uczestniczył w niesławnym „trójkątnym handlu" na Atlantyku. Brytyjczycy najpierw płynęli do Afryki, gdzie w zamian za liche ubrania, alkohol, świecidełka i broń małego kalibru nabywali niewolników. Następnie transportowali ich w straszliwych warunkach przez 3-4 tygodnie do Ameryki, by sprzedać „żywy towar" plantatorom. Otrzymawszy zań złoto, srebro, indygo i drzewo chinowe, wracali do Anglii, ciesząc się niebotycznym zyskiem.

Drugi w swoje karierze rejs „Whydah" odbył z Afryki na Karaiby z niemal 400 czarnymi niewolnikami na pokładzie.

Około 50 z nich zmarło podczas morderczej podróży przez Atlantyk. Resztę skutych kajdanami biedaków sprzedano na targach niewolniczych i wkrótce statek wypłynął z powrotem do Anglii obładowany złotem i srebrem. Właśnie wtedy w pobliżu Hispanioli ruszyły za nim „Sultana" i „Mary Anne". Pościg trwał trzy doby. Gdy piraci dogonili „Whydah", jego armaty na nic się zdały. Załoga wpadła w panikę i zaczęła naciskać na dowódcę, kapitana Lawrence'a Prince'a, by poddał statek. „Sultana" oddała tylko jeden ostrzegawczy strzał z armaty. Zorientowawszy się, że jego ludzie nie mają najmniejszej ochoty do walki, Prince kazał wywiesić białą flagę. Piraci „Czarnego Sama" wskoczyli na pokład supernowoczesnego żaglowca i rozbroili jego załogę. W ładowniach znaleziono ogromny majątek – 4,5 tony złota i srebra, skrzynie ze złotymi i srebrnymi monetami o wartości około 20 tys. funtów szterlingów, a także ładunek indygo i kości słoniowej. Dla marynarzy, zarabiających ówcześnie około 2 funtów miesięcznie, był to bajeczny wprost łup. Każdy z nich „zarobił" tego dnia równowartość płacy za kilka lat ciężkiej harówki na pokładzie. Zdobyczą był także wspaniały statek. Bellamy postanowił, że „Whydah" będzie odtąd jego okrętem flagowym. Przesiadł się wraz z załogą, liczącą już około 150 osób, na zdobyczny trójmasztowiec. Jak zwykle wspaniałomyślny, puścił wolno dotychczasowego dowódcę Lawrence'a Prince'a, przekazując mu „Sultanę". Część załogi Prince'a dołączyła do piratów, a pokonany kapitan odpłynął wraz z pozostałymi. „Czarny Sam" zaczął się zastanawiać co dalej… Gdy podjął decyzję, uroczyście przemówił do załogi: – *No, chłopaki, dość się już nachapaliśmy. Pora do domu!* Uznał, że po obrabowaniu w ciągu roku około 50 statków jego ludziom należą się wakacje. Zamierzał uciec daleko na północ, przewidując, że po ostatnim wyczynie królewska marynarka zorganizuje na niego wielką obławę.

Na początku kwietnia 1717 r. obładowane złotem „Whydah" i „Mary Anne" ruszyły w stronę Richmond Island. Po drodze nie gardzili okazjami… zatrzymywały się i rabowały napotykane statki. W pewnym momencie „Czarny Sam" zmienił kurs i skierował się na Cape Cod. Do dzisiaj nie wiadomo, co nim kierowało. Według legendy Bellamy chciał się zobaczyć ze swoją ukochaną Marią Hallett. Niektórzy historycy twierdzą jednak, że pirat zrabował na jednym ze statków („Agnes") duży ładunek beczek madery i chciał go jak najszybciej spieniężyć na brzegu. Tak czy inaczej „Czarny Sam" i Palgrave Williams uzgodnili, że na razie się rozstają. „Mary Anne" popłynęła w swoją stronę, a „Whydah" w swoją – prosto w paszczę sztormu.

Zabójczy ocean

Był 26 kwietnia 1717 roku. Z każdą godziną wieczoru sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna, a morze zamieniało się w szalejącą kipiel. Według świadków o burty uderzały ogromne fale, a porywy wiatru uniemożliwiały jakiekolwiek działania na pokładzie. Przed północą „Czarny Sam" próbował zawrócić, ale obładowanym łupami statkiem nie sposób było skutecznie manewrować. Z pokładu „Whydah" widać już było brzeg, gdy trójmasztowiec nagle zarył w podmorski grzbiet. Ogromna fala wdarła się do wnętrza statku przez rozdarty kadłub, zmiatając wszystko na swej drodze. Maszty pękły jak zapałki. Dowódca wydawał jeszcze jakieś rozkazy, ale nikt go nie słyszał. Wir uniósł ze sobą ludzi, worki monet, armaty, skrzynie z muszkietami, kule armatnie, beczki z maderą i suszonym mięsem, klejnoty, pistolety i szpady – wielki skarb. Potem rozległ się potworny trzask – statek pękł na pół i wszystko, czego nie zabrały jeszcze fale, zaczęło wypływać na zewnątrz.

„Whydah" poszedł na dno razem z całą swoją załogą.

Rankiem na wybrzeżu zaczęli gromadzić się lokalni farmerzy. Jedni obserwowali dziesiątki zwłok unoszących się na wodzie i żywo komentowali, inni chodzili po plaży gorączkowo szukając monet i kosztowności. Znalazłszy ciało pirata, obcinali palce z pierścieniami i wyrywali kolczyki z uszu. Wkrótce na miejscu pojawił się kapitan Cyprian Southack, któremu miejscowy gubernator wyznaczył zadanie zebrania wszystkiego, co się da ocalić z rąk szabrowników. Jak relacjonował potem Southack, co najmniej dwustu miejscowych przeszukiwało wybrzeże na długości około 30 kilometrów. Z około 150-osobowej załogi pirackiego statku ocalało tylko dwóch mężczyzn – półkrwi Indianin, genialny nawigator John Julian oraz Walijczyk Thomas Davis. Obu schwytano i odstawiono do Bostonu, gdzie stanęli przed sądem. Davis zeznał tam, że na pokładzie „Whydah" znajdowało się 180 wielkich worów ze złotymi i srebrnymi monetami, podzielonych już po równo pomiędzy wszystkich członków załogi.

Feralnej nocy na dno poszedł nie tylko „Whydah", ale również – jak się później okazało – „Mary Anne". Ze statku Williamsa ocalało siedmiu członków załogi. Dołączyli w Bostonie do dwójki kolegów z „Whydah" – razem zostali osądzeni za rozbój na morzu. Dwóch piratów uniewinniono, gdyż udało im się przekonać sędziego, że dostali się do kompanii „Czarnego Sama" jako jeńcy i do uprawiania piractwa zmuszono ich groźbami. Sześciu powieszono w październiku 1717 roku. Król Anglii chciał im darować co prawda życie, ale zanim wiadomość o akcie łaski dotarła na drugi kraniec Atlantyku, było już trzy tygodnie po egzekucji. Pół-Indianina Juliana sprzedano w niewolę.

Choć kapitan Southack bardzo się starał, udało mu się odzyskać jedynie mikroskopijną część łupu z „Whydah".

PYTANIE: Ile lat miał najmłodszy pirat w załodze „Czarnego Sama", John King?

ODPOWIEDŹ: SMS POD NR 7368 O TREŚCI: ODKRYWCA._____
(po kropce, bez spacji wpisać odpowiedź na pytanie).

KONKURS SMS-owy

10 nagród książkowych. Ogólna wartość nagród – 409 zł.

Aby zagrać o nagrodę od 10 X 2013 r. do 31 X 2013 r. wyślij SMS-em odpowiedź na pytanie konkursowe, wpisując w treści: ODKRYWCA.odpowiedź na pytanie. Należy ją wpisać bezpośrednio po kropce, nie używając spacji po treści kodu, pod numer 7368 za 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach GSM).

Nagroda zostanie przekazana zwycięzcy Konkursu przesyłką poleconą po opublikowaniu listy zwycięzców. Pełny regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl

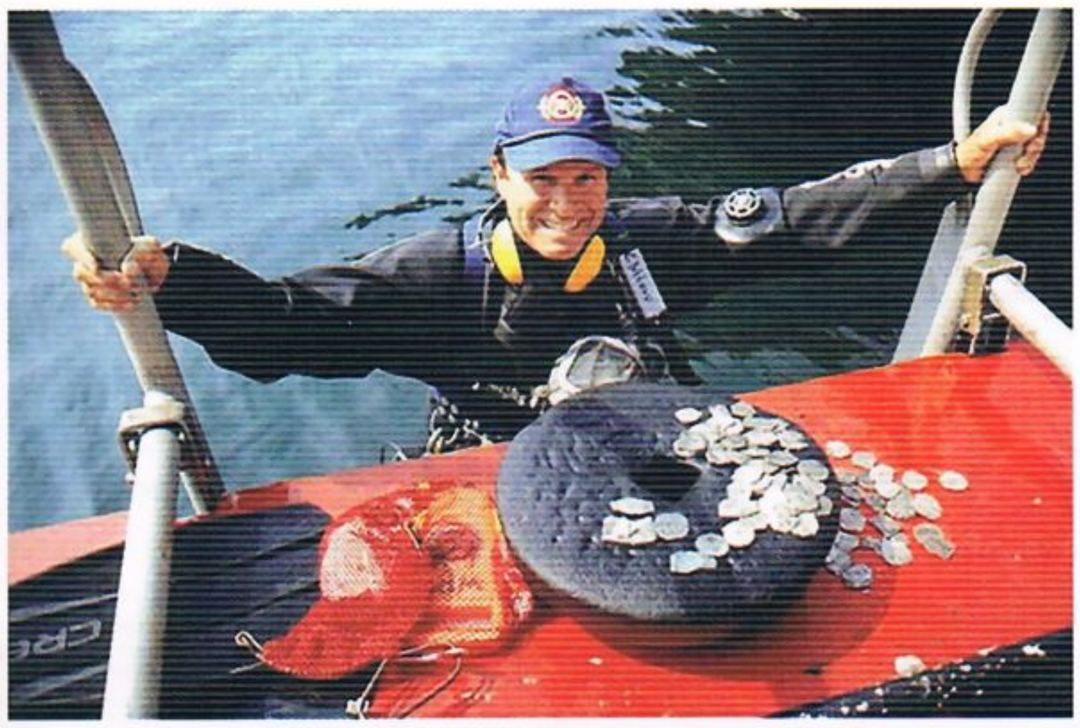

Amerykanin Barry Clifford, odkrywca wraku „Whydah Gally".

Wezwał miejscowych do zwrotu znalezionych przedmiotów, ale przynosili tylko kawałki masztów, broń, czasem jakiś pierścień z wydłubanym diamentem. Na Cape Cod zaczęła rodzić się legenda o ogromnym skarbie „Czarnego Sama" spoczywającym na dnie oceanu. Niewiele więcej mogąc zrobić, Southack dokładnie zaznaczył miejsce katastrofy na swojej mapie. Opisał też poszukiwania w dzienniku, który prowadził.

Wkrótce dokumenty Southacka trafiły do archiwów, po czym o nich zapomniano. Żyła tylko legenda, ubarwiana nowymi, coraz bardziej fantastycznymi opowieściami. Przez niemal trzy stulecia wrak leżał na dnie morza, czekając na swego odkrywcę.

Dzwon i noga małego Johna

Świat ponownie usłyszał o „Whydah" w latach 80. XX wieku. Korzystając z mapy Southacka oraz ustaleń historyka Kena Kinkora, poszukiwacz skarbów Barry Clifford odnalazł pozostałości niewolniczego trójmasztowca w pobliżu Cape Cod. Nurkowie namierzyli fragmenty statku 1,5 metra pod dnem oceanu, w miejscu o głębokości zaledwie kilku metrów.

Z wykształcenia historyk, Clifford pasjonował się od młodości eksploracją morza. W latach 70. pracował przy podmorskich odwiertach ropy naftowej i uczestniczył w operacjach ratowniczych. Potem poświęcił się bez reszty poszukiwaniom podmorskich wraków. Nic dziwnego – urodzony na Cape Cod, od dziecka słyszał opowieści o gigantycznym skarbie leżącym gdzieś niedaleko wybrzeża. Wizje ukrytych pod dnem worków złota, armat, skrzyń z bronią i figurek z kości słoniowej rozpalały jego wyobraźnię. W swej karierze poszukiwacza umiejętnie połączył wykształcenie historyczne z technicznymi umiejętnościami nabytymi podczas pracy dla firm naftowych. W archiwalnych dokumentach odnajdywał informacje o rejonach katastrof morskich, a następnie przeszukiwał je za pomocą najnowocześniejszych detektorów.

Po znalezieniu statku Bellamy'ego ekipa Clifforda zaczęła kopać w dnie rowy, krok po kroku wydzierając morzu skarby sprzed trzech wieków. Eksploracja miejsca, gdzie znajdują się szczątki „Whydah", jest piekielnie trudna; to dlatego poszukiwania trwały ponad 30 lat. Wiatry i prądy morskie są tam tak niesprzyjające, jakby ocean za wszelką cenę bronił zaginionych bogactw. Prowadząc poszukiwania, Clifford musiał unieruchamiać swój statek za pomocą aż siedmiu kotwic. Woda ma bardzo ciemny kolor, a dno jest muliste i pod wpływem podwodnych prądów ciągle zmienia swe ukształtowanie. Każdy rów wykopany przez nurków znikał po kilku godzinach i trzeba było kopać na nowo.

W 1985 roku Clifford zademonstrował dzwon okrętowy z napisem „The Whydah Gally 1716", kładąc kres wszelkim wątpliwościom dotyczącym jego odkrycia. Potem nurkowie wydobyli z morskiego dna ok. 100 tys. przedmiotów, niezliczone złote i srebrne monety, biżuterię, armaty, flinty skałkowe. Wśród skarbów odnaleźli kość nogi chłopca w wieku 8-11 lat, XVIII-wieczny dziecięcy bucik i strzępy jedwabnej pończochy – prawdopodobnie pozostałości po małym głuptasie Johnie Kingu, który dołączył do piratów i zginął razem z nimi w katastrofie. Ekipa Clifforda nazbierała już tyle pamiątek ze statku Bellamy'ego, że w Provincetown otwarto Muzeum Pirackiego Wraku „Whydah". Zwiedzający mogą tam oglądać m.in. armatę z lufą nabitą kosztownościami i część z 12 tysięcy znalezionych dotychczas monet. Zdziwienie budzi ilość ozdób, którymi rabusie ozdabiali swoje stroje: ozdobnych guzików, zapinek do mankietów, pierścieni, łańcuchów, klamerek.

Największy skarb wciąż jednak leży gdzieś pod dnem i Clifford zapowiada, że nie ustanie w jego poszukiwaniach. Według odkrywcy w momencie zatonięcia na pokładzie „Whydah" znajdował się nie tylko łup z tego żaglowca, ale również 400 tysięcy złotych i srebrnych monet (całość o wadze 4,5-5 ton) zrabowanych niedługo przed katastrofą z dwóch statków zmierzających ku Jamajce. – *Bellamy ładował całą zdobycz na „Whydah". Zakładamy, że była tam wprost nieprawdopodobna ilość bogactw* – podkreśla poszukiwacz skarbów.

Clifford traktuje znaleziska z Cape Cod jako historyczne dziedzictwo, a nie towar. Nie sprzedawał dotychczas znalezionych monet oraz przedmiotów i podkreśla, że nie będzie tego robił w przyszłości, bez względu na to, jak dużej wartości skarby uda mu się odnaleźć. Pewną ilość monet rozdał tylko za darmo jako pamiątki. Dwie z nich zostały wystawione na sprzedaż w domu aukcyjnym na Florydzie – za tę droższą uzyskano cenę 11,4 tys. dolarów, czyli 36 tys. złotych. Jak zaznaczają eksperci od wyceny zabytkowych przedmiotów, jeśli poszukiwacz znajdzie główną część skarbu „Czarnego Sama", cena jednej monety spadnie do około 1 tys. dolarów. 400 tysięcy czy chociażby nawet 100 tysięcy monet i tak byłoby oszałamiającym bogactwem.

ILUSTRACJE:
1. EN.WIKIPEDIA.ORG
2. WWW.EARLYAMERICANCRIME.COM
3. PIRATICAL2.PBWORKS.COM

Marcin Szymaniak

Dziennikarz; przez kilkanaście lat pracował w „Rzeczpospolitej" i „Życiu Warszawy", obecnie autor niezależny; publikował m.in. w „Focus Historia", „Focus Śledczy", „National Geographic Traveler".

Dziesiątka najlepiej „zarabiających" piratów według magazynu „Forbes". Na zaszczytnym pierwszym miejscu „Czarny Sam" Bellamy z łupami wycenionymi na 120 milionów dolarów.

1. Samuel „Czarny Sam" Bellamy – 120 milionów dolarów.
2. Sir Francis Drake – 115 milionów dolarów.
3. Thomas Tew – 103 miliony dolarów.
4. John Bowen – 40 milionów dolarów.
5. Bartholomew „Czarny Bart" Roberts – 32 miliony dolarów.
6. Jean Fleury – 31,5 miliona dolarów.
7. Thomas White – 16 milionów dolarów.
8. John Halsey – 13 milionów dolarów.
9. Harry Morgan – 13 milionów dolarów.
10. Edward „Czarnobrody" Teach – 12,5 miliona dolarów.

Brunatny skarb – „nowa Ameryka" na Łużycach (cz. 3)

JANUSZ SKOWROŃSKI, ANDRZEJ KUŹNIAR

Odbudowane głębinowe kopalnie węgla brunatnego po II wojnie światowej, na polskich już Górnych Łużycach, prosperowały w najlepsze. Wydawało się, że tzw. nowa Ameryka na Łużycach – zjawisko jeszcze na przełomie XIX i XX wieku przyrównane do słynnej amerykańskiej gorączki złota – miało nie mieć końca. Tak, jak i pokłady węgla. Brunatnego skarbu, którego miało tu wystarczyć na długie lata po zakończeniu wojny. Życie potoczyło się jednak inaczej, z tragicznym na koniec skutkiem dla ludzi i kopalni. Oto trzecia, ostatnia część tej historii.

Odnalezione zdjęcie górników z kopalni „Glückauf" – 31 V 1906 rok. Po wojnie znanej jako kopalnia „Lubań".

Dawną kopalnią „Glückauf", a teraz „Lubań", przemianowaną tak 14 września 1945 roku, kierowali kolejno dyrektorzy: Stanisław Rogula, Stefan Pełka i Jerzy Koppel. Nazwa „Lubań" odnosiła się do miasta, choć nieodległego, to jednak leżącego poza kopalnią. Tu, gdzie zlokalizowano dyrekcję kopalni i brykietownię, niemieckiej wsi Lichtenau nadano adekwatną do przetwarzanego bogactwa polską nazwę Węgliny, zaś sąsiedniej Geibsdorf, gdzie zlokalizowano kopalnię, polską nazwę Jeziorna. Obie podlubańskie wsie połączyła licząca ponad 3 km kolejka linowa, unowocześniająca sposób transportu wydobytego węgla. Kopalnia „Lubań" nie należała do bezpiecznych. Woda, którą nieustannie trzeba było wypompowywać, a pompy pracowały dzień i noc, oraz samozapalenie złoża, a szczególnie kurzawka (nawodniony piasek z domieszką iłu), ciągle zagrażały górnikom. Zdarzały się groźne wypadki. Jak już wspominaliśmy w poprzedniej części, dwa lata po uruchomieniu kopalni, 24 października 1947 roku wybuchł pożar. Podejrzewano sabotaż, a kopalnię na pewien czas zamknięto. Co stało się z górnikami? Zapewniono im wówczas pracę, dowożąc do kopalni w Kaławsku i Żarach. Niebawem okazać się miało, że przewożenie górników między kopalniami stanie się tu normą. Z kolei groźna kurzawka kilkakrotnie niszczyła (zamulała) podziemne chodniki i wyrobiska. Pod koniec lat 40. zabiła dwóch górników – Polaka z Siekierczyna i Niemca, mieszkańca pobliskiej Rudzicy.

Z przekazów wiadomo, że po Jerzym Koppelu kopalnią kierowali kolejno: Wojciech Gwóźdź, a po nim inżynier z Górnego Śląska Józef Jenczmionka. W 1951 roku dokonano połączenia kopalni „Lubań" z kopalnią „Kaławsk" koło Węglińca. Od tego czasu dla kopalnianego przedsiębiorstwa stosowano wspólną nazwę „Lubań-Kaławsk". Co ciekawe, wcześniej, bo już w 1947 roku dokonano stosownych zmian górniczych miejscowości. Jeziorna stała się Siekierczynem, zaś Węgliny przemianowano na Zarębę. Ważnemu węzłowi kolejowemu, ok. 20 km na północ od obu wsi, o niemieckiej nazwie Kohlfurt, nadano po wojnie polską nazwę Kaławsk. Miasteczko, obok którego znajdowała się kolejna z podziemnych kopalń węgla brunatnego, ustanowiono siedzibą Misji Brytyjskiej. Nazwę „Kaławsk" wprowadzono 28 sierpnia 1945 roku, cztery tygodnie po tym, jak w Poczdamie zapadły ustalenia „Wielkiej Trójki".[1] Brytyjczycy pozostawali w Kaławsku do września 1947 roku i to głównie dla nich – z uwagi na uzgodnienia międzynarodowe – zachowywano nazwę. Skoro w 1947 roku „zwalniała się" w nieodległej miejscowości nazwa Węgliny (zastąpiona przez Zarębę), a Misja Brytyjska została już zlikwidowana, zapewne dla podtrzy-

Świetlica kopalni „Lubań", lata 50. W środku dyrektor Stefan Pełka (piąty od lewej w pierwszym rzędzie, pracował także w kopalni „Kaławsk").

mania górniczej tradycji i jedności obu kopalń, postanowiono kolejarsko-górniczą miejscowość Kaławsk nazwać Węglińcem. Nazwa „Kaławsk" miała odnosić się teraz jedynie do kopalni, przejętej zaraz po wojnie pod nazwą… „Stadt Görlitz". Kopalnia ta funkcjonowała od 1903 roku. Przez pierwszych sześć lat węgiel wydobywano w niej jedynie na jedną, dzienną zmianę, by z czasem przejść na system zmianowy. Najgłębsze pokłady

Kopalnia „Stadt Görlitz" położona wśród lasów Puszczy Zgorzeleckiej, otrzymała po wojnie polską nazwę „Kaławsk".

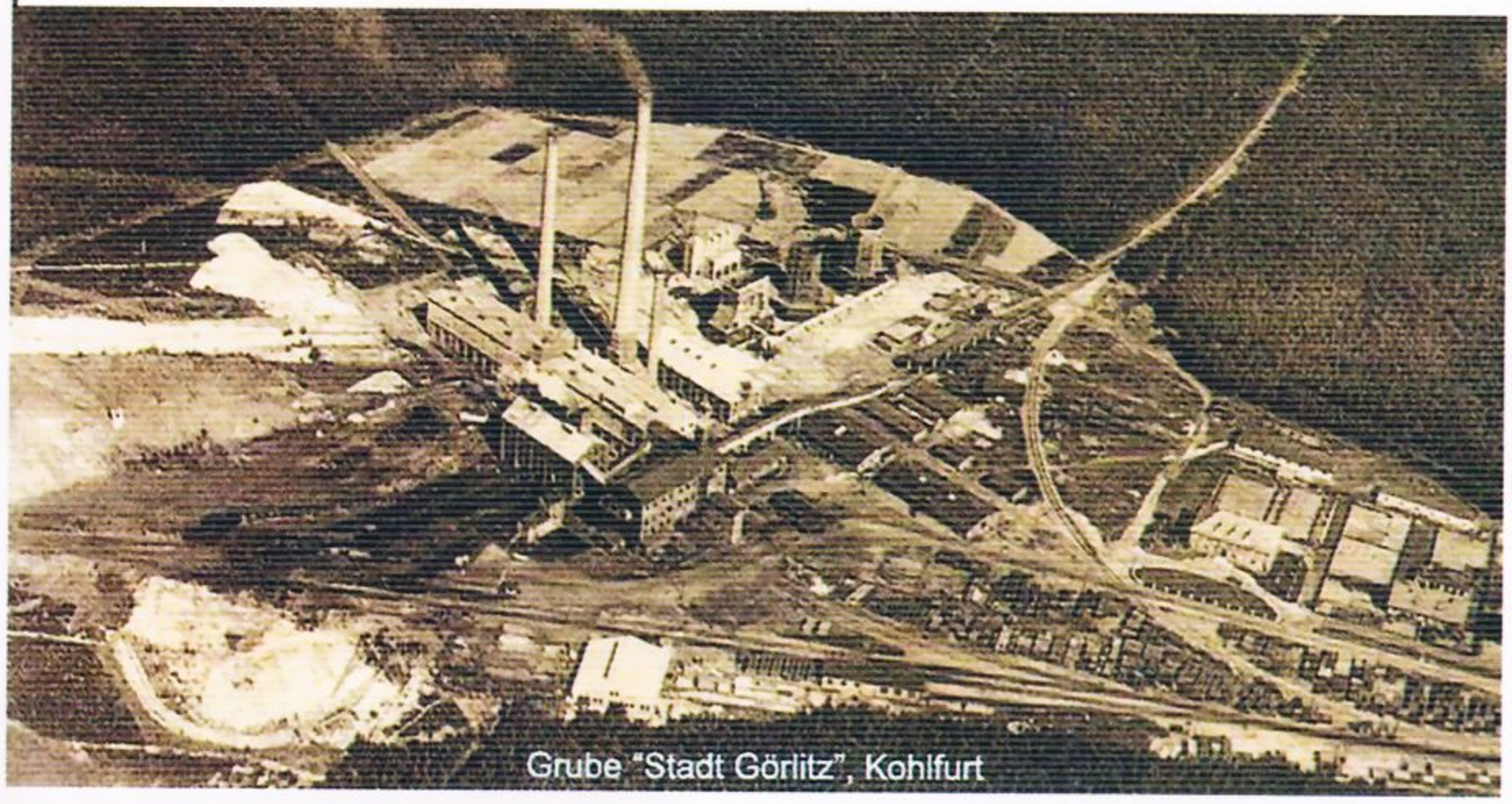

Grube "Stadt Görlitz", Kohlfurt

Odnaleziony szyld kopalni.

wysokokalorycznego węgla zalegały na głębokości nawet do 85 metrów. Po wojnie eksploatowane pola górnicze były już płytsze – 25-30 m poniżej poziomu ziemi, co skończyło się katastrofą górniczą, o czym w dalszej części. Przy kopalni znajdowała się brykietownia i elektrownia. Przed wojną brykietownia wytwarzała ponad 80 tys. ton brykietów rocznie.

Jadwiga Gałus do pracy w dyrekcji kopalni „Lubań" w Zarębie przyszła w 1951 roku. Najpierw została sekretarką, a później inspektorem ds. organizacji i normowania pracy. Choć pracowała w niej do 1955 roku, pod ziemię zjechała… tylko raz, z ciekawości. Winda-kosz zwoziła jednorazowo w dół około 10-15 osób. Zapamiętała ciężkie warunki pracy, było nieprzyjemnie i mokro, panował półmrok. Lampki górnicze rozświetlały jedynie najbliższe otoczenie. Po dziesięciu minutach pani Jadwiga była z powrotem na górze. Kopalnia „Lubań" odgrywała aż do zamknięcia dominującą rolę nie tylko w życiu gospodarczym, co oczywiste, ale także społecznym. Posiadała własne przedszkole i zakładową świetlicę, gdzie prowadzone były zajęcia kulturalne, zakładowe ambulatorium medyczne, zakładową straż pożarną oraz klub sportowy „Górnik" Zaręba Górna. Na początku lat 50. kopalni ufundowano sztandar. Jej własnością była również „Gospoda Górnicza", miejsce corocznych uroczystości z okazji Dnia Górnika.[2] Jerzy Nawrocki, syn górnika z Kopalni „Lubań" zapamiętał, że zakład ojca organizował dla dzieci mikołajki połączone z prezentami. Jednego roku świąteczny prezent był szczególnie osobliwy – dzieci górników zaproszono na wycieczkę i zwieziono do kopalni, na dół. Zachowana przez panią Gałus legitymacja służbowa potwierdza, że obie kopalnie „Lubań" i „Kaławsk" – choć odległe – stanowiły jedno przedsiębiorstwo. Do kopalni „Lubań" trafił z Górnego Śląska i objął stanowisko głównego inżyniera kopalni Wincenty Goryl. Został on w 1957 roku ostatnim dyrektorem Kopalni „Lubań-Kaławsk". Ostatnim na „Lubaniu", gdyż siekierczyńską kopalnię zamknięto (1957) z powodu trudnych warunków eksploatacyjnych. Rok później ten sam los spotkał zarębiańską brykietownię, do której surowiec dowożono już z „Kaławska". Górnicy szybko znaleźli nową pracę – albo w pracującej kopalni „Kaławsk", wspólnego górniczego przedsiębiorstwa, albo zatrudniając się w konkurencyjnej, otwie-

Legitymacja służbowa Jadwigi Gałus jest potwierdzeniem, że obie kopalnie stanowiły wspólne przedsiębiorstwo.

Wejście do szybu „Rygle II", gdzie doszło do katastrofy.

ranej właśnie kopalni odkrywkowej „Turów", bądź elektrowni w Bogatyni. Na kopalni „Lubań" zdemontowano maszyny górnicze a przede wszystkim pompy odwadniające. Górnicze wyrobiska szybko zapełniły się wodą.

Pomimo konkurencji w postaci turoszowskiej odkrywki, głębinowa kopalnia „Kaławsk" w Zielonce pod Węglińcem radziła sobie całkiem dobrze. *„Jeszcze kilka lat temu było tu tylko 10 brygad, które współzawodniczyły o zaszczytny tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej oraz 16 zespołów przodkowych, walczących o tytuł przodownika pracy. Obecnie w kopalni rywalizuje 17 brygad i 24 zespoły przodkowe"* – tak o współzawodnictwie na „Kaławsku" donosiła 18.11.1963 roku „Gazeta Robotnicza". Pani Damiana Sumlińska, która pracę w „Kaławsku" podjęła w 1964 roku pamięta, że kopalnia, brykietownia i elektrownia zatrudniały ponad 800 osób. Pomimo sąsiedztwa Turoszowa, kopalnia „Kaławsk" rozwijała się dynamicznie. W Węglińcu powstawały kolejne bloki mieszkalne, na tzw. osiedlu górniczym utworzono „Klub Górnika" z biblioteką, kawiarnią i salą widowiskową. Od 1959 roku działała tu własna orkiestra. Tajemnica wieloletniego funkcjonowania tej kopalni tkwiła nie tylko w znakomitej jakości węglu. Z niego, metodą ekstrakcji pozyskiwano wosk kopalny, zwany woskiem Montana (inaczej cerazyna). Do dziś taki wosk ma zastosowanie m.in. do produkcji past do obuwia, apretur do skóry i smarów, w dermatologii do depilacji skóry. Jest sprowadzany z zagranicy. Nieliczni na „Kaławsku" wiedzieli o czymś jeszcze – wosk Montana z tej kopalni wykorzystywał polski przemysł zbrojeniowy.

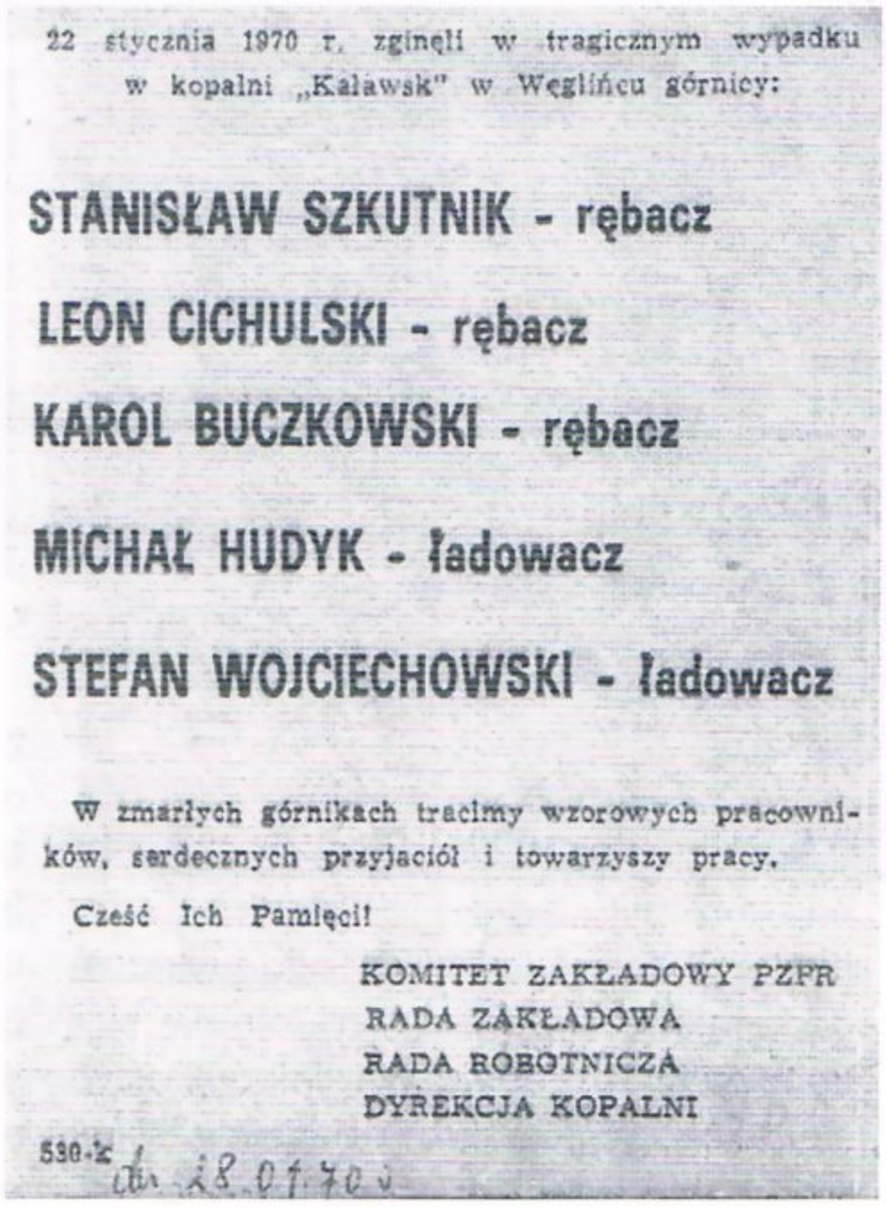

22 stycznia 1970 r. zginęli w tragicznym wypadku w kopalni „Kaławsk" w Węglińcu górnicy:

STANISŁAW SZKUTNIK - rębacz

LEON CICHULSKI - rębacz

KAROL BUCZKOWSKI - rębacz

MICHAŁ HUDYK - ładowacz

STEFAN WOJCIECHOWSKI - ładowacz

W zmarłych górnikach tracimy wzorowych pracowników, serdecznych przyjaciół i towarzyszy pracy.

Cześć Ich Pamięci!

KOMITET ZAKŁADOWY PZPR
RADA ZAKŁADOWA
RADA ROBOTNICZA
DYREKCJA KOPALNI

530-2 dn. 18.01.70 r.

O akcji ratowniczej w „Kaławsku" pisały gazety ogólnopolskie. Zginęło pięciu górników.

Koniec działalności kopalni „Kaławsk" poprzedziła katastrofa górnicza, bodaj najtragiczniejsza w polskim górnictwie węgla brunatnego. Doszło do niej w czwartek, 22 stycznia 1970 roku. Do kopalni, na szybie wydobywczym „Rygle II" położonym w środku lasu, dokładnie o godzinie 17:25 wdarła się woda. *„Woda zatopiła wyrobisko chodnikowe, w którym pracowało 42 górników, 37 z nich uratowano, los pięciu pozostałych górników jest nieznany"* – donosiła 24.01.1970 r. „Gazeta Robotnicza". *„W piątek, w godzinach południowych ekipy ratownicze dotarły do poziomu, gdzie znajdować się powinno – według wskazania ocalonych górników – trzech spośród pięciu odciętych w zatopionych chodnikach. Nie natrafiono jednak na ich ślad. Warstwa mułu sięga w tym miejscu od 2 do 3 metrów grubości, część wyrobisk jest całkowicie zamulona. (...) Ze względu na bardzo trudne warunki dotarcia do odciętych górników, sprowadzono z Wrocławia i Konina specjalne urządzenia do wiercenia szerokich otworów w celu dojścia do górników drogą jak najkrótszą, wprost z powierzchni ziemi"*.

Konińscy górnicy z wiertnicą byli na miejscu katastrofy już w czwartek, 22 stycznia o północy. Kierujący wiertnicą Ryszard Piszcz był dobrej myśli, byleby tylko nie zawiodły obliczenia mierniczych. Dostęp do zatopionego chodnika – zaledwie ok. 30 m pod powierzchnią ziemi był niezwykle utrudniony, głównie poprzez zawodniony 3-metrowej grubości muł. Pompy i urządzenia odmulające pracowały na pełnych obrotach. Na zewnątrz panowała zima, mróz i zalegająca gruba warstwa śniegu, okoliczne stawy pokryły się warstwą lodu. Przy „Ryglach II" jeden ze stawów miał tylko popękany lód. Wody pod nim już nie było, bo ta, pociągając za sobą liczne drzewa i kamienie, spłynęła w dół, wprost do górniczego szybu. *„Jest to kopalnia tzw. upadowa* – wyjaśniała 26 stycznia czytelnikom „Trybuna Ludu" – *tzn., że wydobycie prowadzi się nie szybem w głąb ziemi, lecz ukośnie, pod kątem, chodnikiem, którego wylot znajduje się na powierzchni ziemi. Niedaleko od wylotu, w lesie widnieje potężna wyrwa, tędy prawdopodobnie woda przedarła się w głąb chodnika"*.

Niestety, już 24 stycznia wieczorem zastępy ratownicze dotarły do pierwszych trzech ciał górników. Byli to: Leon Cichulski, Stefan Wojciechowski i Stanisław Szkutnik. *„Walka o życie pozostałych dwóch górników trwa bez przerwy, m.in. wywiercono z powierzchni otwór wentylacyjny w głąb kopalni. Pracują*

bez przerwy pompy" – relacjonował red. Roman Rubin w „Gazecie Robotniczej" (26.01.1970). Kiedy w poniedziałek prasa z dającą cień nadziei wiadomością docierała do czytelników, akcja ratownicza zbliżała się już do końca. *„Jest późna noc z niedzieli na poniedziałek. Nadchodzi smutna wiadomość: ekipa ratownicza natrafiła na zwłoki górnika Michała Hudyka. Bez przerwy trwają poszukiwania piątego zaginionego. W poniedziałek w godzinach popołudniowych ekipy odnalazły ciało ostatniej ofiary kaławskiej tragedii – górnika Karola Buczkowskiego"* – pisał na łamach „Głosu Pracy" (28.01.1970) redaktor Stanisław Spyra. I w tym samym tekście („Cztery doby walki z żywiołem") dodawał: *„Szanse uratowania życia pięciu górników, mimo natychmiastowej ofiarnej i energicznej akcji ratunkowej, były od początku znikome, bowiem wraz z wodą, która dostała się z powierzchni ziemi do chodnika, wdarły się tam masy kamieni i połamanych drzew".* Reporterka „Nowin Jeleniogórskich" Irena Zielińska relacjonowała z miejsca zdarzenia: *„głębokie zapadlisko około 300 metrów od wejścia do kopalni. Z tego miejsca runęła w dół na pracujących w wyrobisku górników ogromna masa wody i ziemi, połamanych drzew i pni".* Tych 37 uratowało się dzięki temu, że w porę znaleźli się w szybie przewozowym a później w wentylacyjnym. *„W wentylacyjnym woda mniejsza, idziemy ostrożnie, nieprędko. Teraz opanowuje nas zmęczenie. Żeby choć na chwilę przysiąść. Ale rozsądek wziął górę nad zmordowanym ciałem. Gdybyśmy wtedy zaprzestali marszu, zmoczona odzież zamarzłaby natychmiast, i kto wie, czy zdołalibyśmy dojść na powierzchnię o własnych siłach. Wreszcie wydostaliśmy się na zewnątrz. Byliśmy ostatni. Już po nas nie wyszedł z kopalni nikt…"* – opowiadał Zielińskiej uratowany górnik-rębacz Julian Łogosz. Wielu z ocalałych powróciło niebawem na „Rygle II", by pomagać ratowniczym zastępom w poszukiwaniu kolegów. Bezskutecznie.

Pogrzeb Stefana Wojciechowskiego. Górników pochowano na trzech różnych cmentarzach. Niestety, dziś nic nie upamiętnia tej tragedii.

Dla górniczych rodzin były to tragedie, o których nawet po latach nie chcą mówić, bo nadal stanowią traumę. Trudno się dziwić, kiedy przeglądamy rodzinny album Wojciechowskich. Na jednym ze zdjęć młody górnik stoi z żoną i trójką malutkich dzieci. Czwarte leży w wózku. To ostatnia ze wspólnych fotografii. Kolejne strony w albumie zapełniają już zdjęcia z pogrzebu, z niekończącym się konduktem. Kolegę z „Kaławska" żegnała cała górnicza brać…

Po wypadku natychmiast wszczęto dochodzenie. *„Jak wynika z dotychczasowego przebiegu śledztwa* – relacjonowała prasa już po miesiącu od wypadku (18.02.1970) – *do katastrofy doszło wskutek dopuszczenia do utworzenia się na powierzchni ziemi, nad wyrobiskami górniczymi, niekontrolowanego zbiornika wodnego, z którego woda wdarła się do wyrobisk zatapiając je i odcinając drogę ratunku pracującym tam górnikom".* Na polecenie Prokuratury Wojewódzkiej we Wrocławiu doszło do pierwszych aresztowań. Czterem osobom postawiono zarzuty niedopełnienia obowiązków i bezpośrednią odpowiedzialność za katastrofę. Nie był to jednak koniec szukania winnych.

Kiedy po latach pytamy o tamte wydarzenia, ludzie powtarzają podobnie. Górnicy mieli zakaz kopania węgla w tych chodnikach pod torfowiskami, jednak węgla tam było dużo. Był dobrej jakości, plan gonił, więc jak sztygar nie patrzył, to kopali. Węgiel sypał się z góry, a oni podbierali coraz wyżej. W końcu dno zbiornika wodnego, który był nad pokładem nie wytrzymało, woda i błoto wdarły się zalewając chodniki. Nieszczęście byłoby większe, ale do wyrwy dostał się ogromny konar drzewa, który tamując, osłabił wpływ wdzierającej się wody. Ponoć jeden z górników, który był już na drabince w szybie wentylacyjnym, zawrócił się po przyznany niedawno jubileuszowy zegarek. No i został, porwany przez wodę. Świadkowie mówią, że kilka dni przed katastrofą na „Ryglach II" pojawiły się przecieki wodne i wystąpiła kurzawka. Doraźnie uszczelniono ścianę i problem zbagatelizowano.

Po dziesięciu miesiącach od katastrofy, pod koniec października 1970 r. na ławie oskarżonych posadzono 9 osób z kierownictwa „Kaławska" – od dyrektora naczelnego po sztygarów zmianowych. Powołani biegli sądowi z Instytutu Geologii Uniwersytetu Wrocławskiego i Instytutu Hydrogeologicznego AGH z Krakowa orzekli, że przyczyną katastrofy była wadliwa eksploatacja węgla i brak prawidłowego rozeznania w zagrożeniu wodnym. Sąd w 5-osobowym składzie – oprócz wysłuchania opinii biegłych – przesłuchał aż 59 świadków. Mimo że *„obrońcy w swoich wystąpieniach starali się wykazać, iż wy-*

Tradycją społeczności Zaręby i Siekierczyna stało się przypominanie lokalnej historii. Podczas tegorocznego festynu aktorzy Teatru Animacji w Jeleniej Górze zaprezentowali sztukę o historii górnictwa na Górnych Łużycach.

padek w kopalni nastąpił wskutek niemożliwej do dokładnego zbadania specyficznej budowy geologicznej tego rejonu, że temu, co się tam stało nie można było zapobiec"[3], w procesie zapadły dla całej dziewiątki wyroki skazujące – od 1,5 do 3 lat pozbawienia wolności. A los kopalni? Jeszcze miesiąc później ta sama „Gazeta Robotnicza" pod optymistycznym tytułem „Kopalnia Kaławsk nadrabia zaległości" donosiła, że *„część górników przeniosła się do innych kopalń w obawie przed likwidacją zakładu. Nie doszło do tego. Wręcz przeciwnie – przed przedsiębiorstwem otwarła się perspektywa dalszej eksploatacji złóż, wyrabiania brykietów oraz wytwarzania energii elektrycznej na długie lata"*. Wczytując się w klimat propagandowej mowy tamtych lat, dowiadujemy się, że *„zadania te właściwie pojęli nowi ludzie, którym powierzono kierownictwo zakładu. W kolektywnym współdziałaniu z organizacją partyjną zajęli się przygotowaniami do przejścia na bardziej intensywne formy gospodarowania, zabrali się z zapałem do wprowadzania zadań nowego systemu bodźców materialnego zainteresowania"*.

Pomijając owe „bodźce", w kopalni rzeczywiście zlikwidowano zbiorniki wodne w sąsiedztwie pól eksploatacyjnych, zlokalizowano wszystkie warstwy wodonośne. Wydobycie węgla na polu „Południe II" ruszyło już w maju, a na „Ryglach II" w listopadzie tegoż feralnego 1970 roku. Jednak z osiągnięciem dziennego poziomu wydobycia (600 ton węgla) był problem, brakowało ok. 20% dotychczasowego stanu załogi. Planowano nawet mechanizację wydobycia i transportu urobku z podziemnego złoża. Niestety, zarządzenie Ministra Górnictwa i Energetyki (nr 6, z 17.02.1972) przekreśliło te ambitne plany. Minister jednoznacznie nakazywał połączenie KWB „Turów" oraz Kopalni i Elektrowni „Kaławsk". Górnikom z „Kaławska" proponowano najpierw zmianę warunków, a później miejsca pracy, z uciążliwym dojazdem do Turoszowa. Ostatecznie kopalnię „Kaławsk" zamknięto w 1973 roku. Na jej miejscu powstało zupełnie inne przedsiębiorstwo – zakład stolarki budowlanej. Dziś część obiektów dawnego „Kaławska" stoi pusta i niszczeje, na części pracuje już inny zakład, nie mający nic wspólnego z górnictwem. Resztę dokończyli złomiarze, rozbierając niedawno torowisko od kopalni do szybów „Rygle I" i „Rygle II".

❍ ❍ ❍

Dwa wcześniejsze odcinki, publikowane na łamach „Odkrywcy", o historii głębinowego górnictwa węgla brunatnego na Łużycach trafiły na odzew wśród lokalnej społeczności. Ktoś odnalazł zdjęcie przedstawiające górników zagłębia zarębiańsko-siekierczyńskiego pochodzące z 31.05.1906 roku. Wzbogaciło ono mini-muzeum przy domu kultury w Siekierczynie. Placówka ta od niedawna gromadzi pamiątki górnicze i może pochwalić się już niezłą kolekcją. Od trzech lat w Zarębie i Siekierczynie organizowane są dla mieszkańców festyny historyczne, przypominające dawną świetność obu wsi. W tym roku w ogrodach przy dawnym pałacyku Bierbaumów i Steineckerów w Zarębie odbywały się pod nazwą „Górnictwo w gminie Siekierczyn – tajemnice i zagadki". Zaprezentowano spektakl historyczny w wykonaniu Teatru Animacji z Jeleniej Góry, były rozmowy i spotkania z rodzinami górników, wystawa pamiątek po dawnych kopalniach. Dzięki współpracy z niemieckim Verein Oberlausitzer Ber-

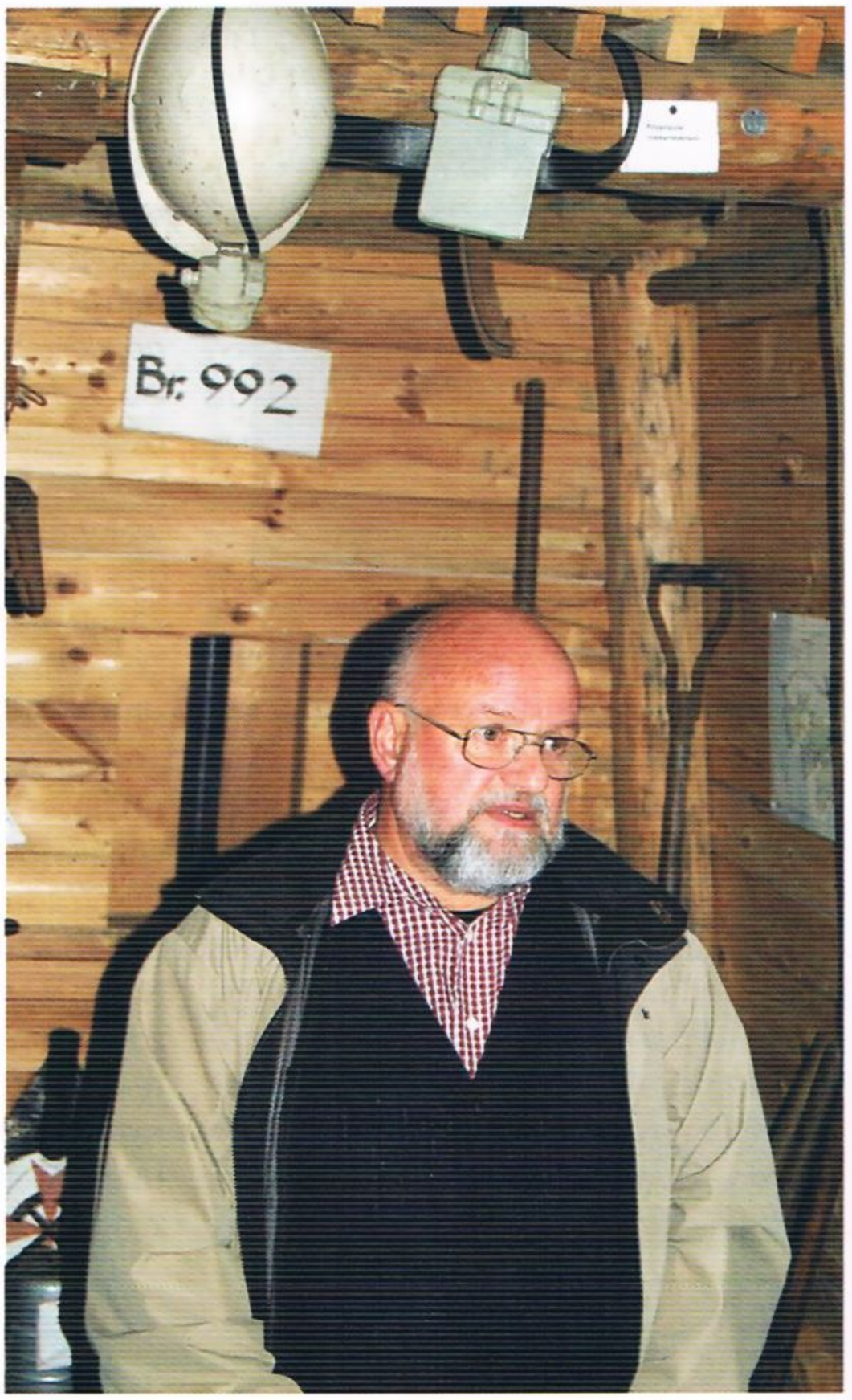

Joachim Neumann, niemiecki górnik z kopalni „Berzdorf" jest prekursorem niemiecko-polskiego badania historii górnictwa węgla brunatnego na Górnych Łużycach. W Hagenwerder prowadzi małe muzeum górnicze.

gleute e.V. w Hagenwerder nad Nysą Łużycką, którym kieruje niestrudzony Joachim Neumann, były górnik z wieloletnim stażem, a teraz pasjonat górniczej historii, jest okazja do polsko-niemieckiego poznawania dziejów kopalń węgla brunatnego na Łużycach. Nieodzowną okazała się wspólna wyprawa badawcza do Archiwum Górniczego we Freibergu. Joachim Neumann z dumą prezentował nam założone przez jego Związek górnicze muzeum w Hagenwerder, gdzie dokumentuje się wszystko – od budowy geologicznej ziemi i powstawania węglowych złóż poczynając. Na pamiątkowej tablicy umieszczono nazwiska wszystkich górników, którzy zginęli w łużyckich kopalniach. Listę zamyka pięć polskich nazwisk z kopalni „Kaławsk". Górnicza solidarność i pamięć nie zna granic, dosłownie.

Inne łużyckie kopalnie wciąż czekają na swoje odkrycie i rzetelne opisanie. W poprzednim odcinku wymieniliśmy ich nazwy – oprócz „Lubania", i „Kaławska", także „Henryk", „Maria", „Teresa", „Pustkowie", „Długoszyn", „Smogóry", „Babina" i… „Zapomniana". Ta ostatnia była pozostałością po niemieckiej kopalni w Trotzendorf, miejscowości, której nadano pierwszą polską nazwę Trocianów. To dzisiejsza Trójca, wieś leżąca na trasie Lubań-Zgorzelec. Po lekturze „Odkrywcy" odezwał się pan Krzysztof Ossowski z pobliskiego Białogórza, który poprzez okoliczne pola, zaprowadził nas w rzeczywiście zapomniane miejsce, by pokazać relikty po tamtej kopalni. Kopalnia musiała pracować po wojnie, co potwierdza Czesław Jeleń, syn Józefa. O dyrektorze Jeleniu także pisaliśmy w poprzednim odcinku. Syn Czesław wspominał: *„Na jesień 1945 r. mój Ojciec będąc specjalistą w zakresie górnictwa podziemnego został ze Śląska oddelegowany do organizacji i uruchamiania tamtejszych kopalń. Był współzałożycielem Zjednoczenia Przemysłu Węgla Brunatnego w Żarach, gdzie mieszkaliśmy w 1946 roku. Pamiętam kolejki linowe, które przewoziły węgiel z tamtejszych dwóch kopalń do elektrowni. Krótki okres przebywał w kopalni »Lubań«,* ***kopalni »Zapomniana«*** (pogrubienie – J.S.), *by na wiosnę 1947 r. osiąść w Zielonce,*

Szyb do kopalni „Zapomniana" w Trójcy – stan dzisiejszy.

gdzie pełnił obowiązki dyrektora kopalni »Kaławsk«".

Może ktoś z Czytelników zna więcej szczegółów o tej kopalni?

Ofiary katastrofy w kopalni „Kaławsk" z 1970 roku spoczęły na trzech różnych cmentarzach – w Węglińcu, Starym Węglińcu i Czerwonej Wodzie. W środku lasu, sercu Puszczy Zgorzeleckiej, przy zburzonym wejściu do „Rygli II" nie ma żadnej informacji, że tu zginęła piątka górników. Obok jest jedyna tablica nadleśnictwa, że w pobliskim stawie występuje roślina wodna grzybień północny, sięgająca swymi korzeniami do 3 metrów w głąb. Może pora to zmienić? Tak, by zdążyć przed tegoroczną Barbórką.

I jeszcze jedno. Jak przekazał nam pan Götz Pfeiffer z Niemiec, autorem zdjęć górników przy pracy, które prezentowaliśmy w I części („Odkrywca" nr 8/2013), był lubański fotograf Otto Pfeiffer (1875-1954) z wielopokoleniowej rodziny fotografów, dziadek Götza. Otto Pfeiffer towarzyszył Fritzowi Bertramowi w wycieczce do kopalni „Glückauf" w 1925 roku, dokumentując górniczą pracę. ◗

Fotografie ze zb. Autorów i Jacka Majdziaka (Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Węglinieckiej). Autorzy dziękują za udzieloną wszechstronną pomoc Joachimowi Neumannowi (Görlitz), Henrykowi Frelichowi i Jackowi Majdziakowi z Węglińca, Krzysztofowi Ossowskiemu z Białogórza oraz Pawłowi Burzyńskiemu ze Starego Węglińca.

Przypisy:

[1] Więcej o tym [w:] J. Skowroński, „Anglicy na Ziemiach Zachodnich. Misja Brytyjska w Węglińcu", „Odkrywca" nr 3, 2013

[2] Ambulatorium medyczne i zakładowe przedszkole mieściły się w budynku Urzędu Gminy w Siekierczynie. Świetlica i „Gospoda Górnicza" w dzisiejszym Domu Weselnym „Pod Kasztanem".

[3] „Kary więzienia dla 9 oskarżonych", [w:] „Gazeta Robotnicza", 31.12.1970

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny, w tym najnowszej „Zapomniane tajemnice Karkonoszy".

Andrzej Kuźniar

Nauczyciel historii na emeryturze, badacz dziejów Gminy Siekierczyn na Dolnym Śląsku. Aktualnie pracuje w polsko-niemieckiej grupie nad nową monografią regionu, w tym historią głębinowego górnictwa węgla brunatnego na polskich Łużycach (Siekierczyn-Zaręba-Wesołówka i Zielonka).

REKLAMA

Bryła mauzoleum na archiwalnym zdjęciu wraz z bocznymi mastabami.

Jeden z dwóch orłów z bocznych mastab na zdjęciu archiwalnym.

Mauzoleum, którego nikt nie chce...

DARIUSZ PIETRUCHA

Stoi na zboczu malowniczego Wzgórza Niedźwiadków. Kiedy wynurza się spośród gęstej roślinności, robi niesamowite wrażenie. Nic w tym dziwnego, bo takich obiektów już nie ma. Gdy się do niego zbliżamy, nasze zdziwienie rośnie, bo z każdym krokiem zdajemy sobie sprawę, jak wielka jest jego bryła. Gdy już przed nim staniemy, musimy zadrzeć głowę, by spojrzeć na jego szczyt. Prowadzi do niego wąskie przejście, jak brama do innego świata. Tajemnicze wnętrze mauzoleum kusi, ale nie wolno tam wchodzić. Jeśli jednak nie potraficie oprzeć się tej pokusie – wejdźcie do środka...

W Wałbrzychu (niem. Waldenburg), w przemysłowym mieście, w którym nie brakuje tajemnic związanych z okresem II wojny światowej, znajduje się obiekt wyjątkowy w skali całej dzisiejszej Polski. Jest dość mało znany, bowiem jego nazistowska przeszłość i przeznaczenie nie predysponują go do roli zabytku, którym można się chwalić. Nikt nie ma konkretnego pomysłu na jego wykorzystanie, niektórzy nawet podpowiadają radykalne rozwiązanie – wysadzić go w powietrze, jako ślad zbrodniczych idei. Trochę dziwny to sposób myślenia, bo przecież wraz ze zniszczeniem zabytkowego obiektu, nie doprowadzimy do zaniku tych idei. Natomiast zacierając ślady, bez wątpienia fałszujemy historię. Nie powinno tak być.

Chcąc zrozumieć historię i cel jego powstania, trzeba się mocno cofnąć w czasie. W 1933 r. Niemcy założyli Związek Rzeszy ds. Niemieckich Scen Pod Gołym Niebem (niem. Reichsbund für deutsche Freilicht- und Volksschauspiele e.V.). Mieli w tym konkretny cel propagandowy, o czym świadczy fakt, iż regulamin Związku został opracowany w Ministerstwie Propagandy pod kierunkiem Josepha Goebbelsa. Naziści chcieli nadać swojej władzy silniejszy wydźwięk propagandowy, który miał mocniej związać społeczeństwo z ideami ruchu narodowo-socjalistycznego. Uciekając od tradycyjnego przekazu wartości i idei związanych z religią i miejscami religijnego kultu, choć jeszcze nie atakując bezpośrednio Kościoła i związanych z nim instytucji, szukali innych rozwiązań, które mogły być alternatywne wobec silnie zakorzenionych w Niemczech tradycji religijnych. W ten sposób narodził się ruch „Thing-Bewegung", dążący do zbudowania około 400 monumentalnych budowli w specjalnie wyznaczonych miejscach nazywanych „Thingplatz" lub „Thingstätte", w których, odwołując się do starogermańskiej mitologii i tradycji zgromadzeń ludowych, mogłyby się odbywać nazistowskie spektakle. Miejsca na budowę tych specyficznych obiektów wybierano bardzo starannie, zwracając uwagę na otoczenie oraz możliwość propagandowego wykorzystania okolicznego terenu, w celu wywarcia ogromnego wrażenia na osobach biorących udział w tych „ludowych mitingach". Dlatego też przy Związku powołano specjalny punkt konsultujący wszystkie projekty, w skład którego wchodziło wielu architektów oddanych ideom narodowo-socjalistycznym. Musieli to być ludzie, którzy „czuli" ideę i mieli w głowach określony zamysł. Inny zespół, pracujący pod przewodnictwem związanego z gazetą „Völkischer Beobachter" dramaturga Rainera Schlössera (1899-1945) składał się z grupy poetów, których zadaniem było zapewnienie budowanym obiektom odpowiedniej oprawy literackiej i artystycznej. Celom wyznaczonym przez Ministerstwo Propagandy, związanym z ruchem „Thing-Bewegung", nie bez powodu nadano status „ważnych dla Rzeszy" (niem. Reichswichting). Zdawano sobie sprawę z faktu, iż odpowiednie ukształtowanie społeczeństwa jest gwarantem poparcia, a co za tym idzie, sprawowania władzy. Była to gra o najwyższą stawkę.

Po dwóch latach okazało się jednak, że projekt budowy wszystkich niemieckich Thingplatz lub Thingstätte jest niemożliwy do realizacji. Praktycznie nie wyszedł on poza gabinety, w których, na kreślarskich deskach, projektowano po-

szczególne obiekty. Ogromne koszty ich budowy (zazwyczaj obciążano nimi samorządy lokalne) i ilość zaangażowanych sił spowodowały, że dla władz lokalnych było to zadanie nie do przeskoczenia. Poza tym pojawił się głębszy problem. Narodowosocjalistyczne przedstawienia mające wzmocnić „etniczną wspólnotę", organizowane w dość prymitywnej i nachalnej formie, wcale nie porywały za sobą mas. To znaczy może i porywały, ale nie w takim stopniu jakby sobie tego życzyła brunatna gwardia. Literackie projekty ruchu „Thing-Bewegung" okazały się zbyt ambitne i bezużyteczne, gdyż społeczeństwo nie było nimi zainteresowane. Dlatego 23 X 1935 r. Ministerstwo Propagandy ogłosiło zakaz używania w niemieckiej prasie wszelkich określeń odnoszących się do mistycyzmu. Wyraźnie podkreślono, że zabrania się używania określenia „Thing", co właściwie oznaczało fiasko całego projektu. Problem w tym, że budowa kilku obiektów została już rozpoczęta i zaangażowano w to duże siły i środki. Tym samym nie można było porzucić ich budowy, więc pozostawało zmienić koncepcję. Próbowano zastąpić określenie „Thing" nazwą „miejsce uroczystości" (niem. Faierstätte), ale nie odniosło to większego efektu. Praktycznie w 1937 r. ruch „Thing-Bewegung" zakończył swoje działanie. Spektakularne zjazdy NSDAP, które odbywały się w Norymberdze oraz masowe uroczystości organizowane w Monachium czy też w Berlinie, po pierwsze przyćmiły wszystko, po drugie kosztowały masę pieniędzy. Tworzenie więc nowych miejsc nazistowskiego kultu nie miało najmniejszego sensu.

Co innego jeżeli chodzi o miejsca upamiętniające tych, którzy w obronie Niemiec oddali swoje życie. Mowa o żołnierzach poległych podczas I wojny światowej, którzy zginęli wierząc w sens walki, a zostali zdradzeni „ciosem w plecy". Tak przynajmniej twierdzili naziści. Zresztą nie tylko oni. Do tego dochodziła sztucznie kreowana przez władze III Rzeszy pamięć o tych, którzy stali się oficjalnymi bojownikami ruchu nazistowskiego, poległymi w bojach o wprowadzenie w życie idei lansowanych przez NSDAP. Ci z kolei zginęli dlatego, że chcieli przywrócić chwałę wojennym bohaterom i złamać niesprawiedliwe warunki traktatu wersalskiego. To oczywiście również wersja wydarzeń propagowana przez nazistów. Zarówno jednym, jak i drugim wznoszono tzw. „pomniki chwały" (niem. Ehrenmal), gdyż pamięć o nich miała trwać na wieki. Wystarczy jednak spojrzeć na postać słynnego Horsta Wessela, by zrozumieć, jak wiele sztuczności było w gloryfikacji tych postaci. Jednakże NSDAP na siłę potrzebowało bohaterów. Tak naprawdę nie tych, którzy zginęli na frontach Wielkiej Wojny, ale takich, którzy oddali swoje życie na ulicach niemieckich miast, w bójkach i starciach z przeciwnikami poli-

Napis na wewnętrznej wnęce okiennej jednej z kaplic.

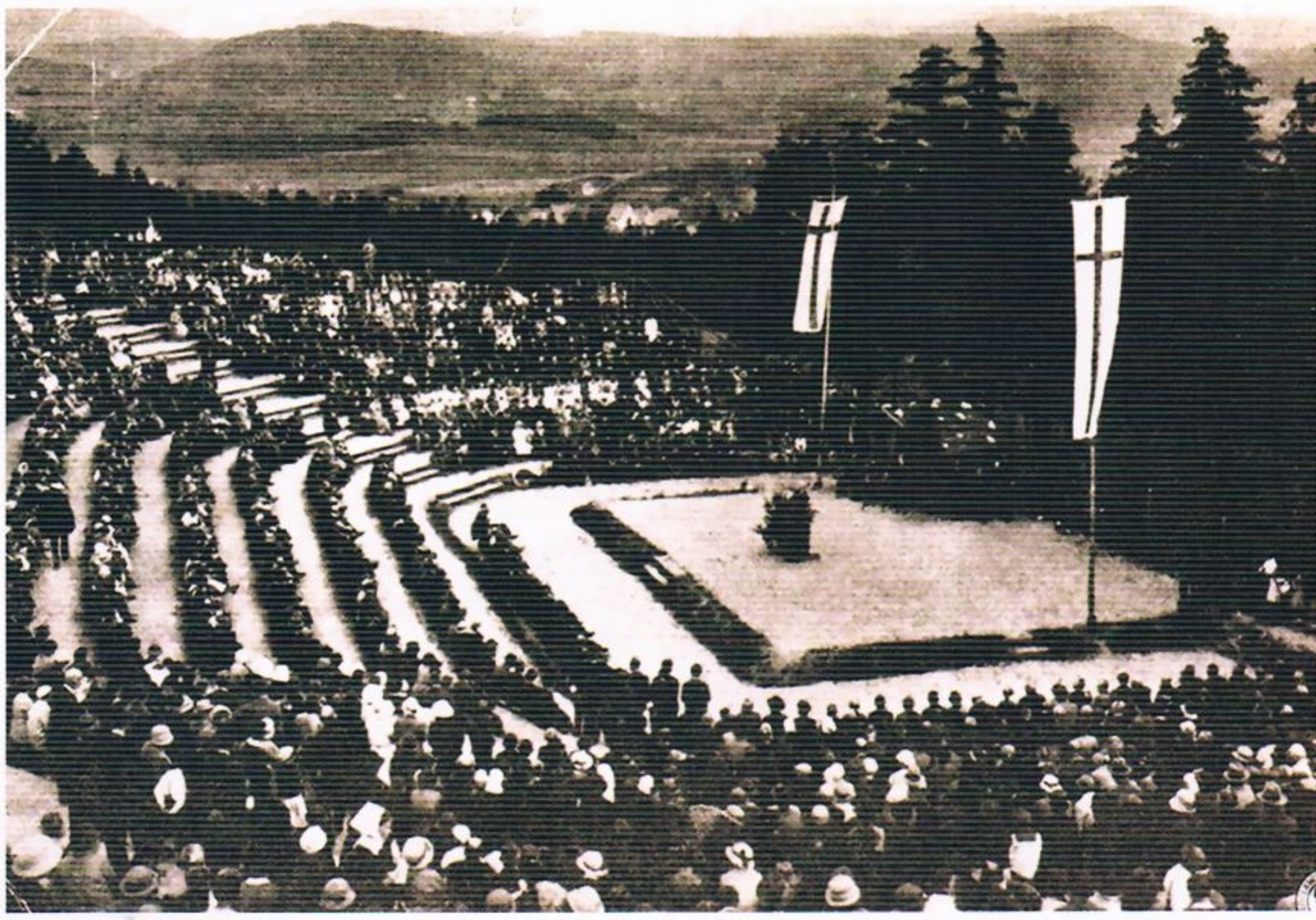

Warta honorowa przy Ehrenmal w Waldenburgu na archiwalnym zdjęciu.

Zachowany fragment kamiennego ornamentu z wizerunkiem drzewa dębu.

Jedno z wąskich okien na elewacji budowli.

tycznymi, zamordowani przez komunistów czy zwolenników innych opcji politycznych. Zwykłych ludzi, których można było wykreować na własnych bohaterów.

W ramach budowy miejsc określanych mianem „Ehrenmal" w 1936 r. w ówczesnym Waldenburgu Niemcy przystąpili do budowy monumentalnego pomnika, który z jednej strony miał upamiętniać setki tysięcy Ślązaków (ok. 170 tysięcy), którzy oddali swoje życie podczas Wielkiej Wojny walcząc w niemieckich mundurach, a z drugiej, uczcić pamięć tych, którzy zginęli w kopalniach, wypełniając swój obywatelski obowiązek wobec państwa. Zrównanie etosu pracy z pamięcią wojennych bohaterów było celowym zabiegiem propagandowym, podkreślającym ważność

Kamienne schody prowadzące do jednej z kaplic...

Śląska w nazistowskiej propagandzie, a także wartość pracy, która w mentalności Ślązaków była i jest rzeczą świętą. Co jednak najważniejsze, budowany obiekt miał się także stać miejscem kultu nazistowskich bohaterów, poległych dla politycznej sprawy. Bohaterów spod znaku swastyki. Podobno w mauzoleum upamiętniono w ten sposób 20-25 bojowników ruchu narodowo-socjalistycznego. Pamiętajmy, że honorowym obywatelem miasta Waldenburg był sam Adolf Hitler.

Miejsce na budowę tego obiektu wybrano bardzo starannie. Był to obszar znajdujący się na obrzeżach miasta, na wschód od centrum, na północnym zboczu wzniesienia nazywanego obecnie Wzgórzem Niedźwiadków (ok. 510-530 m n.p.m.). Nieopodal znajduje się dzielnica Wałbrzycha – Nowe Miasto. Wzgórze Niedźwiadków jest doskonale widoczne z różnych części miasta i o to właśnie w tej lokalizacji chodziło. Z kolei z mauzoleum roztacza się wspaniały widok na całe miasto (obecnie dość mocno przysłonięty poprzez

... i ozdobne wejście do jednej z nich.

okalającą jego bryłę dziką roślinność). To również celowy zabieg architektoniczny jego twórców i projektanta. O jego przeznaczeniu na miejsce masowych imprez propagandowych może świadczyć fakt, że nieopodal, poniżej poziomu drogi, ze zbocza wzniesienia wyrastał mały amfiteatr, wzorowany na antycznych budowlach, którego ławy wykonano niegdyś z kamienia (obecnie pozostała jedynie owalna wyrwa w skarpie wzniesienia, gdyż wszystko rozkradziono). To lokuje wałbrzyskie mauzoleum w tym samym rzędzie budowli co m.in. mauzoleum na Górze św. Anny. Mamy więc połączenie „miejsca uroczystości" (niem. Faierstätte) z „pomnikiem chwały" (niem. Ehrenmal), dodatkowo wzbogacone czcią oddaną tym, którzy pracując pod ziemią stracili swoje życie. Doskonały przykład idei lansowanych przez architektoniczny ruch „Thing-Bewegung".

Człowiekiem, który zaprojektował Ehrenmal w Waldenburgu był monachijczyk Robert Tischler[1], który w latach 1926-1959 był głównym architektem Narodowego Związku Niemieckiej Opieki nad Grobami Wojennymi (niem. Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge)[2]. Jego dziełami są podobne mauzolea w Ligny-devant-Dun we Francji (Lotaryngia – pomnik niemieckich żołnierzy poległych w bitwie pod Verdun), w Egipcie (pomnik Niemców poległych z bitwie pod El-Alamein), pomniki poległych niemieckich żołnierzy w Hooglede, w Querok we Włoszech, koło Menen, w Halluin i w Bitola w Macedonii oraz wiele innych. Jednakże najbardziej znanym dziełem Tischlera jest nieistniejący Ehrenmal na Górze św. Anny (niem. Annaberg), wybudowany w tym samym okresie, gdy powstawał jego waldenburski odpowiednik. Wszystkie pomniki i mauzolea zaprojektowane przez Tischlera mają podobny charakter – prosty w swojej architektonicznej formie, jednocześnie posiadający w sobie ukrytą wzniosłość i tajemniczość, a także wyraźne cechy militarne. Waldenburski Ehrenmal został wykonany przez lokalne firmy budowlane, ale podobno pracowali przy nim ci sami kamieniarze, którzy wznosili Annaberski pomnik chwały. Ideą Tischlera było, aby zaprojektowane przez niego mauzolea lub pomniki doskonale wpisywały się w lokalny krajobraz, a ich otoczenie miała stanowić niskopienna roślinność ogrodowa.

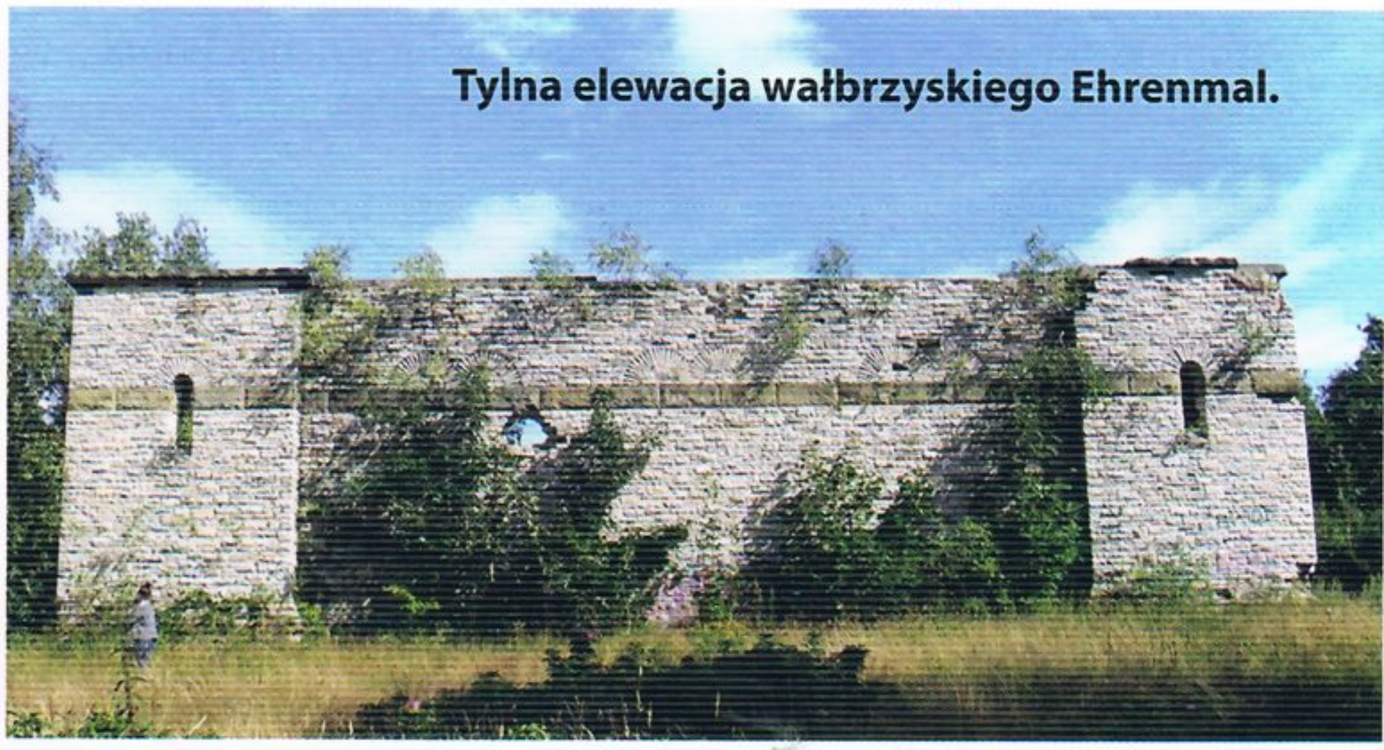

Tylna elewacja wałbrzyskiego Ehrenmal.

Inicjatorem budowy mauzoleum w Waldenburgu był Związek Opieki nad Niemieckimi Grobami Wojennymi. Zgodnie z założeniami projektanta, jest bardzo dużym obiektem. Ma postać kwadratowej warowni, nieco przypominającej swoim wyglądem średniowieczne zamczysko. Pewnie dlatego nazywano go również „zamkiem umarłych" (niem. Totenburg). Budowla, tylko na pozór kwadratowa, posiada wymiary 24×27 m, a jej wysokość wynosi nieco ponad 6 metrów. Obecnie mauzoleum nie tak łatwo odnaleźć. Co dziwne, nawet nie wszyscy mieszkańcy Wałbrzycha o nim wiedzą. Dlaczego? Chyba dlatego, że pozostały jedynie mury, prowadzące do niego schody i resztki okalającego je placu defiladowego, a obiekt właściwie jest zamknięty i niedostępny. Tylko na pozór, bo można do niego wejść bez żadnego problemu. Z centrum Wałbrzycha dotrzemy do niego idąc niebieskim szlakiem, wyruszając z ul. Marii Konopnickiej. Mauzoleum znajduje się zaraz za ulicą Nowowiejską. Brzmi łatwo, ale w terenie wygląda to nieco gorzej. Zbliżając się do niego, z daleka wyłania się monumentalna bryła wyglądająca na dość dobrze zachowaną. W pewnym momencie zauważymy szerokie, kamienne schody, którymi kiedyś wchodziło się na obszerny plac defiladowy. Gdy już je pokonamy i nieco przybliżymy się do bryły mauzoleum, po pierwsze zaczynamy sobie uświadamiać jego monumentalne rozmiary, a po drugie zauważymy, jak bardzo czas i ludzie zniszczyli ten obiekt. Kamienne ściany, które wyglądają na niesamowicie solidne, w wielu miejscach są uszkodzone. Brakuje sporo kamieni, które zapewne ktoś ukradł, by użyć je w innym celu. Obiekt wygląda jak po ostrzale artyleryjskim… Cała elewacja budowli została wykonana z wapienia triasowego, który specjalnie sprowadzono z Gogolina. W elewacji obiektu nie użyto właściwie żadnych zdobień, poza odpowiednim dopasowaniem i ułożeniem kamieni. Jedyną ozdobą są wąskie okna, które nadają mauzoleum skojarzenie ze średniowieczną warownią. Poprzez plac defiladowy ruszamy w stronę doskonale widocznego, wąskiego, portykowego wejścia. Gdy się do niego zbliżymy, warto przystanąć i przyjrzeć się jego konstrukcji. Warto, bo jest ciekawa i piękna. Zaraz za nim zobaczymy, że dalsza droga została zagrodzona murem, który postawiono w nieznanym mi czasie, by uniemożliwić wszystkim chętnym wejście do obiektu. Ktoś zadał sobie jednak bezsensowny trud, bo murek już dawno został sforsowany. Wystarczy się tylko na niego wdrapać, by bez problemów dostać się do środka obiektu. A tu, obiecuję Wam, staniecie zdziwieni. Z zewnątrz mauzoleum wygląda na obiekt całkowicie zamknięty, ale tak naprawdę posiada kwadratowy wewnętrzny dziedziniec, na który wchodzi się właśnie przez portyk. Wydaje mi się, że owe portykowe wejście, mające formę niezmiernie wąskiego korytarza, zastosowane również w mauzoleum na Górze św. Anny, jest swoistą cechą rozpoznawczą Tischlera, jako projektanta tego typu budowli. Stanowi bardzo wymowne i symboliczne przejście z realnego świata żywych do królestwa bohaterów, którzy już zdążyli oddać swoje życie dla idei. To „śluza" do innego świata, który rozpościera się na dziedzińcu mauzoleum. Jeżeli chcecie dostać się na dziedziniec, musicie wyrzec się współczesności i wejść do innego świata. Cały dziedziniec otoczony jest monumentalnymi, eleganckimi i prostymi w swojej formie arkadowymi krużgankami. Owe krużganki także zostały wykonane z gogolińskiego wapienia. Co ciekawe, zarówno wejściowy portyk, jak i arkadowe krużganki zostały podpiwniczone. Wchodząc pod sklepienie krużganków, często dziurawe i niebezpieczne, trzeba bardzo uważnie patrzeć pod nogi. W niektórych miejscach strop się zawalił, tworząc niebezpieczne dziury, którymi można spaść do podziemi. Oprócz głównego portykowego wejścia, którym obecnie można dostać się do mauzoleum, obiekt posiadał jeszcze dwa boczne wejścia (obecnie zamurowane), które prowadziły wprost do dwóch symetrycznie rozstawionych mastab, uwieńczonych dużymi rzeźbami zrywających się do lotu orłów, które w swoich szponach trzymały kamienne kule ozdobione swastyką. Obecnie po orłach i po kulach nie ma już śladu. Podobno jedna z nich jeszcze do niedawna leżała w pobliskim lesie odstraszając starannie wyrzeźbioną swastyką.

Obiekt został ozdobiony sporą ilością prostych, kamiennych gzymsów i portali, które wykonano z górnokredowego piaskowca sprowadzonego z Łącznej. Na uwagę zasługuje również sklepienie krużganków ozdobione marmurowo-złotą mozaiką kamienną zaprojektowaną przez monachijskiego artystę H. Mühlena. Kamień do wykonania mozaiki sprowadzono z różnych stron Niemiec. Obecnie pozostały jej niewielkie fragmenty, gdyż część z niej odpadła, a część po prostu zdewastowano. Jak dobrze popatrzycie pod nogi, to elementów mozaiki leży na ziemi od groma. Z kolei posadzkę krużganków wyłożono karkonoskim granitem, którego właściwie już nie ma. To znaczy gdzieś tam pewnie jest, bo materiał na przydomowe ogródki wręcz doskonały. W podcieniach arkad umieszczono brązowe tablice epitafijne z nazwiskami poległych. W niektórych miejscach widać jeszcze ślady ich mocowania. W obrysie budowli ulokowano również mniejsze pomieszczenia, które roboczo możemy nazwać kaplicami. Podobno w jednej z nich upamiętniono poległych bojowników ruchu narodowosocjalistycznego (chyba żaden z nich nie pochodził z Waldenburga), w drugiej górników, którzy zginęli na miejscu pracy, w trzeciej przechowywano złotą księgę miasta, gdzie zapisywano nazwiska zmarłych, choć to akurat wydaje mi się mało prawdopodobne. W jednej z kaplic, we wnęce okienka wychodzącego na dziedziniec, znalazłem napis z wizerunkiem nazistowskiego orła. Nie jestem jednak do końca pewien, czy pochodzi z tamtych czasów.

Zwróćcie uwagę na dziedziniec mauzoleum. Kiedyś był wyłożony zwykłą kostką granitową, po której nie ma już dzisiaj śladu. Najważniejszym elementem dziedzińca była stojąca centralnie brązowa kolumna z „wiecznym" zniczem, któ-

Mauzoleum w Wałbrzychu – elewacja przednia z wejściem portykowym.

rą zaprojektował Ernst Giger. Została ona odlana w zakładach „Würtembergische Metallwarenfabrik Geislingen-Steige". Na cokole tej kolumny umieszczono postacie czterech lwów inspirowanych rzeźbą Lwa Brunszwickiego. Były to postacie ryczących lwów, które zgodnie z wielowiekową tradycją właśnie w ten sposób, w chwili Sądu Ostatecznego, oznajmiały zmartwychwstanie wszystkich poległych bohaterów. Kolumna była ozdobiona misternym ornamentem sieciowym i charakterystycznymi dla stosowanej przez nazistów symboliki liśćmi dębu – starogermańskim symbolem zwycięstwa. W jednej z kaplic znalazłem również kamienną płaskorzeźbę przedstawiającą drzewo dębowe o tej samej ideologicznej wymowie. Znicz na szczycie kolumny podtrzymywało trzech półnagich młodzieńców. Niezwykle ozdobna w swojej formie kolumna była dość nietypowym elementem architektury III Rzeszy, któ-

ra raczej uciekała od zbyt bogatej ornamentyki na rzecz prostej i wymownej symboliki, zrozumiałej dla wszystkich. Poza tym jej strojne zdobienie dość mocno kontrastowało z resztą budowli, która raczej emanowała prostotą. Zapewne taki właśnie był zamysł architektoniczny projektanta. Kolumna, rozbłyskująca wiecznym ogniem, miała przyciągać wzrok, oszałamiać i fascynować. Tak naprawdę była bijącym sercem tego obiektu.

Przed waldenburskim Ehrenmalem wybudowano obszerny plac defiladowy z masztami na flagi. Niewiele dzisiaj z niego zostało, ale coś tam można dojrzeć. Pozostały resztki kamiennych mastab, kiedyś zwieńczonych wspomnianymi orłami. Ocalały schody i resztki podmurówek, najprawdopodobniej ślady po mocowaniach na maszty flagowe. Szukając tych wskazówek jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, że plac defiladowy do małych nie należał. Zresztą cały kompleks był jednym z największych w Niemczech. Gdy w 1938 r. zakoń-

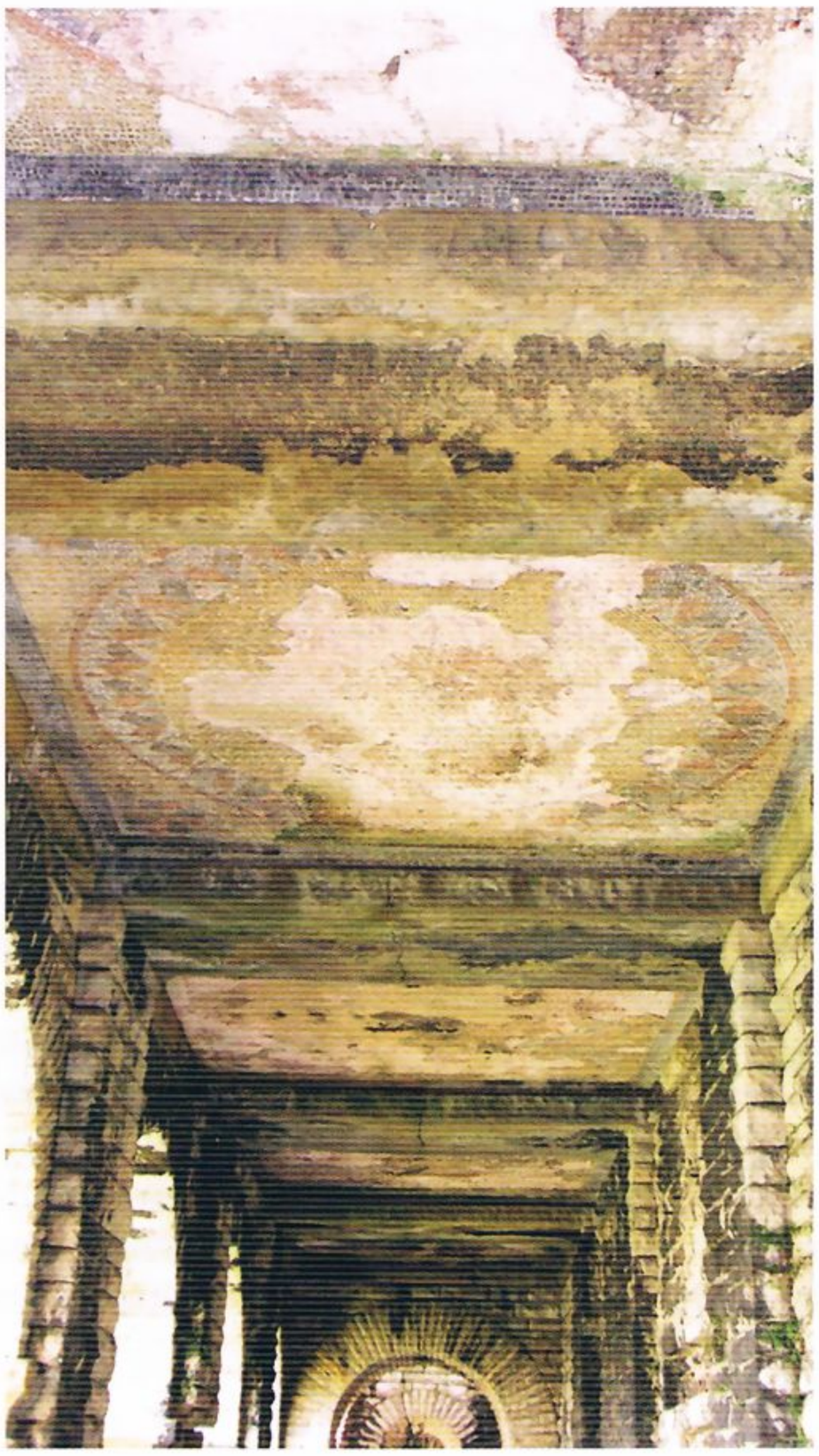

Resztki kamiennej mozaiki na sklepieniu krużganków.

czono jego budowę, uroczystego otwarcia obiektu dokonał gauleiter Śląska Josef Wagner (1899-1945). Musiało to dla niego być dużym przeżyciem, gdyż sam pochodził z górniczej rodziny, jako żołnierz walczył w I wojnie światowej, by w końcu zostać nauczycielem. To ten sam urzędnik NSDAP, który w kwietniu 1938 r. uroczyście otworzył annaberski Ehrenmal. Co ciekawe, gauleiter Wagner (mocno zwalczany później przez wszechwładnego Martina Bormanna), członek NSDAP, który nigdy nie wyrzekł się swojego katolicyzmu, i który na podległym sobie terenie zawsze sabotował antykościelne zarządzenia sekretarza führera (jego żona zabroniła swojej córce ślubu z członkiem SS tylko dlatego, że ten oficjalnie porzucił religię katolicką), był w późniejszym okresie bohaterem wielkiego skandalu politycznego. Hitler, w listopadzie 1941 r. zaatakował go publicznie i odebrał mu wszystkie funkcje. Oczywiście ku uciesze wielkiego wroga katolicyzmu Martina Bormanna. Stało się to trzy lata po uroczystym otwarciu mauzoleum w Waldenburgu. Obecnie cała bryła obiektu ulega postępującej dewastacji, która pogłębia się z każdym sezonem.

Po zakończeniu II wojny światowej budynkiem wałbrzyskiego mauzoleum nikt się nie interesował. Polityczna wymowa tego miejsca była aż nazbyt widoczna. Obiekt popadał w ruinę, systematycznie rozkradany i dewastowany. Wokół niego wyrosła bujna roślinność, co jeszcze bardziej ułatwiało pracę tym, którzy traktowali go jako źródło do pozyskania cennych materiałów budowlanych. Zniknęła również metalowa kolumna (podobno całkiem niedawno). Zupełnie nie wiadomo, co się z nią stało. Później myślano o wykorzystaniu tego obiektu na cele rekreacyjne, ale nic z tego nie wyszło. Obiekt nadal trwał pozostawiony sam sobie. Obecnie pozostały jedynie mury, prowadzące do niego schody i resztki okalającego go placu defiladowego, choć obiekt właściwie jest zamknięty i niedostępny. Lecz tylko na pozór, bo, jak pisałem, można do niego wejść bez żadnego problemu.

Ludzie się go boją. Podobno grasują w nim narkomani, sataniści i przestępcy, co raczej nie jest prawdą. Byłem w nim kilka razy i poza młodzieżą, która najprawdopodobniej wybrała sobie mauzoleum za cel swoich wagarów, nie spotkałem tam nikogo innego. Ludzie lubią dorabiać różne sensacyjne wątki do otoczenia, w którym żyją. Chociaż o zmierzchu jest tam inaczej. Tajemniczo i złowróżbnie. Przyznaję, można się bać. Nie-

którzy widzą w nim pomnik zła, symbol nazistowskiej pychy, miejsce może i ciekawe, ale raczej niebezpieczne i zasługujące na zniszczenie. Inni chcieliby, aby wałbrzyski Ehrenmal jednak ocalał. Nie dla jakieś idei, nie dla krzewienia nazizmu, ale tak po prostu, jako unikatowe świadectwo tamtych czasów. Przyznam, że całkowicie popieram to zdanie, a skazujących mauzoleum na śmierć nie rozumiem. Równie dobrze można zetrzeć z powierzchni ziemi warszawski Pałac Kultury i Nauki. On także jest symbolem państwa i epoki, których powrotu nie chcemy, i które za pomocą zbrodni torowały drogę do światowej rewolucji.

Miejsce, w którym niegdyś stała kolumna. Stan obecny.

Wałbrzyskie mauzoleum pomimo dewastacji i upływu czasu wydaje się jednak nie do zniszczenia. Dumnie opiera się wszystkim niedogodnościom, choć przecież wieczne nie jest. III Rzesza nie była i mauzoleum też nie jest. Gdzieś tam pojawiają się opinie, że było to miejsce przeznaczone na tajne, mistyczne spektakle organizowane przez czarny zakon SS. Orgia tajemniczych pochodni, kolumny światła wzorowane na tych, których twórcą był Albert Speer, równy i marszowy krok. Śpiewane pełnym głosem pieśni, słowa pełne dumy i pychy, a także nienawiści i pogardy wobec wrogów. Okrzyki i rozkazy przywódców słuchane przez tysiące uczestników widowiska. Gest wysoko wzniesionej ręki oddany w hołdzie przywódcy państwa. Połyskujące błyski świateł na nazwiskach tych, którzy już oddali swoje życie sprawie, a ich imiona uwieczniono na pamiątkowych tablicach. Wieczny ogień na szczycie kolumny przypominający ciągłość pokoleń i te same cele, o które mieli walczyć. Zapewne tak to właśnie wyglądało w wyobraźni tych, którzy tworzyli ruch „Thing-Bewegung". Jednakże nie SS było twórcą i odbiorcą tych przedstawień. Miało nim być młode pokolenie gotowe do ukształtowania i chętne do poświęcenia się dla sprawy, która dla nich wydawała się priorytetem. Przynajmniej mówiono im, że tak właśnie jest. To sukces nazistowskiej propagandy kierowanej przez człowieka, dla którego zło stało się narzędziem do panowania nad światem, a który swoją inteligencję poświęcił dla Adolfa Hitlera. W zamierzeniach Josepha Goebbelsa właśnie tak należało wychowywać młode pokolenie. To zadanie „ważne dla Rzeszy", podobnie jak cele stawiane przed ruchem „Thing-Bewegung". SS miało swoje miejsca kultu, a ich bohaterowie swoje miejsca pochówku. Nie potrzebowali takich obiektów. Ich udział był tylko częścią wielkiej ceremonii, której zadaniem było odebranie ludziom własnej tożsamości i podporządkowanie ich celom państwa. Nawet w przypadku, gdy owo państwo zażądało ich śmierci. Zresztą każdy z młodych ludzi mógł żyć nadzieją, że gdy polegnie, również spocznie w takim mauzoleum, gdzie pokolenia będą go czcić jako bohatera. Kierowało nimi marzenie chwały po śmierci, jako zaprzeczenie życia i młodzieńczej radości. Propagandowy sukces ludzi spod znaku swastyki. Kult siły i śmierci, czyli genialnie wręcz indoktrynowane pokolenie III Rzeszy. Właśnie temu miał służyć ten obiekt. Wychowaniu młodych ludzi w duchu narodowego socjalizmu, oddania sprawie i czci składanej tym, którzy torowali swastyce drogę na szczyt. Informację, że było to miejsce tajemnego kultu pogańskich bożków i rytualnych wtajemniczeń należy włożyć między bajki. Chyba że ktoś ma na myśli masowe nazistowskie spektakle, które operowały taką symboliką. Ale to nie to samo.

Wokół obiektu krąży wiele legend. Podobno w maju 1945 r., gdy Niemcy wycofywali się z Wałbrzycha, próbowali wysadzić go w powietrze. Fakt, można odnaleźć ślady po detonacji, ale obiekt ocalał. Pytaniem pozostaje, czy zrobili to Niemcy, czy może ktoś inny, już po zakończeniu działań wojennych. Opowieści o tajemniczych podziemnych korytarzach, a nawet i tunelach kolejowych prowadzących do pobliskiego zamku Książ oczywiście nie brakuje. Ale do nich już się chyba przyzwyczailiśmy. Szczególnie w tej części Dolnego Śląska. Obiekt jest podpiwniczony, więc mroczne podziemia budzą kolejną fascynację. Nie wiem, co planowano w nich ulokować, ale słyszałem informacje o ukrytym podziemnym kompleksie produkcyjnym, o tajnym schowku i wiele innych, które raczej mogą poruszać umysły scenarzystów z Hollywood, nasuwając im pomysły filmów o mocno sensacyjnej fabule. Podejrzewam, że tak naprawdę podziemia były przeznaczone na miejsce pochówku. Kogo? Nie wiem. Sugeruję się jedynie analogią do innych tego typu obiektów zaprojektowanych przez tego samego architekta. Wydaje mi się, że to właśnie tam zostali pochowani bohaterzy spod znaku swastyki. Przyznam się, iż nie schodziłem na

Resztki kamiennych mastab koło budynku mauzoleum mało widoczne wśród bujnej zieleni.

Mauzoleum niemieckich żołnierzy pod Stargardem Szczecińskim.

dół, choć bardzo mnie kusiło. Ale w pojedynkę to niezmiernie niebezpieczne i nierozsądne. Chyba nie muszę Wam tego tłumaczyć.

Niektórzy widzą w nim fascynację architekturą starożytnego Rzymu. Inni zauważają nawiązanie do architektury starożytnej Mezopotamii, Sumeru, Asyrii czy Babilonu. To dobrze, że mauzoleum budzi wiele skojarzeń, bo to świadczy o jego unikalnej wartości. Mauzoleum na Górze św. Anny zostało w 1945 r. rozebrane i częściowo wysadzone. Pozostały tylko stare fotografie. Podobny los spotkał mauzoleum marszałka Paula von Hindenburga (niem. Tannenberg-Denkmal), które Niemcy wybudowali w miejscu historycznej bitwy z 1914 r., w okolicach wsi Sudwa na Mazurach. Jego forma miała w swoim założeniu przypominać słynny krąg kamiennych bloków ze Stonehenge, uważany przez niektórych za starogermańskie miejsce kultu. Autorami projektu Tannenberg-Denkmal byli berlińscy architekci Walter i Johannes Krügerowie. Początkowo pochowano w nim 20-stu nieznanych niemieckich żołnierzy, później jednak miejsce swojego ostatniego spoczynku znalazł tam prezydent wraz ze swoją małżonką. Różnica polega na tym, że w styczniu 1945 r. trumnę ze zwłokami wielkiego marszałka wywieźli Niemcy, którzy następnie wysadzili potężne mauzoleum w powietrze. Nie chcieli, aby wpadło w ręce Sowietów. Pozostały po nim resztki fundamentów i stare fotografie. Jak na ironię losu, część granitowych płyt ze zniszczonego mazurskiego mauzoleum wykorzystano do budowy schodów prowadzących do gmachu KC PZPR w Warszawie, a część do pomnika wdzięczności Armii Czerwonej w Olsztynie. Innym obiektem jest mauzoleum poświęcone niemieckim żołnierzom poległym podczas I wojny światowej znajdujące się pod Stargardem Szczecińskim. Co prawda zapomniane, podobnie jak wałbrzyskie, jednak istnieje do dzisiaj, intrygując swoją niezwykle ciekawą formą architektoniczną. Wałbrzyskie mauzoleum znacznie przewyższa je swoją wielkością i monumentalnym, surowym założeniem. Trudno mi zrozumieć tych, którzy się go wstydzą. Chcąc je wymazać z dziejów miasta Wałbrzycha trzeba by zafałszować historię. Ta droga prowadzi donikąd. Nie zmienimy historii zacierając jej ślady. Nie możemy karać architektury obarczając ją błędami ludzi. Na dodatek jeżeli ktoś nie wie o istnieniu wałbrzyskiego mauzoleum, raczej się o nim nie dowie. Będąc w jego pobliżu, nie znajdziemy żadnej tablicy informacyjnej. Zupełnie nic. W centrum Wałbrzycha, w punkcie informacji turystycznej, dopiero od niedawna pojawiły się karteczki informujące o jego istnieniu i przeznaczeniu. Dobre i to. Jednakże w wielu opracowaniach informujących o historii Wałbrzycha nie znajdziemy o nim jakiejkolwiek wzmianki. Podobno kiedyś, zaraz po wojnie, okolice mauzoleum stały się znanym miejscem weekendowych spotkań mieszkańców miasta, pełnym radości i śmiechu. Ludzie cieszyli się tym miejscem, bo teren naprawdę jest piękny. Później, wraz z upływem lat, miejsce było zapominane. Tworzono wokół niego legendy, a brak działań zmierzających do jego odrestaurowania zasłaniano hitlerowską przeszłością. Mauzoleum było bezkarnie rozkradane. No i stało się. Poszło w niepamięć. Dlatego tak cenna jest inicjatywa Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego, które dąży do tego, aby obiekt, jako unikalny zabytek, został objęty pełną opieką konserwatorską, a także znalazły się pieniądze na jego renowację i konkretny pomysł na wykorzystanie. Bez żadnej ideologii. Tylko po to, aby kolejne pokolenia wiedziały, że jest, czym był, i czego w życiu trzeba się wystrzegać. Obiekt, którego niektórzy tak bardzo się boją, może stać się doskonałą przestrogą dla innych. Młode pokolenia, które chcemy uchronić od wojny i zbrodni, właśnie w tym miejscu, w autentycznych, w pewnym sensie nasyconych ideologią murach, mogłyby się dowiedzieć, co jest złe i na czym polega krzywda wyrządzona drugiemu człowiekowi. Gwarantuję Wam, takiego miejsca wycieczki się nie zapomina. Doprowadzając do zniszczenia mauzoleum, bezpowrotnie zaprzepaścimy ową okazję.

Przypisy:

1 Urodzony 16 X 1885 r. w miejscowości Frontenhausen; zmarł 11 VIII 1959 r. w Monachium. Do końca życia pozostał głównym architektem Narodowego Związku Niemieckiej Opieki nad Grobami Wojennymi.

2 Organizacja użyteczności publicznej, założona 16 XII 1919 r. Jej celem było wybudowanie cmentarzy żołnierzy niemieckich, którzy polegli na różnych frontach I wojny światowej. W 1933 r., w chwili dojścia do władzy nazistów, przejęli oni kierownictwo nad organizacją; podczas wojny sprawami cmentarzy wojennych zajmowało się Biuro Wehrmachtu ds. Opieki nad Grobami. W 1946 r. Związek wznowił swoją działalność; od 1954 organizował również budowę cmentarzy oraz odnalezienie grobów żołnierzy niemieckich poza granicami Niemiec (od lat 90. również na terenie państw byłego bloku wschodniego). Obecnie pod opieką Związku znajduje się 825 cmentarzy wojennych w 45 państwach, na których pochowano ok. 2,5 mln niemieckich żołnierzy. W 2001 r. Związek założył Fundację „Pamięć i Pokój"; obecnie jest wspierany przez Bundeswehrę i Zrzeszenie Rezerwistów. Związek zrzesza 400 tys. aktywnych członków i ofiarodawców i ponad milion okazjonalnych darczyńców; 75% kosztów działalności finansowane jest ze składek i darów, wpływów z tytułu spadków i zapisów testamentowych, jak i dochodów pochodzących z corocznej kwesty ulicznej; resztę pokrywają publiczne środki federalne oraz krajów związkowych. Patronat nad Związkiem sprawuje prezydent Niemiec. Jest organizacją apolityczną.

WYKORZYSTANE W ARTYKULE FOTOGRAFIE POCHODZĄ ZE ZB. AUTORA ORAZ Z INTERNETU. ŹRÓDŁA: WWW.DOLNOSLASKIE.FOTOPOLSKA.EU

Literatura:

1. J. L. Dobesz, „Wrocławska architektura spod znaku swastyki na tle budownictwa III Rzeszy", Wrocław 2005
2. R. Grunberger, „Historia społeczna Trzeciej Rzeszy", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

Rzeczypospolita Kwidzyńska
– dzieje Polskiego Gimnazjum w Prusach Wschodnich

JUSTYNA LIGUZ

25 sierpnia 1939 roku w Kwidzynie, a więc krótko przed wybuchem II wojny światowej, Gestapo i policja aresztowała wszystkich uczniów i nauczycieli Polskiego Gimnazjum. Kiedy pod szkołę podjechali mundurowi i otoczyli gmach, natychmiast zebrał się tłum gapiów. Wszystkim wydawało się, że uczniowie będą krzyczeć, płakać, uciekać lub się bronić…

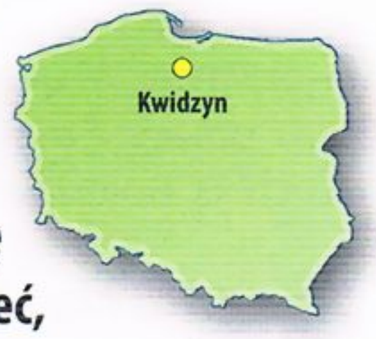

Gmach szkolny Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie stał przy skrzyżowaniu dwóch ulic. Wejście główne w podcieniu (zdjęcie po lewej) oświetlała lampa z symbolem rodła.

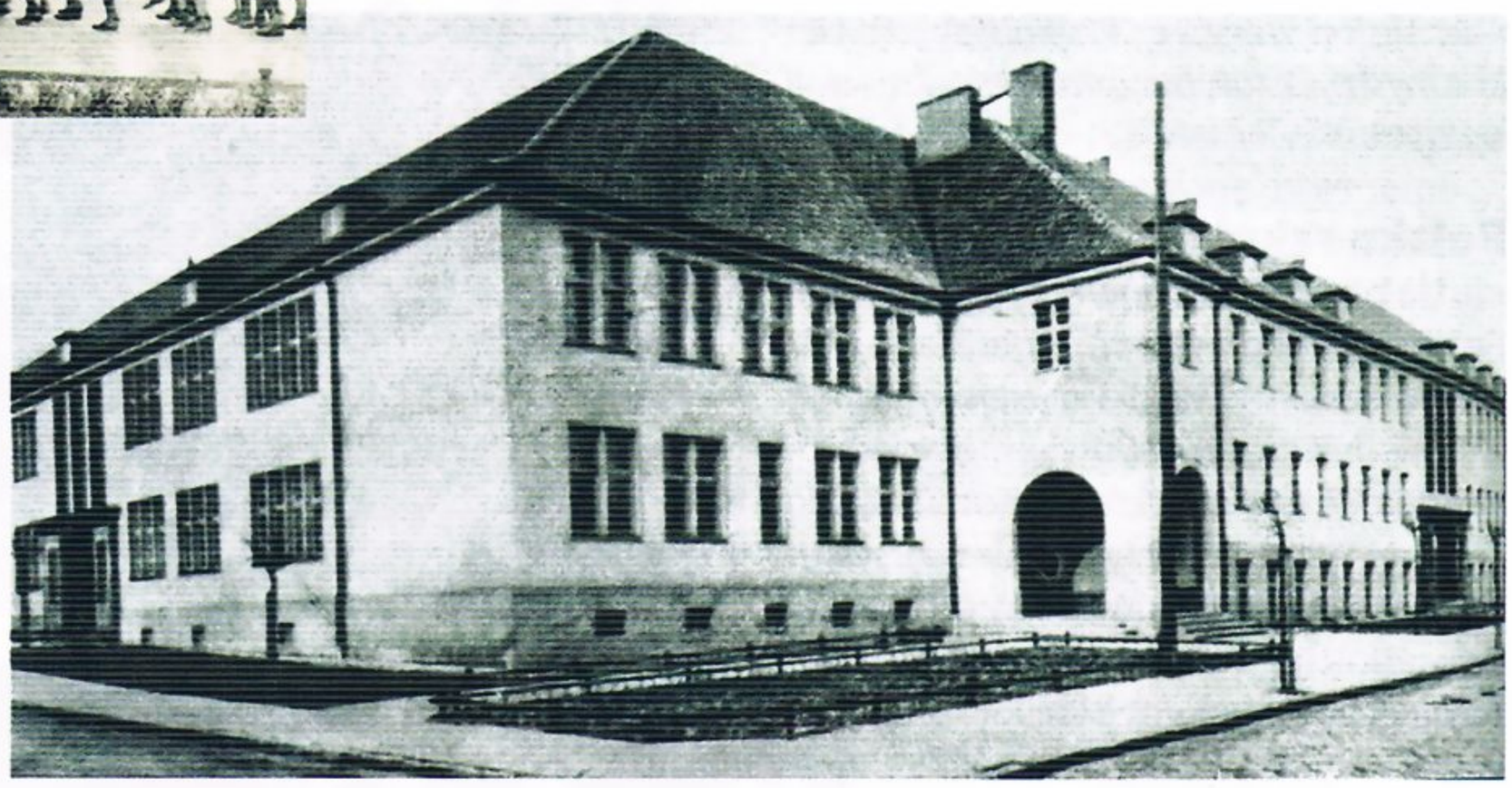

Młodzież tymczasem spokojnie zebrała się w szkolnej Sali Rodła. Oficer niemieckiej policji mundurowej, w stopniu majora, oświadczył aresztowanym, że w ciągu 10 minut mają zapakować najpotrzebniejsze rzeczy osobiste i stawić się na podwórzu, gotowi do drogi. Około 17:30 spod szkoły wyruszyło sześć autobusów. Nikt nie wiedział dokąd… Mieszkańcy obserwujący całe zdarzenie wygrażali odjeżdżającym pięściami, niektórzy dawali gestami do zrozumienia, że wszystkich powieszą. W tym samym czasie trwała akcja likwidowania innych polskich szkół na Powiślu. Część aresztowanych nauczycieli i wychowawców polskich ochronek, z całego terenu, dwie godziny później dołączono do grupy z Polskiego Gimnazjum. W sumie, wg zachowanych list osobowych z 25 sierpnia 1939 roku, wywieziono 177 osób, z czego tylko około 40 osób stanowili dorośli. Pozostali to uczniowie, z których najmłodszy miał 10, a najstarszy 19 lat.

Rzeczypospolita Kwidzyńska

Polskie Gimnazjum w Kwidzynie było drugą po Bytomiu, i jedyną w Prusach Wschodnich, polską szkołą średnią w Niemczech. Naukę w niej pobierali chłopcy w wieku 10-19 lat. Obywatelstwo nie miało znaczenia przy rekrutacji, wszyscy, którzy chcieli chodzić do polskiej szkoły, z polskim językiem nauczania, mieli taką możliwość. Radę Pedagogiczną stanowiło 13 nauczycieli, z tego 5 posiadało obywatelstwo niemieckie, a pozostali polskie. Dyrektorem Gimnazjum był dr Władysław Gębik. Pełna nazwa brzmiała „Prywatna Szkoła z Programem Wyższej Uczelni i Polskim Językiem Nauczania w Kwidzynie".

Kwidzyńskie Polskie Gimnazjum to jedna z najnowocześniejszych pod względem architektonicznym oraz wyposażenia placówka w Niemczech. Wybudowana od podstaw, wzniesiona w stylu modernizmu w latach 1934-1936, wg projektu olsztyńskiego architekta Ernsta Fechnera, łączyła w sobie funkcje szkoły, internatu oraz mieszkań personelu. Posiadała własną salę gimnastyczną z natryskami, aulę wyposażoną w kotary, oświetlenie i scenę oraz sprzęt kinowy. Ponadto boisko i basen, zaś w szkole funkcjonował radiowęzeł. Jednopiętrowy gmach został zbudowany na planie zbliżonym do litery „U", jednak po odpowiednim rozbudowaniu suteryn i wysokiego poddasza bursy czynił wrażenie wielopiętrowego.

Szkoła prezentowała również wysoki poziom dydaktyczny. Realizowano w niej model edukacyjno-wychowawczo-opiekuńczy – wychowywania Polaka mądrego przed szkodą, patrioty, światłego obywatela – zgodnie z często cytowaną przed Władysława Gębika łacińską maksymą *„non scholae, sed vitae discimus"* – „uczmy się nie dla szkoły, lecz dla życia". Zakładano także wychowanie przyszłej, nowej kadry kierowniczej ruchu polskiego w Niemczech. Jedną z głównych zasad był obowiązek zamieszkiwania uczniów w internacie (nawet jeśli byli „miejscowi"), aby przy okazji każdy z chłopców mógł uczyć się

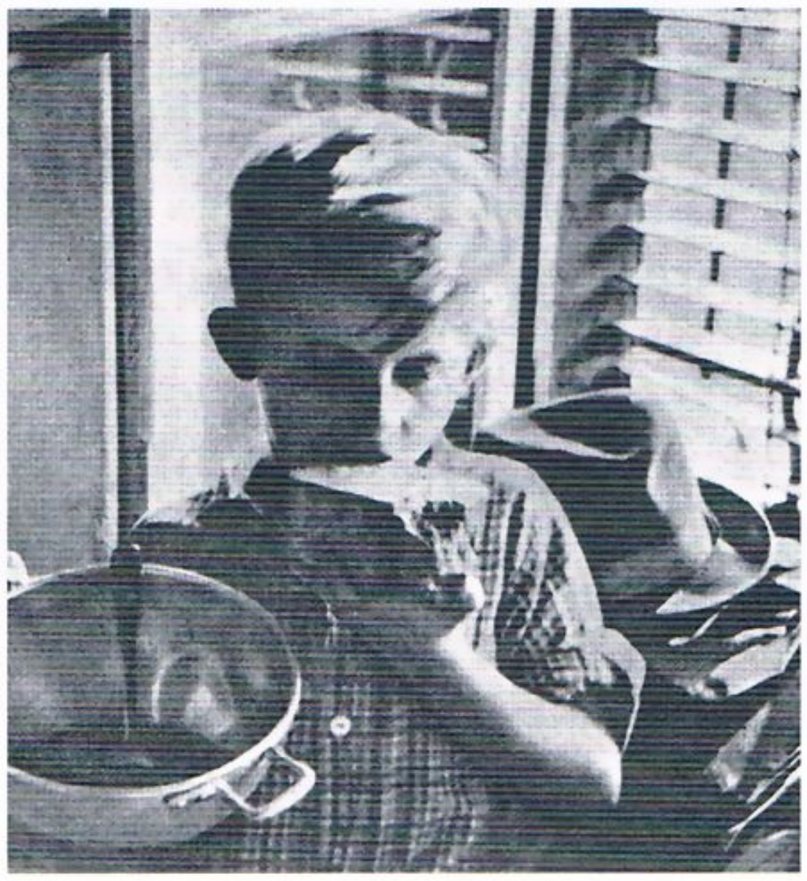

Jeden z Kwidzyniaków z kromką więziennego chleba w zakładzie dla obłąkanych w Tapiau.

samodzielności. Przez to m.in. nauczyciele, personel i uczniowie stanowili jedną rodzinę, którą dr Władysław Gębik w swoich publikacjach nazywał „Rzeczypospolitą Kwidzyńską". Program ideowo-wychowawczy najlepiej wyrażał też hymn szkoły, zwany Pieśnią Kwidzyniaków. Słowa tego utworu, rozpoczynały się od wersów: *„Przeminęły już wieki a myśmy ostali, burzom dziejów nie dali się zgnieść"*.

Polska szkoła w Niemczech...

Na podstawie Konwencji Genewskiej Polska miała prawo do organizacji własnego szkolnictwa dla mniejszości polskiej w Niemczech. Bowiem bez odpowiedniego systemu mogła ona szybko ulec wynarodowieniu. Budową systemu oświaty, pozyskiwaniem odpowiednich dokumentów, zezwoleń, tworzeniem sieci szkół zajmował się Związek Polskich Towarzystw Szkolnych. Drugą bardzo ważną organizacją na terenie Rzeszy był Związek Polaków w Niemczech – założony w 1922 roku, w celu obrony interesów i praw polskiej mniejszości narodowej. ZPwN – z siedzibą w Berlinie – podzielony był na oddziały, które odpowiadały za VI tzw. dzielnic. Kwidzyn podlegał dzielnicy IV – Warmińskiemu Oddziałowi ZPwN. To właśnie te organizacje stały się promotorem utworzenia polskiej szkoły średniej w Kwidzynie. Zabiegi o jej utworzenie rozpoczęły się już w sierpniu 1934 roku, jednak Niemcy starali się wszystkimi możliwymi środkami nie dopuścić do tej budowy. W sumie w latach 1934-1937 ZTSwN oraz ZPwN przeprowadziły blisko 100 interwencji w niemieckich urzędach, w sprawie otwarcia polskiej szkoły w Kwidzynie. W końcu, po wielu staraniach, kłopotach i przerwach w budowie, 10 listopada 1937 roku szkoła została otwarta. W uroczystości uczestniczył sam prezes Związku Polaków w Niemczech ks. Bolesław Domański.

W stanie ciągłego pogotowia

Niemcy nigdy nie pogodzili się z funkcjonowaniem Polskiego Gimnazjum. Już wkrótce po otwarciu szkoły, wraz z narastaniem napięcia w polityce polsko-niemieckiej, wzajemne stosunki placówki i władz miasta ulegały pogorszeniu. W lutym 1938 roku strzelano do ucznia przechadzającego się na dziedzińcu szkolnym. Postrzelony czternastolatek miał wiele szczęścia, gdyż kula małokalibrowego pistoletu, przebijając gruby zimowy płaszcz, zatrzymała się na blaszanym spojeniu szelek. Zawiadomiona o fakcie policja zbagatelizowała zdarzenie, a strzelającego oczywiście nie wykryto. Szykanowano uczniów w drodze do kościoła i w otoczeniu szkoły, a prym w tym wiedli członkowie Hitlerjugend, którzy próbowali rozbijać kolumnę marszową lub rzucali kamieniami w maszerujących. W 1939 roku, gdy Niemcy zerwały pakt o nieagresji, szkoła była obiektem nieustannych napadów ze strony bojówek niemieckich. Tłuczenie szyb, malowanie ścian, petardy i bomby cuchnące były na porządku dziennym. Po zmroku zdarzało się nawet wrzucanie brukowych kamieni przez okna czy strzały „z niewiadomego kierunku". Dr Gębik wspominał, że *„zakład pozamykany, na noc zabarykadowany, żył w stanie ciągłego pogotowia"*. Na noc wszystkie okna gmachu, wychodzące na ulicę, zaciemniano.

Zdjęcie wykonane z ukrycia, na chwilę przed odjazdem z Grünhof 21 września 1939 roku.

To samo miejsce, z którego autobusami rozwieziono gimnazjalistów i nauczycieli. Grünhof – przed pałacem, widok dzisiejszy.

Droga w nieznane...

Nie wiedzieli dokąd jadą. Było już ciemno i padał deszcz. Ktoś z uczniów jednego z autobusów wypatrzył przez „załzawioną" szybę, że jadą przez Sztum. Ale autobus nie zatrzymał się. Jechał dalej na północ. W Elblągu transport skie-

Zakład Heil u. Pflegeanstalt dla obłąkanych w Tapiau. To tu przywieziono gimnazjalistów z Kwidzyna 25 sierpnia 1939 roku. Dziś Gwardiejsk w Obwodzie Kaliningradzkim.

rował się na wschód. Po kilku godzinach jazdy minął Królewiec. W końcu dochodziła druga w nocy. Opony zadygotały na wyboistym bruku, po czym autobusy zatrzymały się. W atmosferze ponagleń, przekleństw i poszturchiwań wepchnięto wszystkich do budynku, który wyglądał jak zaniedbane i nieczynne więzienie.

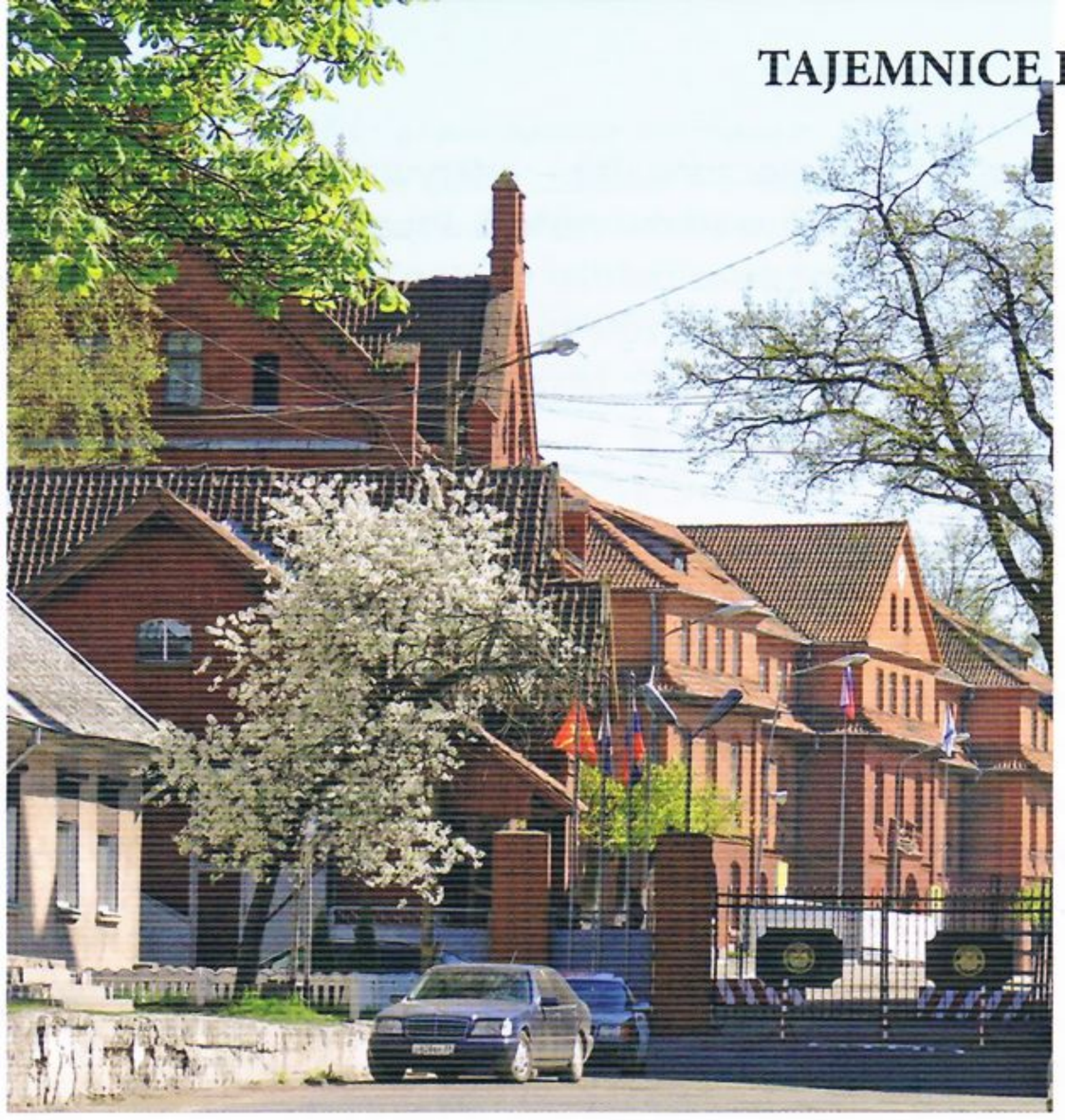

Lecznica dla psychicznie chorych

Miejscowość, w której zamknięto Polaków z Powiśla, nazywała się Tapiau (Polacy mówili nań Tapiewo, obecnie Gwardiejsk w obwodzie kaliningradzkim). Miejscem odosobnienia był nieczynny od dwóch lat zakład dla obłąkanych i psychicznie chorych. Aresztowani byli przekonani, że zostaną uśmierceni, podobnie jak poprzedni rezydenci tego miejsca. Naziści bowiem, wkrótce po dojściu do władzy, rozpoczęli program „eliminacji" ludzi uznanych przez ideologię narodowo-socjalistyczną za zbędnych. Mordowano chorych psychicznie, głodząc ich na śmierć lub trując w ośrodkach opiekuńczych.

Strażnicy zakładu zachowywali się spokojnie, wypytując, szczególnie najmłodszych więźniów, skąd są. Okazało się, że zostali poinformowani, iż przywiezieni zostaną niebezpieczni bandyci z Polski, którzy „rabowali i mordowali niewinnych Niemców". Taki opis miał znaleźć się w dokumentach z aresztowania. Był to element szerszego planu propagandowego wykorzystania rzekomego powstania Polaków przeciwko państwu niemieckiemu, a przez to sprowokowania wybuchu wojny. Należy dodać, iż pierwotnie Hitler wyznaczył termin ataku na Polskę 26 sierpnia, jednak zawarcie dzień wcześniej polsko-brytyjskiego układu sojuszniczego spowodowało jego przesunięcie na 1 września 1939 roku. Niestety, nie wszędzie informacja o zmianie daty dotarła, stąd nie zmieniono też terminu akcji „unieszkodliwienia" Gimnazjum Polskiego w Kwidzynie, rozpoczynając ją 25 sierpnia po południu.

Samo pojawienie się dzieci i młodzieży w Tapiau wprawiło strażników w osłupienie. Zgodnie z pierwotną wersją przygotowano nawet w zakładzie zimne piwnice z posłaniami ze słomy. Kiedy komendant obozu-więzienia o nazwisku Wichmann zobaczył wysiadające z autobusu dzieci, nakazał zmianę pomieszczeń. Oświadczył również, że co prawda wszyscy będą traktowani jak przestępcy kryminalni, jednak równocześnie wydał zgodę na prowadzenie w salach półgodzinnych zajęć lekcyjnych dla uczniów. W dodatku już 28 sierpnia, w asyście eskorty, Władysław Gębik zakupił w mieście gry planszowe i pomoce dydaktyczne, aby szczególnie najmłodszym złagodzić traumę pobytu w zakładzie. Dyrektor uzyskał również pozwolenie na zakup produktów żywnościowych oraz słodyczy.

1 września 1939 roku Kwidzyniacy wiedzieli, że coś „nadzwyczajnego" się wydarzyło, jednak nie mieli możliwości dowiedzieć się czegoś więcej. Nawet wachmani nie chcieli z nikim rozmawiać. Dopiero następnego dnia groźne słowo „wojna" wybrzmiało z ust jednego ze strażników. Poza rewizją rzeczy wszystkich odosobnionych, życie obozu nadal toczyło się swoim trybem.

Kolejna zmiana miejsca pobytu

5 września 1939 roku do obozu przywiezieni zostali ranni polscy żołnierze – jeńcy z Kampanii Wrześniowej. Tapiau zamieniło się w typowy wojskowy obóz jeniecki. Uczniowie i nauczyciele z Polskiego Gimnazjum znowu stanowili problem. Na razie zostali odizolowani w odrębnym budynku, ale ich status szybko należało rozwiązać. Już późnym popołudniem zarządzono zmianę miejsca pobytu. W pośpiechu, ponownie nocą, pilnie strzeżony transport kieruje się na północ. Było już grubo po północy, gdy wymęczeni gimnazjaliści dotarli na nowe miejsce. Ze względu na ograniczoną przestrzeń zostali podzieleni na dwie grupy, rozmieszczone w odległości 3-4 km od siebie. W miejscowości Grün-

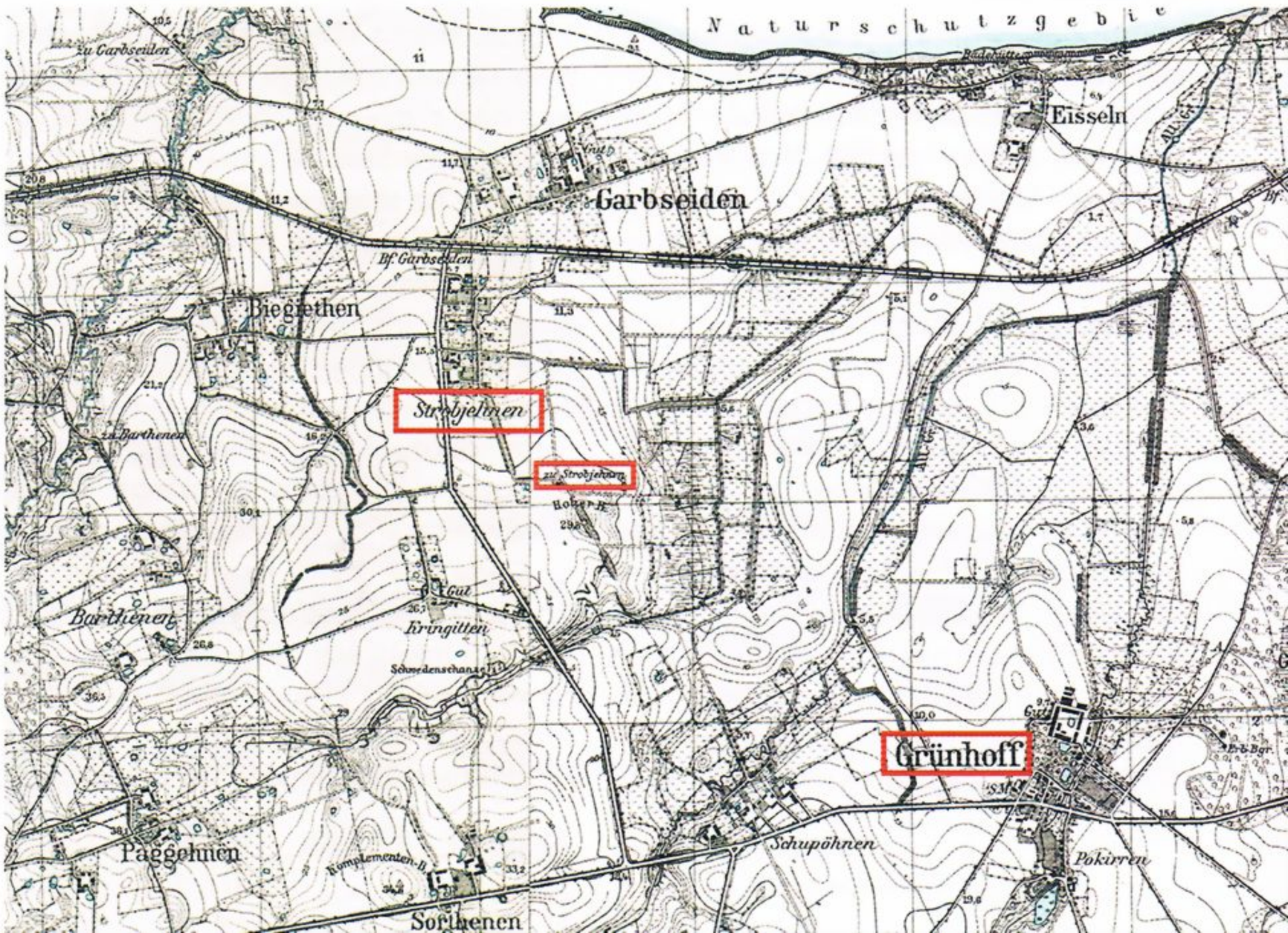

hof, w dworku, ulokowano młodzież i personel szkoły, zaś w Strohbienen najmłodszych. W przypadku drugiego z ośrodków pojawił się kolejny problem, bowiem chłopcy zakwaterowani zostali w drewnianym, brudnym baraku, ze spaniem na słomie. Po ostrej interwencji dyrektor Gębik otrzymał wprawdzie jednorazowe pozwolenie na odwiedzenie Strohbienen, jednak na poprawienie warunków bytowych lub połączenie obu grup nie było szans.

Niemcy nadal nie bardzo wiedzieli co zrobić z uwięzionymi Polakami z Powiśla. W obu obozach uczniowie zorganizowali się, odbywały się nadal lekcje, w Grünhof można było nawet wyjść na przechadzkę po ogrodzie. Można było się modlić, śpiewać, a nawet rozmawiać o historii Polski, co skrzętnie wykorzystywali nauczyciele, budując postawy patriotyczne wśród młodzieży.

20 września komendant obozu Grünhof obwieścił, że następnego dnia wszyscy zostaną zwolnieni. Już o 5 rano strażnicy nakazali pobudkę, pakowanie i sprzątanie miejsca pobytu. Kwidzyniacy zwołali także swój ostatni apel. W myśl pierwszych słów ich pieśni *„przeminęły już wieki, a myśmy ostali – burzom dziejów nie dali się zgnieść"*. Na kolanach, niczym modlitwę odmówili „jeszcze Polska nie zginęła". Uczniowie z Grünhof i Strohbienen ponownie spotkali się przy autobusach. Stąd rozpoczęli swoją ostatnią, wspólną drogę.

74 lata później...

Niestety, trudno dziś ustalić szczegóły dotyczące obozów, w których przebywali polscy gimnazjaliści z Kwidzyna. Nie wiadomo, jaki status miały te ośrodki, kto nimi dowodził. Władysław Gębik w swojej książce podaje jedynie kilka nazwisk – komendanta obozu w Tapiau, niejakiego Wichmanna, zastępcę Ussata oraz oficera dyżurnego Sahnau. Ślady z sierpnia i września 1939 roku prowadzą do Obwodu Kaliningradzkiego. O ile pierwsze miejsce pobytu – Tapiau – łatwo zlokalizować, z miejscowościami Grünhof i Strohbienen był pewien kłopot. We wspomnieniach Gębika nie było żadnej wzmianki o dokładniejszej lokalizacji wsi. W poszukiwaniach pomogła mi znajoma Rosjanka. Elena prowadzi biuro turystyczne i zna Okręg jak mało kto. Informacjami o pobycie polskich gimnazjalistów w 1939 roku była zaskoczona. Tak – odkrywanie niemieckich wątków historii Prus Wschodnich jest teraz bardzo modne, ale też utrudnione ze względu na brak dokumentów i opracowań. Niszczycielska działalność komunistów w Rosji dopełniła dzieła spustoszenia. Okazało się, że Grünhof, a obecnie Roszczino, to przede wszystkim historyczna posiadłość generała Fryderyka Wilhelma Bülow, grafa von Dennewitz, który wsławił się biorąc udział w pruskiej wojnie wyzwoleńczej w czasach Napoleona. Pałac, który graf otrzymał jako darowiznę w 1815 roku, w rękach rodziny Bülow znajdował się do 1943 roku. Z jedną małą różnicą... od roku 1928 Dietrich graf Bülow von Dennewitz – prawnuk generała – wydzierżawiał pałac, a w 1938 roku zgodził się na powołanie w nim siedziby „Nationalsozialistische Volkswohlfahrt NSV – Gau Ostpreußen". Władysław Gębik we wspomnieniach pisze, że w gmachu, na krótko przed wojną, utworzono szkołę Hitlerjugend (mógł pomylić obie organizacje, bazując jedynie na przekazie od miejscowej ludności), ale pałac był już opustoszały, kiedy lokowano w nim młodzież z Kwidzyna. Wskazówką potwierdzającą, że to ten sam gmach, są fotografie wykonane przez gimnazjalistów. Mocno drżało mi serce, kiedy odnajdowałam poszczególne miejsca ze zdjęć. Szkoda, że dzisiaj pałac w Grünhof jest w stanie skrajnej ruiny. Brak dostatecznych źródeł nie pozwolił również na dokładniejsze ustalenie, dlaczego Niemcy właśnie te miejsca wybrali i jaki był ich status.

W Strohbienen spotkał mnie jeszcze większy kłopot. Miejscowość także zachowała się (obecnie nosi nazwę Kulikowo), lecz nikt z mieszkańców nie potrafił niczego powiedzieć na temat drewnianych baraków na skraju wsi. Najstarszy mieszkaniec zamieszkał tu w 1947 roku. Z pomocą znowu przyszła Elena. Nie wiem skąd miała informacje, ale to ona wskazała, że obecnie w miejscu, gdzie stał otoczony drutem kolczastym mały drewniany obóz, dzisiaj przebiega szeroka, dwupasmowa droga szybkiego ruchu, którą mieszkańcy nazywają „Putinowką".

Dane mi było również pojechać do Tapiau. W dzisiejszym Gwardiejsku w wielu miejscach zachował się jeszcze nawet bruk, o którym pisał we wspomnieniach dyrektor gimnazjum. Nieco problemów sprawiło mi odszukanie dawnego zakładu dla psychicznie chorych. Okazało się, że budynek zachował się, jednak dostęp do niego jest utrudniony. Heil u. Pflegeanstalt wchodzi dziś w skład rosyjskich koszar wojskowych, które od reszty świata oddziela szczelne ogrodzenie oraz ściana poniemieckich kamienic, stojąca wzdłuż ulicy. Udało mi się jednak wykonać jedno zdjęcie... Jestem pewna, że to ta budowla! To tutaj przewiezieni zostali gimnazjaliści z Kwidzyna w sierpniu 1939 roku. To tutaj po raz pierwszy Polacy mieli okazję zaznać przemocy ze strony niemieckiego agresora w czasie II wojny światowej.

Czas rozstania...

W drugiej połowie września 1939 roku chłopcy, którzy nie mieli 18 lat, zostali zwolnieni do domów, zaś pozostałych uczniów Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie wcielono do Wehrmachtu, zmuszając tym samym, by walczyli przeciwko Polakom. Nauczyciele i pracownicy zostali przewiezieni do KL Hohenbruch, skąd rozesłano ich do innych obozów koncentracyjnych: Stutthof, Mauthausen, Sachsenhausen, Gusen. Część z nich nigdy już nie wróciła. Prywatna Szkoła z Programem Wyższej Uczelni i Polskim Językiem Nauczania w Kwidzynie została oficjalnie rozwiązana.

ZDJĘCIA POCHODZĄ Z KSIĄŻKI WŁADYSŁAWA GĘBIKA ORAZ Z PRYWATNYCH ZBIORÓW AUTORKI.

Literatura i źródła:
1. W. Gębik, „Burzom dziejów nie dali się zgnieść", Gdynia 1967
2. W. Gębik, „Chłopcy z Rzeczypospolitej Kwidzyńskiej", Olsztyn 1970
3. Z. Brzeziński, „Polacy spod znaku Rodła"
4. B. Koziełło-Poklewski, W. Wrzesiński, „Szkolnictwo polskie na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach 1919-1939", Olsztyn 1980
5. B. Pleśniarki, T. Wróblewska, „Gimnazjum polskie i Liceum Ogólnokształcące w Kwidzynie 1937-39 1945-77", Gdańsk 1980
6. Materiały własne.

Justyna Liguz
Absolwentka Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, Wydział Nauk Historycznych. Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. St. Żeromskiego w Kwidzynie – obecnie I LO, dawne Polskie Gimnazjum im. dr. Władysława Gębika.

Od redakcji,

Równo rok temu, zapraszając do lektury październikowego wydania „Odkrywcy", wspominałam o obecności Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego na terenie tzw. „Łączki" – warszawskiego Cmentarza Powązkowskiego, gdzie IPN oraz Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa prowadziła prace ekshumacyjne, mające na celu identyfikację pochowanych tam ofiar komunistycznego terroru z lat 1944-1956. W przedsięwzięciu naukowo-badawczym, obok ww. instytucji, zaangażowani byli: Ministerstwo Sprawiedliwości, Miasto Stołeczne Warszawa oraz specjaliści z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, Zakładu Medycyny Sądowej z Wrocławia i Instytutu Ekspertyz Sądowych z Krakowa.

Prowadzone na Powązkach prace mają wyjątkowe znaczenie dla zbiorowej pamięci historycznej, obarczonej latami wymuszonej niepamięci i późniejszych zaniechań. Skłaniają też do szczególnego skupienia uwagi na ich rezultaty.

W sierpniu i wrześniu 2012 r. ekshumowano szczątki 117 straconych w mokotowskim więzieniu osób, spośród których do grudnia udało się zidentyfikować 3 osoby: por. AK Edmunda Bukowskiego, kpt. Stanisława Łukasika – żołnierza AK i Zrzeszenia WiN oraz Eugeniusza Smolińskiego – specjalistę materiałów wybuchowych KG AK straconych w latach 1949-50. W lutym 2013 r. IPN poinformował o kolejnych identyfikacjach, są to: por. AK i Zrzeszenia WiN Tadeusz Pelak; Bolesław Budelewski – żołnierz AK i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego; Stanisław Abramowski – żołnierz AK, Zrzeszenia WiN i NSZ oraz kawaler orderu Virtuti Militari Stanisław Kasznica, podpułkownik i ostatni komendant Narodowych Sił Zbrojnych.

Identyfikacje ofiar terroru komunistycznego możliwe są dzięki badaniom DNA prowadzonym w ramach Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów powstałej na szczecińskim Pomorskim Uniwersytecie Medycznym. To jedyna możliwa droga do przywrócenia tożsamości zamordowanym ofiarom, zabijanym i chowanym w bestialski sposób z intencją ich pohańbienia również po śmierci – co uwypukla dr. hab. Krzysztof Szwagrzyk – pełnomocnik Prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego, wskazując na przebranie zwłok w mundury Wehrmachtu i „katyńską metodę strzału w tył głowy". Odbieranie godności bohaterom Polskiego Państwa Podziemnego i żołnierzom powojennego podziemia niepodległościowego, było działaniem wielokierunkowym, prowadzonym nie tylko w latach nasilonego terroru i represji. Propaganda i edukacja historyczna realizowała te cele w różnym natężeniu właściwie przez wszystkie lata trwania PRL.

22 sierpnia 2013 r., zespół dr. Krzysztofa Szwagrzyka podał kolejne zidentyfikowane nazwiska ofiar. O szczegółach, z dr hab. Krzysztofem Szwagrzykiem rozmawia Janusz Skowroński.

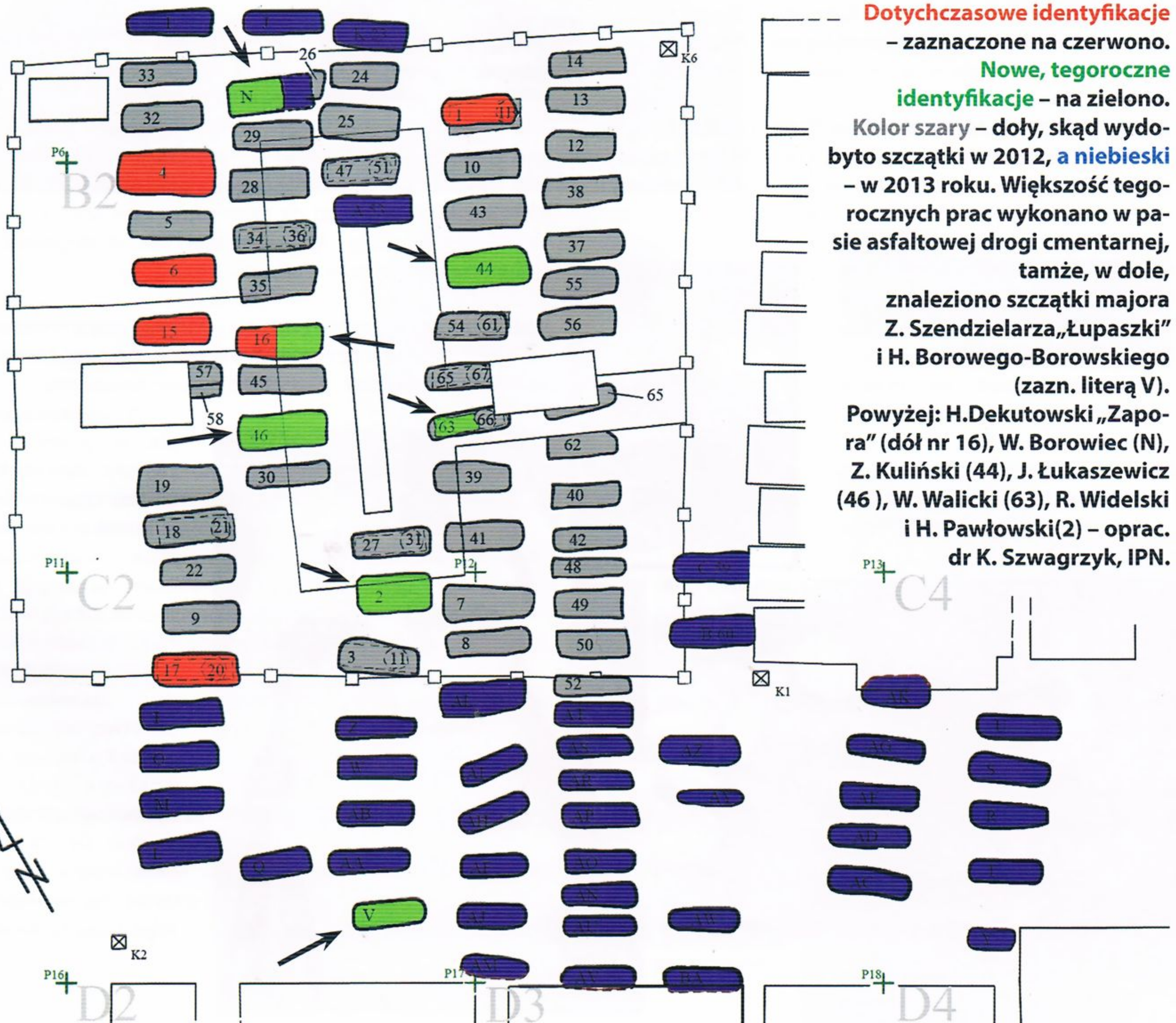

Dotychczasowe identyfikacje – zaznaczone na czerwono. Nowe, tegoroczne identyfikacje – na zielono. Kolor szary – doły, skąd wydobyto szczątki w 2012, a niebieski – w 2013 roku. Większość tegorocznych prac wykonano w pasie asfaltowej drogi cmentarnej, tamże, w dole, znaleziono szczątki majora Z. Szendzielarza „Łupaszki" i H. Borowego-Borowskiego (zazn. literą V). Powyżej: H.Dekutowski „Zapora" (dół nr 16), W. Borowiec (N), Z. Kuliński (44), J. Łukaszewicz (46), W. Walicki (63), R. Widelski i H. Pawłowski(2) – oprac. dr K. Szwagrzyk, IPN.

„ŁĄCZKA”

NA SIERPNIOWEJ KONFERENCJI SWOJE WYSTĄPIENIE O KOLEJNYCH IDENTYFIKACJACH OFIAR TERRORU KOMUNISTYCZNEGO NA KWATERZE „Ł”, TZW. „ŁĄCZCE”, PRZY MURZE CMENTARZA WOJSKOWEGO NA POWĄZKACH W WARSZAWIE ZACZĄŁ PAN OD STWIERDZENIA, ŻE MIAŁ WRAZ Z ZESPOŁEM HONOR JE PROWADZIĆ. TO COŚ WIĘCEJ NIŻ OBOWIĄZEK...

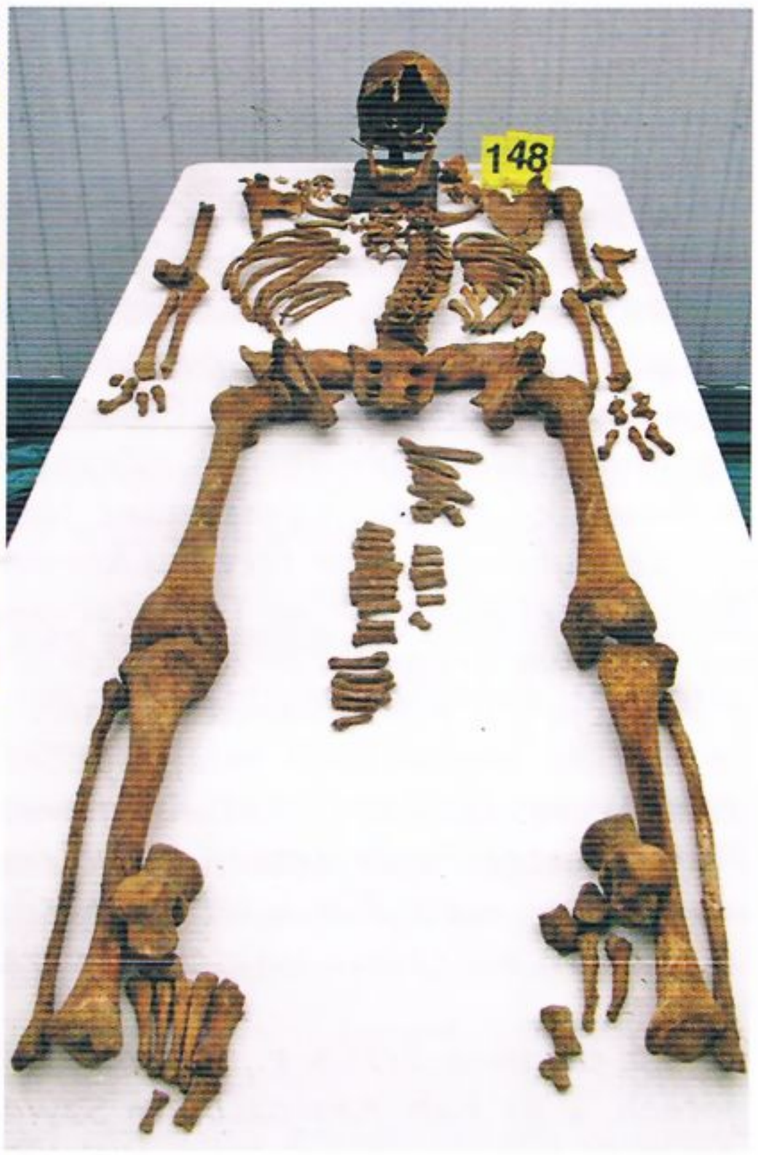

Henryk Borowy

Borowski

POWYŻEJ, NAD POSZUKIWANYMI PRZEZ PANA ZESPÓŁ OFIARAMI ZBRODNI KOMUNISTYCZNYCH.

Dr Krzysztof Szwagrzyk: Znacznie więcej. Obowiązek jest czymś narzuconym. Honor znacznie wykracza poza obowiązki przydzielone przez kogoś, bądź coś. Można to traktować jako osobiste wyróżnienie, największy zaszczyt, jakiego można dostąpić. Być dopuszczonym do poszukiwania szczątków naszych bohaterów narodowych. Honor, to najwłaściwsze słowo oddające nasz stosunek do prac, w których bierzemy udział. Po bardzo długim czasie odkrywamy różne tajemnice sprzed lat i przywracamy tożsamość ofiarom komunizmu. Mamy przy tym świadomość, że w społeczeństwie, dla którego „wskrzeszamy” tych ludzi, realizowane przez nas prace traktuje się jako absolutnie coś wyjątkowego. To przełomowa chwila w naszej najnowszej historii.

JAK DŁUGO POTRWAJĄ PRACE BADAWCZE NA „ŁĄCZCE”?

Przed nami trzeci, najtrudniejszy etap badań. Chcemy mieć pewność, że pracami poszukiwawczymi objęliśmy cały obszar. Mamy już wydobyte szczątki 194 ofiar, ponad 90 spoczywa jeszcze w tej ziemi. Teraz musimy znaleźć skuteczną metodę, jak wydobyć szczątki tych, którzy leżą pod współczesnymi grobami, pod pomnikami. To ogromne wyzwanie przed nami. Przede wszystkim, co do sposobu wydobycia szczątków ofiar.

Władysław Borowiec

ROZUMIEM, ŻE TRZEBA ROZMAWIAĆ Z RODZINAMI TYCH, KTÓRZY LEŻĄ

Tak, w grę wchodzą także różne metody wydobywcze, w tym górnicze. Nie ma jeszcze ostatecznej decyzji w tej sprawie. Należy spokojnie zastanowić się, która z metod da nam największe szanse powodzenia. I – oczywiście – aby prace wykonać skutecznie. Decyzje zapadną w najbliższym czasie.

DO TEJ PORY – W TRZECH ETAPACH – ZOSTAŁO ZIDENTYFIKOWANYCH ŁĄCZNIE 16 OFIAR. CZY MOŻNA SPODZIEWAĆ SIĘ KOLEJNYCH OGŁOSZEŃ IDENTYFIKACJI?

W pierwszym etapie, w grudniu 2012 r. zostały zidentyfikowane trzy osoby – Edmund Bukowski, Stanisław Łukasik i Eugeniusz Smoliński. W lutym br. następne cztery – Tadeusz Pelak, Bolesław Budelewski, Stanisław Abramowski i Stanisław Kasznica. Obecnie – 22 sierpnia ogłosiliśmy kolejnych 9 nazwisk. Bardzo chcielibyśmy ogłosić dalsze nazwiska, ale to wszystko musi trochę jeszcze potrwać. Nie wiem, czy nastąpi to w tym roku. Ale

– przywracanie tożsamości

Dr Krzysztof Szwagrzyk – pełnomocnik Prezesa IPN ds. poszukiwań miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego.

powiem bezpieczniej – tej zimy na pewno. Tu główna rola genetyków, ale i nas. Jeśli dotrzemy do rodzin osób, których szczątki posiadamy, mogłyby być szybciej identyfikowane.

DO PRAC WYKORZYSTYWANE SĄ BADANIA PORÓWNAWCZE DNA.

Tak, zdecydowanie. Badania genetyczne decydują o tym, które szczątki ogłaszamy jako zidentyfikowane. Materiał genetyczny do porównań powinien pochodzić od rodzeństwa albo osób bliskich. Do tej pory pobrany został materiał od 358 osób, najbliższych krewnych ofiar. To dużo, zważywszy, że tworzenie Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów (PBGOT) rozpoczęliśmy w lipcu ubiegłego roku. Ta liczba wciąż rośnie, szczególnie kiedy ogłaszamy wyniki naszych identyfikacji. Nasze konferencje dają wielu ludziom impuls, poczucie, że istnieje szansa na odzyskanie swoich bliskich. To przekonuje wielu.

Hieronim „Zapora" Dekutowski

OPRÓCZ BADAŃ DNA WYKORZYSTYWANE SĄ PRZEDMIOTY OSOBISTEGO UŻYTKU, POCHODZĄCE OD OFIAR. JAKIE?

Takie, z którymi osoby miały dłuższy kontakt. Na przykład trafiają się koszule czy wkładki do butów. Pobraliśmy wycinek z fragmentem kapelusza mającego skórzaną wkładkę w środku. Bo w przeciwieństwie do marynarki, kapelusz miał trwalszy i dłuższy kontakt z ofiarą. Zdarzają się sytuacje zupełnie wyjątkowe – w ub. roku syn jednej z ofiar znalazł w domowych zakamarkach… ząb ojca! To wręcz najlepsza z możliwych próbek do uzyskania DNA.

W PRZYPADKU HIERONIMA DEKUTOWSKIEGO „ZAPORY", BYŁO NIECO INACZEJ.

Jak wiadomo, „Zapora" nie miał dzieci. Miał brata i kilka sióstr. Materiał genetyczny pobieraliśmy ze szczątków rodziców, spoczywających na cmentarzu w Tarnobrzegu. Skutecz-

Zygfryd Kuliński

ność tej metody wynosi 99% i sześć dziewiątek po przecinku, więc jest to metoda pewna. Ważne jest, aby wszystkie ogniwa w tej metodzie nie zawiodły – archiwiści, archeolodzy, antropolodzy pobierający szczątki, ważne, aby były kompletne, co wcale nie jest łatwe. W trakcie prac staramy się zbadać nawet sposób egzekucji i przebieg toru pocisku. Wiemy, że często strzały oddawano z wyższej wysokości niż wzrost ofiary, co dowodzi, że ofiara mogła klęczeć. Bądź kat stał powyżej ofiary. Na podstawie więziennych relacji z Mokotowa wiemy, że kat schodzący do piwnicy w pewnym momencie przepuszczał więźnia przodem, do piwnicy położonej niżej. Niczego nie spodziewający się skazaniec otrzymywał strzał w potylicę. Duża powtarzalność odnajdywanych czaszek z tak przeszytym, wysoko umieszczonym otworem wlotowym po kuli potwierdza te relacje. Proszę pamiętać, że poszczególnym egzekucjom zawsze towarzyszyły bardzo dramatyczne okoliczności. Nie zawsze ofiara w obliczu śmierci stała nieruchomo, być może niektórzy próbowali się bronić, odchylali się. W czaszkach znajdujemy otwory po dwóch, a nawet trzech strzałach, co oznacza, że kat nie mający pewności, czy ofiara żyje, dobijał. Taki był obowiązek kata – zabić.

Józef Łukaszewicz

CZY W WIĘZIENIU DO TAKIEGO UŚMIERCANIA OFIAR SŁUŻYŁA JEDNA CELA?

Na Mokotowie znane są co najmniej dwa takie miejsca. Pierwsze, to cela umieszczona głęboko w piwnicy więzienia, drugie, to bunkier na dziedzińcu więziennym.

DZIŚ WIEMY, ŻE MAJOR ZYGMUNT SZENDZIELARZ „ŁUPASZKO" LEŻAŁ... POD ASFALTOWĄ DROGĄ CMENTARNĄ, NA KTÓREJ JESZCZE W UBIEGŁYM ROKU PRZEBIEGAŁY UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWE PIERWSZYCH OFIAR. CZY PAŃSKI ZESPÓŁ JEST W STANIE PRZEWIDZIEĆ, GDZIE JESZCZE MOŻNA SIĘ SPODZIEWAĆ KOLEJNYCH MOGIŁ?

Tak jak mówiłem, na „Łączce" znajdują się one pod współczesnymi pomnikami nagrobnymi. To mamy potwierdzone – odwierty z góry i badania sondażowe dają pewność, że kości znajdują się głęboko. Kiedy dokonywaliśmy rozbiórki asfaltu drogi i kopaliśmy doły, zauważyliśmy, że groby wchodzą wprost pod mogiły powyżej. Pomiędzy tą – do niedawna – drogą asfaltową a murem ograniczającym cmentarz, jest ok. 30 metrów, a szerokość – dalszych 40 metrów. To obecnie teren naszych badań.

STANISŁAWA KASZNICĘ ZABITO W MOKOTOWSKIM WIĘZIENIU 12 MAJA 1948 ROKU, DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ STRACONO ROTMISTRZA WITOLDA PILECKIEGO. KASZNICA ZOSTAŁ JUŻ ZIDENTYFIKOWANY. CZY TA ZBIEŻNOŚĆ DAT DAJE PEWNOŚĆ, ŻE CIAŁO ROTMISTRZA TAKŻE ZNAJDUJE SIĘ NA „ŁĄCZCE"?

Tak uważamy. Choć na dzień dzisiejszy nie mamy potwierdzonego genetycznie tego faktu. Wierzymy jednak, że jest to

Henryk Pawłowski

Ryszard Widelski

kwestia czasu i szczątki tego wielkiego Polaka uda się nam także zidentyfikować.

BYĆ MOŻE SĄ ONE JUŻ WYDOBYTE I CZEKAMY TERAZ NA WYNIKI PRAC GENETYKÓW?

Tak. Szczątki ofiar z lat 1948-49 z „Łączki" zostały już przez nas wybrane. Czy wszystkie? Zawsze powtarzam, że dopóki

Wacław Walicki

POLSKA BAZA GENETYCZNA OFIAR TOTALITARYZMÓW

Mając na względzie pamięć ofiar zbrodni systemów totalitarnych i dążąc do ograniczenia ich porażającej bezimienności będącej jednym z przejawów zaprzeczenia człowieczeństwa pomordowanych, Instytut Pamięci Narodowej oraz Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie powołały 28 września 2012 roku Polską Bazę Genetyczną Ofiar Totalitaryzmów (PBGOT).

Baza ta jest strategicznym etapem projektu naukowo-badawczego „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944-1956". Kluczowym zadaniem staje się stworzenie bazy materiału porównawczego DNA ofiar i ich krewnych. Baza pozwala na prowadzenie badań w tym zakresie przez wiele kolejnych lat. PBGOT, to pierwsza tego typu, tak kompleksowa baza w Europie.

Identyfikacja osobnicza na podstawie DNA – jak to się robi?

Do tej pory medycyna sądowa identyfikowała głównie osoby o nieznanej tożsamości, które były ofiarami różnego rodzaju przestępstw kryminalnych. Jednak wraz z rozwojem molekularnych metod identyfikacyjnych, coraz częściej podejmuje się próbę zwrócenia tożsamości również ofiarom konfliktów zbrojnych i systemów totalitarnych. W przypadku identyfikacji szczątków ludzkich, daleko posunięte procesy gnilne, zeszkieletowanie czy fragmentacja utrudniają ustalenie tożsamości. Obecnie, to badania genetyczne stanowią podstawę identyfikacji osobniczej. Materiał genetyczny jest unikatowy dla każdego człowieka, a każdy rodzaj tkanki zawiera taki sam zestaw genów. Pozwala on na uzyskanie pełnego profilu genetycznego, nadającego się do badań porównawczych DNA. Profilowanie genetyczne wprowadzone zostało w połowie lat 80. i zrewolucjonizowało możliwości śledczych w kwestii dopasowywania podejrzanych do śladów pozostawionych na miejscu zbrodni, a z czasem także identyfikacji NN-osób. Obecnie obejmuje ono kompletny i wysoce wyspecjalizowany proces identyfikacyjny.

Pierwszym etapem badań genetycznych, jest odpowiednie przygotowanie materiału biologicznego. W przypadku szczątków zeszkieletowanych, najlepsze wyniki uzyskuje się dla zębów i zbitej tkanki kostnej (najczęściej pobiera się fragment kości udowej). Wybrany wcześniej, najmniej zdegradowany fizycznie materiał biologiczny, poddaje się mechanicznemu i chemicznemu oczyszczeniu zewnętrznemu, a także sterylizacji pod lampą UV. Takie przygotowanie konieczne jest przed kolejnym (bardzo czułym) etapem – izolacją DNA.

Rozkład tkanek miękkich niesie za sobą degradację znajdującego się w komórkach materiału genetycznego. Dlatego istotny jest wybór odpowiedniej metody izolacji DNA, umożliwiającej dalsze analizy. Obecnie stosowane techniki molekularne to procesy niezwykle czułe, pozwalające na przeanalizowanie nawet znikomych ilości materiału genetycznego.

Wyizolowane DNA jest następnie namnażane, a potem rozdzielane w wieloetapowym procesie laboratoryjnym. Rozdział ten, analizowany następnie przez specjalistyczne programy komputerowe, pozwala uzyskać unikatowy dla danego osobnika profil genetyczny. Dla materiału porównawczego, który w przypadku PBGOT pochodzi od rodzin ofiar, proces odbywa się identycznie, począwszy od izolacji DNA, aż do uzyskania profilu genetycznego.

Uzyskanie wyników początkuje ostatni etap pracy – porównywanie profili DNA według modelu dziedziczenia. Analiza rozkładu cech genetycznych pozwala ustalić stopień pokrewieństwa między badanymi osobnikami.

Źródło: www.pbgot.pl; tamże (zakładka – DLA RODZIN) opisano szczegółowo sposób pobierania materiału genetycznego od spokrewnionych członków rodzin, wypełniania ankiet (historycznej i medycznej) oraz protokołu z pobrania materiału DNA. Pobrany materiał trafia do PBGOT. Z kolei w zakładce KOMUNIKATY można znaleźć listę ponad 100 straconych w więzieniu na Mokotowie, dla których do tej pory nie odnaleziono bliskich.

nie otworzymy całego pola, do ostatniego dołu, i nie zbadamy tożsamości ofiar, nie będziemy niczego mogli powiedzieć z całą pewnością. Przy pochówkach ofiar terroru komunistycznego mamy do czynienia z brakiem porządku chronologii składania ciał. Choć grabarz Władysław Turczyński, przywożący ciała z Mokotowa, zeznając przed laty przed komisją Kosztirki twierdził inaczej. Obecnie odsłaniając kolejne groby widzimy, że porządku nie ma. Przykładowo – „Łupaszko" stracony w 1951 roku leżał pośród ofiar z 1949 roku. Nieco dalej, wśród straconych w 1948 roku są ofiary z 1949. Jak widać, rządziła komunistyczna bylejakość, nawet tu…

TO NIESŁYCHANE, BY POCHÓWKÓW ŻOŁNIERZY POLSKIEGO PODZIEMIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO DOKONYWAĆ W NIEMIECKICH MUNDURACH…

Pochówek jest tu określeniem niewłaściwym. To, co oprawcy robili ze swoimi ofiarami, było próbą pohańbienia po śmierci. To było świadome. Używano argumentacji, że AK współpracowała z Niemcami. Dla celów propagandowych było to działanie skuteczne i pożądane przez komunistów. Niekiedy żołnierzy AK podczas procesów sądowych ubierano w mundury Wehrmachtu. To jedna z metod zacierania śladów. Z nią mamy do czynienia również na „Łączce". Przed śmiercią przebierano polskich żołnierzy w mundury niemieckiego Wehrmachtu, fotografowano. Proszę – przykładowo – spojrzeć na zdjęcie Tadeusza Pelaka wykonane przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w 1948 roku. Odcięto naramienniki, jest ślad po hitlerowskiej „gapie" nad kieszenią. I tak go wrzucono do grobu. W nim – oprócz kości – znaleźliśmy resztki munduru, a przede wszystkim guziki. Podobnie było z „Zaporą" i całą jego grupą. „Zaporczyków" także pogrzebano w mundurach Wehrmachtu.

Z kolei w Siedlcach mamy do czynienia z przypadkiem, gdzie do wcześniejszego grobu z kilkudziesięcioma żołnierzami niemieckimi wrzucono polskich partyzantów z AK. W naszej kulturze chrześcijańskiej stosunek do zwłok jest

Tadeusz Pelak (1922-1949), ps. „Junak", por. AK i WiN. Na zdjęciu w więzieniu mokotowskim ubrany w mundur Wehrmachtu i w nim pochowany na „Łączce". Zginął 7 III 1949 razem z mjr. H. Dekutowskim „Zaporą", kpt. S. Łukasikiem „Rysiem", por. R. Grońskim „Żbikiem", por. A. Wasilewskim „Białym", ppor. E. Tudrujem „Mundkiem" i ppor. J. Miatkowskim „Zawadą".

oczywisty, tu zaś mamy do czynienia z perfidią komunistów do końca – pohańbienia zwłok, nawet po śmierci. To się nie mieści w żadnych kategoriach, choć było celowe. Komuniści w swej propagandzie usiłowali w ten sposób dowieść, że AK współpracowała z Niemcami.

JAK REAGUJĄ RODZINY ZIDENTYFIKOWANYCH OFIAR. ULGA?

Mieszanina uczuć. Ulga, radość. Ale i smutek, że po wielu latach dochodzi do refleksji nad ludzkimi losami, tragedią poszczególnych osób i całych rodzin. Pozytywne jest u nich to, że wreszcie będą mogli zapalić świeczkę w miejscu rzeczywistego pochówku.

PO PANA WYSTĄPIENIU NA KONFERENCJI 22 SIERPNIA ROZLEGŁY SIĘ DŁUGIE BRAWA. TO PODZIĘKOWANIA OD RODZIN OFIAR. STANOWICIE DLA NICH OSTATNIĄ DESKĘ RATUNKU.

Oczywiście, mamy takie poczucie. Rodziny cały czas współpracują z nami. A skoro jest tak duże oczekiwanie społeczne, nie możemy sobie pozwolić na jakąkolwiek pomyłkę.

POJAWIĄ SIĘ SYGNAŁY LOKALNE „Z POLSKI" O MIEJSCACH KAŹNI I POCHÓWKÓW. W JAKI SPOSÓB REAGUJECIE?

Są dwa sposoby poszukiwań. Pierwszy – związany z inicjatywą lokalną. Występują do nas władze lokalne i środowiska lokalne. Mam tu na myśli kombatantów, więźniów politycznych, badaczy historii miejscowej, kiedy mają podejrzenie, że na ich terenie znajdować się może takie miejsce. Skala oczekiwań społecznych jest ogromna.

A sposób drugi – badania inicjujemy sami. Kontakt jest zawsze na zespół pełnomocnika Prezesa IPN ds. poszukiwań, któremu przewodniczę.

JAK POSTĘPUJĄ PRACE NA DOLNYM ŚLĄSKU? O WROCŁAWSKIM CMENTARZU NA OSOBOWICACH ROZMAWIALIŚMY NA ŁAMACH „ODKRYWCY" POD KONIEC 2011 ROKU.

Trwają nadal prace poszukiwawcze na dawnym polu 77 i 91a. Pomiędzy pomnikami i ścieżkami poszukujemy ludzi, których moglibyśmy zidentyfikować, to są jednak inne możliwości prac niż na warszawskiej „Łączce". Kolejnym miejscem do przebadania jest Jawor, gdzie stracono dwie osoby. Choć kalendarz prac mamy wypełniony, jesteśmy otwarci na każdy nowy sygnał o nieznanych miejscach pochówku ludzi z lat 1944-1956.

DZIĘKUJĘ BARDZO ZA ROZMOWĘ.

SCHEMAT ORAZ MATERIAŁ ZDJĘCIOWY POCHODZI Z PREZENTACJI AUTORSTWA DR. K. SZWAGRZYKA, IPN. DZIĘKUJEMY ZA MOŻLIWOŚĆ JEJ WYKORZYSTANIA.

Miejsce, gdzie w ub. roku odbywały się uroczystości pogrzebowe pierwszych zidentyfikowanych ofiar. Na czerwono zaznaczono grób, skąd w tym roku wydobyto i zidentyfikowano szczątki majora „Łupaszki".

Obiekt 67 – krater uderzeniowy. Widoczny lej o średnicy 18,3 m wraz z dookolną strefę depozycji.

Badania archeologiczno-architektoniczne

Poligon „Heidekraut" pod lupą archeologów

SŁAWOMIR BRETT, JAROSŁAW BUTKIEWICZ, ROBERT GROCHOWSKI

Obszar dawnego, niemieckiego poligonu rakietowego „Heidekraut" w rejonie Wierzchucina (gm. Cekcyn, woj. kujawsko-pomorskie), to trzeci, po Peenemünde i Bliźnie (kryptonim „Heidelager"), poligon rakietowy hitlerowskiej III Rzeszy, na których testowano rakiety balistyczne A4/V2. Poligon położony był w kompleksie leśnym, po obu stronach stacji kolejowej Wierzchucin (niem. Lindenbusch). Od 31 VII 1944 r. do 11 I 1945 r. wystrzelono stąd blisko 300 rakiet, których celem był obszar w rejonie Kalisza i Sieradza. Z poligonu strzelano zarówno rakietami testowymi bez ładunku, jak i pociskami uzbrojonymi w głowice z ładunkiem wybuchowym. Oprócz zadań testowych, na poligonie szkolono również niemieckie jednostki rakietowe, które w warunkach bojowych używały tej broni w atakach na Antwerpię, Londyn, Paryż i inne miasta zachodniej Europy. W styczniu 1945 r., w obliczu ofensywy Armii Radzieckiej, żołnierzy, naukowców oraz rakiety i wyposażenie ewakuowano koleją na zachód Niemiec.

Jesienią 1944 r. teren poligonu, określany jako „wyrzutnie pod Wierzchucinem", rozpoznawany był przez działające w Borach Tucholskich grupy partyzanckie AK. Największe sukcesy odniósł oddział „Jedliny 102", dowodzony przez por. Jana Sznajdera ps. „Dąb", którego obóz znajdował się ok. 10 km na północ, w rejonie miejscowości Wielkie Gacno[1]. Na podstawie rozpoznania sporządzono wówczas liczne meldunki oraz szkicowy plan sytuacyjny „wyrzutni". Część materiałów przekazywano współdziałającej z AK polsko-radzieckiej grupie rozpoznawczej por. Kazimierza Waluka (ps. „Żelazny", „Bystrooki"), zrzuconej na spadochronach w północnej części Borów Tucholskich jesienią 1944 r. Za pośrednictwem radiostacji informacje te przekazywano do „Centrum", skąd trafiały następnie do radzieckiego wywiadu[2]. Nie ma zatem wątpliwości, że o funkcjonowaniu „tajnego" poligonu „Heidekraut" od samego początku wiedziano zarówno w Londynie, jak i w Moskwie.

Po zakończeniu wojny infrastruktura poligonu została w szybkim czasie zdemontowana przez miejscową ludność. Rozebrano drewniane szkielety ziemianek, skąd pozyskiwano krawędziaki, deski, dyktę i wyposażenie (żelazne piecyki, koce, odzież, itd.). W latach 1952-1953 zebrano znajdujące się jeszcze na powierzchni ziemi elementy rakiet, głównie fragmenty poszycia.

Początki – poligon wychodzi z cienia

W 1975 r. w „Kalendarzu Bydgoskim" ukazał się artykuł Jerzego Jaśkowiaka „Wunderwaffe nad Bydgoszczą", gdzie po raz pierwszy podjęto próbę charakterystyki poligonu w Wierz-

Obiekt 52 – relikt ziemianki. Widok od strony północnej. Na pierwszym planie częściowo zasypany wykop o wym. 5,5×4,3 m z dookolnym wałem ziemnym. W narożniku, strona południowo-wschodnia, widoczne wydłużone, korytarzowe wejście.

chucinie. Pomimo wielu nieścisłości oraz nadinterpretacji faktów, opracowanie to ma kapitalne znaczenie dla rekonstrukcji dziejów analizowanego obszaru. Stanowiło one nie tylko punkt wyjścia do dalszych, bardziej szczegółowych prac, ale również niejednokrotnie inspirację do zainteresowania się samą tematyką broni V. Jarosław Butkiewicz, prezes Bydgoskiego Stowarzyszenia Miłośników Zabytków „Bunkier", tak wspomina swój pierwszy pobyt na terenie dawnego poligonu: – *(…) Po raz pierwszy w poszukiwaniu śladów po poligonie wybrałem się w 1995 r. Badania terenowe przyniosły pozytywny rezultat, udało się odnaleźć ślad po bocznicy kolejowej, która odchodziła od stacji kolejowej w las. W pobliżu natrafiłem na kilka ukryć i ziemianek oraz tajemniczy, okrągły wał ziemny, który później zidentyfikowaliśmy jako „celtę fińską". Temat okazał się na tyle ciekawy, iż zgodnie z powiedzeniem: „koniec języka za przewodnika" udało mi się dotrzeć do świadków pamiętających okres funkcjonowania poligonu, którzy wskazywali nowe lokalizacje ziemianek, ukryć pojazdów oraz kraterów po upadkach rakiet. W 2007 r. teren poligonu odwiedzili zagraniczni badacze Wolfgang Gückelhorn, Paul Detlev z Niemiec oraz Michel van Best z Holandii. Spotkanie zaowocowało wymianą doświadczeń na temat Wunderwaffe. Ciekawostką był przywieziony przez nich plan stanowisk startowych V2 poligonu „Heidekraut" oraz dwa zdjęcia zrobione na terenie poligonu, m.in. żołnierz przy „celcie fińskiej". W 2012 r. dołączyłem do grupy prowadzącej tu badania archeologiczno-architektoniczne.*

W latach 1994-2001 analizowany obszar penetrowany był przez osoby skupione w sekcji poszukiwawczej Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Tradycji POW w Bydgoszczy. O zakresie i wynikach prowadzonych wówczas prac niewiele wszak wiadomo.

W 2006 r. badania powierzchniowe w ramach badań AZP prowadził tu prof. Jacek Woźny z UKW w Bydgoszczy. Zebrał on szereg cennych informacji, relacji świadków oraz sporządził pierwszą dokumentację kartograficzną i fotograficzną wybranych elementów poligonu.

Od wielu lat kwestią poligonu „Heidekraut" zajmuje się Wojciech Mąka. Pozyskane przez niego niemieckie archiwalia, relacje świadków oraz badania terenowe, pozwoliły na podjęcie pierwszej, kompleksowej próby odtworzenia dziejów poligonu oraz jego układu przestrzennego[3].

Archeolodzy na poligonie „Heidekraut"

W 2012 r., dzięki staraniom Bartosza Puchowskiego, prezesa Fundacji Zrównoważonego Rozwoju Lokalnego „Cisowy Fyrtel" oraz wsparciu finansowemu Kujawsko-Pomorskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, na terenie dawnego poligonu przeprowadzono pierwszy etap badań archeologiczno-architektonicznych. Trwały one od 15 do 30 maja 2012 roku. Kierownikiem prac był Robert Grochowski, a w skład ekipy weszli: Sławomir Brett i Jarosław Butkiewicz.

Celem badań było wstępne rozpoznanie struktury poligonu, jego zasięgu oraz ilości i rodzaju zachowanych reliktów infrastruktury. Prowadzono wyłącznie badania powierzchniowe, polegające na przejściu tyralierą analizowanego obszaru (ograniczonego najczęściej do konkretnego kwartału leśnego), odnalezieniu wszystkich widocznych na powierzchni ziemi reliktów, a następnie wykonaniu ich szczegółowej dokumentacji. Badaniami objęto obszar o powierzchni 917 ha, zlokalizowany w kompleksie leśnym na wschód od stacji kolejowej Wierzchucin. Zadokumentowano wyłącznie relikty obiektów drewniano-ziemnych i ziemnych. Nie natrafiono na ślady po naziemnych czy podziemnych konstrukcjach murowanych (żelbetowych lub ceglanych). Zinwentaryzowano 242 obiekty o zróżnicowanej konstrukcji, wielkości i funkcji, które zgrupowano w 21 głównych typach, począwszy od reliktów ziemianek mieszkalno-magazynowych, półziemianek mieszkalnych („celty fińskie"), ukryć dla żołnierzy, pojazdów i sprzętu, stanowisk artylerii przeciwlotniczej, okopów i stanowisk ogniowych, po pola startowe, ciągi komunikacyjne, tereny magazynowe i kratery uderzeniowe, powstałe w wyniku upadku wadliwych rakiet. W obrębie typów wydzielono podtypy i dalej odmiany, świadczące o dużej różnorodności wznoszonych wówczas budowli. Dla każdego obiektu sporządzono kartę ewidencyjną zabytku architektury militarnej, gdzie podano jego lokalizację (standardową i w systemie GPS), funkcję, konstrukcję, opis techniczny, wymiary, plany (rzut, przekrój wzdłużny i poprzeczny), fotografie i wytyczne konserwatorskie. W oparciu o wyniki badań przygotowano zbiorczy plan w skali 1:10000 oraz bardziej szczegółowy w skali 1:5000, gdzie ukazano narysy obiektów oraz kierunek wejścia lub wjazdu do ich wnętrza. W ramach projektu zebrano również relacje audio-video ostatnich żyjących jeszcze świadków wydarzeń z lat 1944-1945.

Drugi etap badań na poligonie „Heidekraut" prowadzono w czerwcu 2013 roku. Skład ekipy badawczej uzupełnili członkowie i sympatycy Fundacji „Cisowy Fyrtel". W trakcie prac badaniami objęto obszar o powierzchni 1392 ha, na którym rozpoznano 485 obiektów, zgrupowanych w 21 głównych typach. Pododnie jak w poprzednim roku, dla wszytskich obiektów sporządzono karty ewidencyjne oraz wykonano zbiorcze plany w skali 1:10000 i 1:5000. Należy podkreślić, że ze względu na prowadzoną na terenie dawnego poligonu gospodarkę leśną, z użyciem coraz cięższego sprzętu i zastosowaniem głębokiej orki po wycince drzew, relikty poligonu są systematycznie niszczone. W przypadku zachowania obecnego tempa, ostatnie ślady po poligonie znikną w ciągu 20-30 lat. Z tego względu konieczne jest jak najszybsze wykonanie pełnej dokumentacji historyczno-konserwatorskiej wszystkich reliktów, w postaci rzutów, przekrojów, dokumentacji fotograficznej oraz opisu technicznego. W przypadku obiektów o szczególnym znaczeniu postuluje się wykonanie skanowania 3D.

Analizując planigrafię odkrytych reliktów, daje się zaobserwować kilka wyraźnych skupisk obiektów. Wyszczególnienie stref poligonu oraz schemat jego funkcjonowania wykracza jednak daleko poza możliwości badawcze archeologii. Niezbędne są tutaj badania interdyscyplinarne, grupujące specjalistów z różnych dziedzin nauki. W skład zespołu powinni wejść m.in. archeolodzy, historycy i archiwiści (konieczność zakrojonej na dużą skalę kwerendy w Niemczech, Anglii, USA i Rosji), badacze broni „V", specjaliści z dziedziny niemieckiego uzbrojenia i wyposażenia wojskowego, kolejnictwa, logistyki oraz oficerowie wojsk rakietowych. Tylko wspólnymi siłami uda się prawidłowo zinterpretować odkryte relikty, a następnie podjąć próbę rekonstrukcji poligonu. Apelujemy zatem o powołanie „Zespołu do badań poligonu ‚»Heidekraut«".

Teren dawnego poligonu to niezwykle cenny przykład zabytku techniki z okresu II wojny światowej. Kwestią kluczową jest podjęcie starań nad jego prawną ochroną. Przeprowadzone dwa etapy badań archeologiczno-architektonicznych stanowią ważny element realizowanego przez Fundację „Cisowy Fyrtel" projektu utworzenia w tym miejscu skansenu poligonu „Heidekraut". W 2012 r. Fundacja przejęła w dzierżawę wieżę wodną na stacji kolejowej Wierzchucin. W jej wnętrzu ma powstać wystawa tematyczna, wraz z ekspozycją modeli rakiet i zabytków ruchomych z terenu poligonu. Będzie to jedna z największych atrakcji turystycznych Borów Tucholskich.

Chcielibyśmy serdecznie podziękować: Kujawsko-Pomorskiemu Wojewódzkiemu Konserwatorowi Zabytków, WUOZ w Toruniu – Delegaturze w Bydgoszczy oraz wszystkim osobom, które pomagały w badaniach, udzieliły informacji i wskazówek terenowych. Szczególne słowa uznania kierujemy na ręce leśniczego Marka Kiełpińskiego z leśniczówki Jelenia Góra, miejscowych świadków, którzy pomimo zaawansowanego wieku udzielili wyczerpujących relacji na temat poligonu, tudzież *spiritus movens* całego przedsięwzięcia – Bartosza Puchowskiego z Fundacji Zrównoważonego Rozwoju Lokalnego „Cisowy Fyrtel".

Przypisy:

[1] J. Sznajder „Dąb", „Wspomnienia partyzanta Armii Krajowej z Borów Tucholskich (wojna-konspiracja-»wolność«-zesłanie). 1939-1945", Toruń 2001, s. 170-171, 192

[2] K. Waluk, „W Borach Tucholskich", [w:] „Życie na krawędzi. Wspomnienia żołnierzy antyhitlerowskiego wywiadu", opr. W. Kozaczuk, Warszawa 1980, s. 298

[3] W. Mąka, A. Stasiewicz-Mąka, „Poligon rakietowy »Heidekraut« – zarys historii i próba rekonstrukcji", [w:] „Najciekawsze epizody II wojny światowej w Borach Tucholskich", Piła 2011, ryc. 10, s. 96

FOTOGRAFIE ZE ZBIORU AUTORÓW.

Robert Grochowski

Archeolog architektury, historyk, animator kultury. Członek Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Województwa Kujawsko-Pomorskiego. Uhonorowany odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej" oraz złotym medalem „Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej". Specjalizuje się w badaniach zabytków techniki (budowle hydrotechniczne Kanału Bydgoskiego, kopalnie węgla brunatnego w Pile (gm. Gostycyn), obiektów z okresu II wojny światowej (Przedmoście Bydgoskie, niemieckie zakłady zbrojeniowe Luftamunitionsanstalt 1/II Bromberg i D.A.G. Fabrik Bromberg) oraz badaniach archeologiczno-ekshumacyjnych (Tryszczyn, Gródek, Dąbrowa, Chomiąża Szlachecka).

Sławomir Brett

Od lat związany z Bydgoskim Stowarzyszeniem Miłośników Zabytków „Bunkier". Miłośnik historii biorący udział w badaniach historycznych i archeologicznych, zaangażowany w ekshumacje i godny pochówek żołnierzy polskich. Za swoją działalność odznaczony srebrnym medalem „Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej".

Jarosław Butkiewicz

Prezes Bydgoskiego Stowarzyszenia Miłośników Zabytków „Bunkier".

Obiekt 141 – relikt „celty fińskiej". Widok od północno-wschodniej strony. Widoczny okrągły, płytki wykop o średnicy 9,15 m otoczony dookolnym wałem ziemnym. Na pierwszym planie wejście do wnętrza obiektu.

Obiekt 47 – relikt ukrycia dla pojazdu (widok od południa). Widoczny prostokątny wykop o wym. 5,5×2,8 m z dobrze zachowanym ziemnym obwałowaniem. Na pierwszym planie wjazd do wnętrza obiektu.

Kosmiczny poligon

MACIEJ KULESZA, BARTOSZ PUCHOWSKI

Półtora tysiąca osób słuchało wykładu Mirosława Hermaszewskiego i oglądało inscenizację historyczną na poligonie rakietowym „Heidekraut" w Borach Tucholskich.

Poligon „Heidekraut" (Wrzos) koło Wierzchucina, był największym poligonem rakietowym Trzeciej Rzeszy. W sobotę 24 sierpnia br. odbyła się tam inscenizacja historyczna poprzedzona tematycznymi wykładami. Impreza była gratką dla miłośników historii, bo honorowym prelegentem był astronauta, gen. Mirosław Hermaszewski, jedyny Polak, który był w kosmosie. Dokonał tego w 1978 roku na radzieckim statku Sojuz 30.

Inscenizacja historyczna odbyła się w Wierzchucinie już po raz trzeci. Podczas poprzedniej edycji narodził się pomysł, aby nie zamykać się tylko i wyłącznie w temacie II wojny światowej, a potraktować „Heidekraut" nieco szerzej – jako (obok powszechnie znanego Peenemünde, i nieco mniej znanego poligonu w Bliźnie, gdzie do czerwca 1944 r. funkcjonował poligon „Heidelager") – kolebkę podboju kosmosu. I choć może górnolotnie to brzmi, trzeba sobie uświadomić, że rakiety A4/V2 były pierwszymi, udanymi konstrukcyjnie rakietami balistycznymi na świecie, które osiągały poziom kosmosu (przekraczały tzw. Linię Kármána – umowną granicę pomiędzy atmosferą Ziemi i przestrzenią kosmiczną przebiegającą na wysokości 100 km n.p.m.). Ich twórca, Werner von Braun, urodził się w Wyrzysku, raptem 95 km od Wierzchucina. Pod koniec II wojny światowej wraz z grupą współpracowników oddał się w ręce Amerykanów i wyjechał do USA, gdzie od 1958 r. pracował w agencji kosmicznej NASA, zostając pierwszym dyrektorem Centrum Lotów Kosmicznych im. George'a C. Marshalla w Alabamie, co pozwoliło mu na dalsze kontynuowanie badań. Walnie przyczynił się do podboju kosmosu przez Człowieka, a jego rakieta Saturn V wyniosła w 1969 r. Amerykanów na Księżyc.

Mirosław Hermaszewski wygłosił wykład pn. „Rakiety balistyczne – jak przyczyniły się do podboju kosmosu". Po wykładzie dodatkowo opowiadał o swojej pasji do lotnictwa i pobycie na orbicie okołoziemskiej ilustrując zdjęciami i wykresami. – *Przysięgam wam, że warto mieć marzenia* – stwierdził. Publiczność żywo reagowała na wspomnienia astronauty. Nic dziwnego, bo nie zabrakło dowcipnych opowieści ze służby wojskowej oraz prywatnych, pełnych ciepła opowieści o rodzinie. Hermaszewski chętnie rozdawał autografy i fotografował się z publicznością.

W dalszej części zarys historii poligonu rakietowego na podstawie dostępnych dokumentów przedstawił Wojciech Mąka. Przemysław Jarząbek omówił procedurę startową niemieckiej rakiety A4/V2, a Robert Grochowski zaprezentował wyniki ostatnich badań archeologicznych na poligonie – publikowane w tym numerze „Odkrywcy". Patronat merytoryczny nad imprezą sprawowało Muzeum Wojsk Lądowych z Bydgoszczy a patronat medialny – „Odkrywca".

Przez cały czas trwania imprezy, dzięki Romualdowi Graul z Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii Oddział w Toruniu, można było podziwiać przez dwa teleskopy wybuchy na Słońcu. Z okazji tej skorzystało kilkuset widzów.

Na koniec Grupy Rekonstrukcji Historycznej pokazały atak wojsk radzieckich na niemieckie linie umocnień. Nie zabrakło sprzętu wojskowego. W czasie inscenizacji poszły w ruch mausery, mosiny i PPS-y oraz pojazdy z II wojny światowej, m.in.: BA-64, M-72, BMW-R75, Kettenkrad, Kübelwagen czy Jeep Willis. Organizatorem było Stowarzyszenie na Rzecz Ocalenia Śladów Przeszłości w Gminie Cekcyn „Światło" oraz Fundacja Zrównoważonego Rozwoju Lokalnego „Cisowy Fyrtel".

ZDJĘCIA: MACIEJ KULESZA

Maciej Kulesza
Z wykształcenia historyk, w czasie wolnym pasjonat fortyfikacji i fotografii. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

Bartosz Puchowski
Historyk, założyciel i prezes Stowarzyszenia na Rzecz Ocalenia Śladów Przeszłości w Gminie Cekcyn „Światło". Pomysłodawca i koordynator kilkudziesięciu projektów z zakresu ocalenia dziedzictwa kulturowego Borów Tucholskich. W sierpniu 2012 r. założył Fundację Zrównoważonego Rozwoju Lokalnego „Cisowy Fyrtel". Od trzech lat organizator inscenizacji historycznej na poligonie „Heidekraut" w Wierzchucinie, od 2010 r. radny Gminy Cekcyn.

REKLAMA

Fort 4a Twierdzy Poznań

ARTUR JACOLIK

Poznański fort o numerze 4a powstał w latach 1878-81, o czym świadczy kamienna tablica znajdująca się nad wjazdem głównym, w ramach budowy zewnętrznego pierścienia fortów. Wzniesiono wówczas 9 fortów głównych oraz 3 pośrednie. Fort nr 4 zalicza się do tej drugiej grupy, gdyż obecna nazwa „fort" jest pewnym uproszczeniem – w istocie, to dzieło pośrednie, czyli po niemiecku Zwischenwerk. Obiekt został zbudowany w północnej części pierścienia, nad zakolem głównego nurtu rzeki Warta, a jego zadaniem była osłona tego miejsca.

Wjazd główny do bloku koszar, za nim otwór okienny i pozostałości zniszczonej kaponiery szyjowej.

Fort kształtem przypomina trapez otoczony fosą 9-metrowej szerokości i jest łudząco podobny do Fortu 9a Witzleben położonego na południu miasta. W części szyjowej fosa zmniejszała głębokość – przy kaponierze szyjowej wyrównując poziom z otaczającym terenem. Pierwotnie broniły jej trzy kaponiery: szyjowa (dwustronna) oraz dwie barkowe (lewa dwustronna – strzelająca w kierunku szyi i lewego barku, prawa jednostronna). Fosa w części czołowej i szyjowej była obustronnie obmurowana, skarpę tworzył wolnostojący mur, tzw. Mur Carnota (obecnie w czołowej części fortu można w niektórych miejscach zauważyć jego fundamenty). Jedynie w odcinku szyjowym zdecydowano się pozostawić przeciwskarpę ziemną. Resztę obwodu obronnego chroniła przeciwskarpa murowana. Całość zabezpieczała dodatkowo krata forteczna, mająca utrudnić szturm piechocie. Skarpa w szyi oraz murowana przeciwskarpa w barkach i czole zostały wzmocnione tzw. łukami opróżnionymi, wzmacniającymi ich ceglaną konstrukcję.

Przy wjeździe do fortu wybudowano jednokondygnacyjne koszary. Mieściły wartownie, kuchnię, izbę oficerską, a także izby dla żołnierzy. Z zewnątrz głównego wjazdu broniła kaponiera szyjowa, a od wewnątrz strzelnice usytuowane w izbie wartowniczej na prawo od głównej poterny. Poterna osiowa prowadziła do podwalni (w której mieścił się magazyn podręczny amunicji), skąd wyjazdami można było udać się na majdany (lewy położony nieco wyżej). Przylegały do nich prowadzące na wał pochylnie. Na wale głównym usytuowane zostały cztery poprzecznice, które oddzielały stanowiska bojowe oraz chroniły je od ostrzału bocznego. Dwie z nich były murowane, niestety zachowały się po nich jedynie zagłębienia w wale, który do dzisiaj pozostał w stosunkowo dobrym stanie.

Wejście do poterny prawej kaponiery przeciwskarpowej.

Odwadnianie terenu odbywało się systemem kanałów odprowadzających wody do głównej studni zbiorczej, ulokowanej w prawym załamaniu szyi. Stąd kanał biegł poza teren fortu, uchodząc do rowu położonego kilkadziesiąt metrów na zapolu. Cały fort miał szerokość od 100 m (czoło fortu) do 180 m (linia szyi) i głębokość ok. 85 do 90 metrów.

Nadzorującym budowę z ramienia wojska był kpt. Walter (jego nazwisko widnieje na tablicy wmurowanej na prawo od wjazdu). W 1880 r. w trakcie prac doszło do katastrofy budowlanej. Osunął się wówczas wał główny usypany na specyficznym podłożu – glinie, która nie przepuszczała wody. Po wykopaniu fosy woda przedostała się na wierzch warstwy nieprzepuszczalnej. Pochylenie terenu dodatkowo wzmogło obsuwanie się mas ziemi. W celu wyjaśnienia przyczyn katastrofy zaangażowano polskich naukowców z Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Na uszkodzonych elementach fortu widoczna jest trójwarstwowa struktura stropu.

Pod koniec lat 80. XIX wieku przeprowadzono modernizację fortu: ceglane sklepienie nakryto piaskiem i warstwą betonu – była to powłoka amortyzacyjna, zabezpieczająca pomieszczenia od góry. Do dzisiaj zachowało się na niej kilka odcisków butów oficera, najprawdopodobniej dozorującego budowę, oraz łap jego psa. Dodatkowo zmieniono kaponiery na przeciwskarpowe nowszego typu (większe pomieszczenie pomiędzy komorami bojowymi), uzbrojone w armaty rewolwerowe kalibru 37 mm. W związku z przebudową poternę prowadzącą do lewej kaponiery zaślepiono (po tym, jak zapadł się korytarz, został po niej wąwóz), a poternę biegnącą do prawej kaponiery przedłużono, prowadząc pod fosą, przez co stała się jednym z najgłębiej położonych korytarzy twierdzy.

Do I wojny światowej wykonano szereg modernizacji mających na celu dostosowanie fortu 4a do nowych wymagań pola walki. Prawdopodobnie zamurowano część okiennic (zauważyć to możemy we wszystkich fortach poznańskich), przemurowano częściowo wjazdy, tworząc przejścia labiryntowe. Zostały także zbudowane małe schrony na drodze krytej wokół fosy – niestety, dziś nie można precyzyjnie określić ich liczby, ponieważ zostały zniszczone, a pozostałości po tych schronach znajdują się w innym miejscu niż pierwotnie (złożono je na przedłużeniu fos lewego i prawego barku). Weryfikację uniemożliwia również brak zachowanej drogi krytej na lewym barku. Z kolei na prawym barku istnieje dziura w drodze na przeciwskarpie, przypominająca kształtem wykop pod tego typu schron. Ocalał też podobny schron w części czołowej fortu. Ponadto jeszcze dziś można obejrzeć okopy na wale głównym fortu, wykonane w okresie mobilizacji, a widoczne na jednym ze zdjęć przedstawionych w pracy zbiorowej „Twierdza Poznań. O fortyfikacjach miasta Poznania w XIX i XX wieku".

W latach międzywojennych Wojsko Polskie zaadaptowało Zwischenwerk na różnego rodzaju magazyny, nie dbając

Strzelnica lewej kaponiery rewersowej.

Schody w poternie do prawej kaponiery przeciwskarpowej.

Wyjazd artylerii na prawy majdan, po lewej pochylnia na wał.

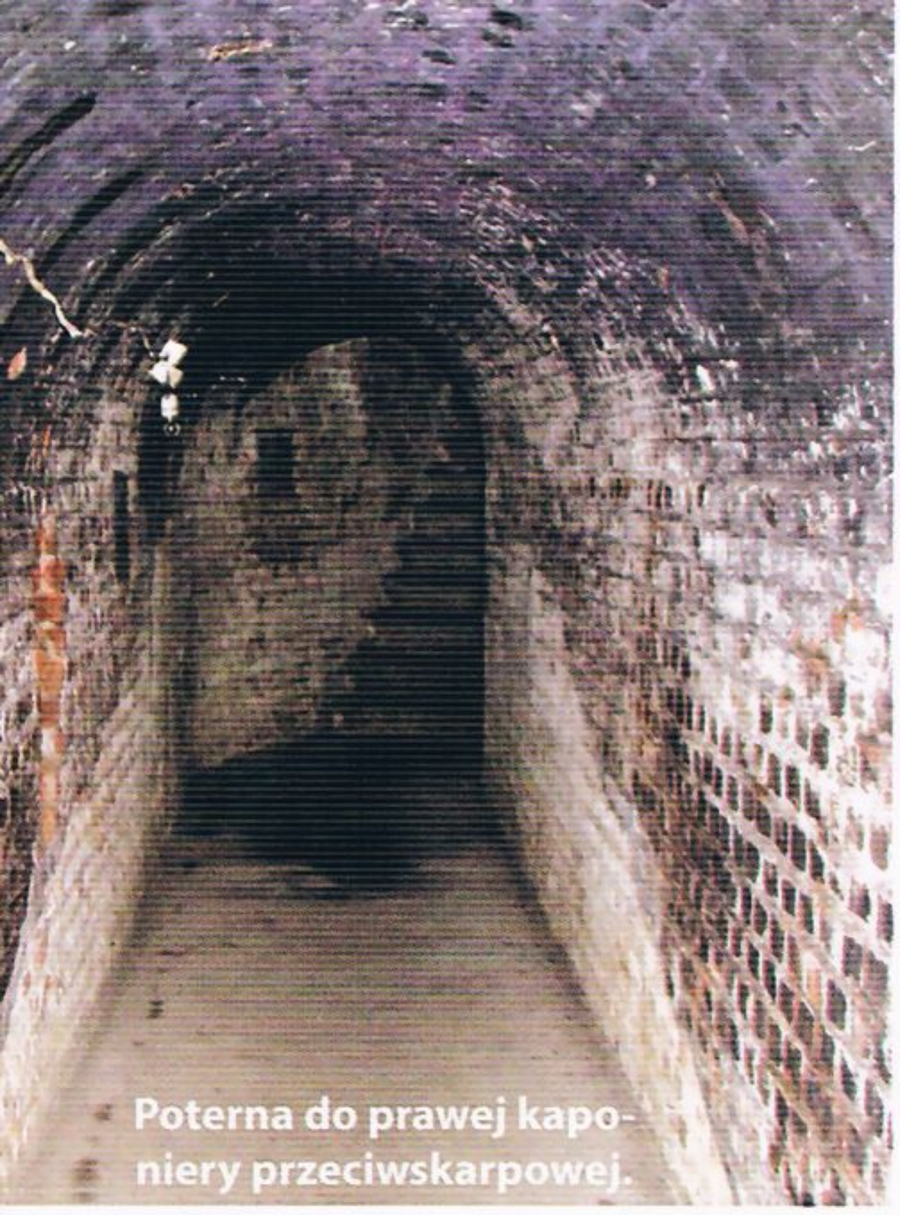

Poterna do prawej kaponiery przeciwskarpowej.

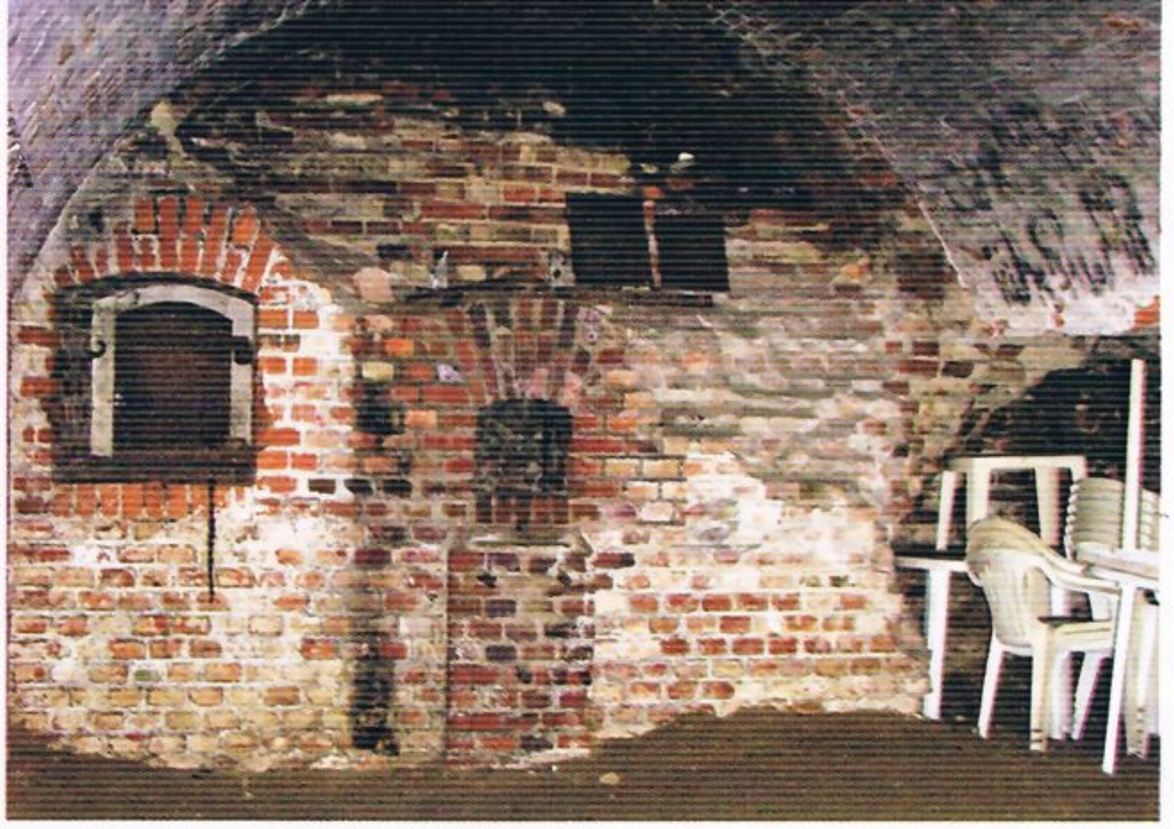

Izba działowa kaponiery – po środku strzelnica, po lewej otwór dla reflektora.

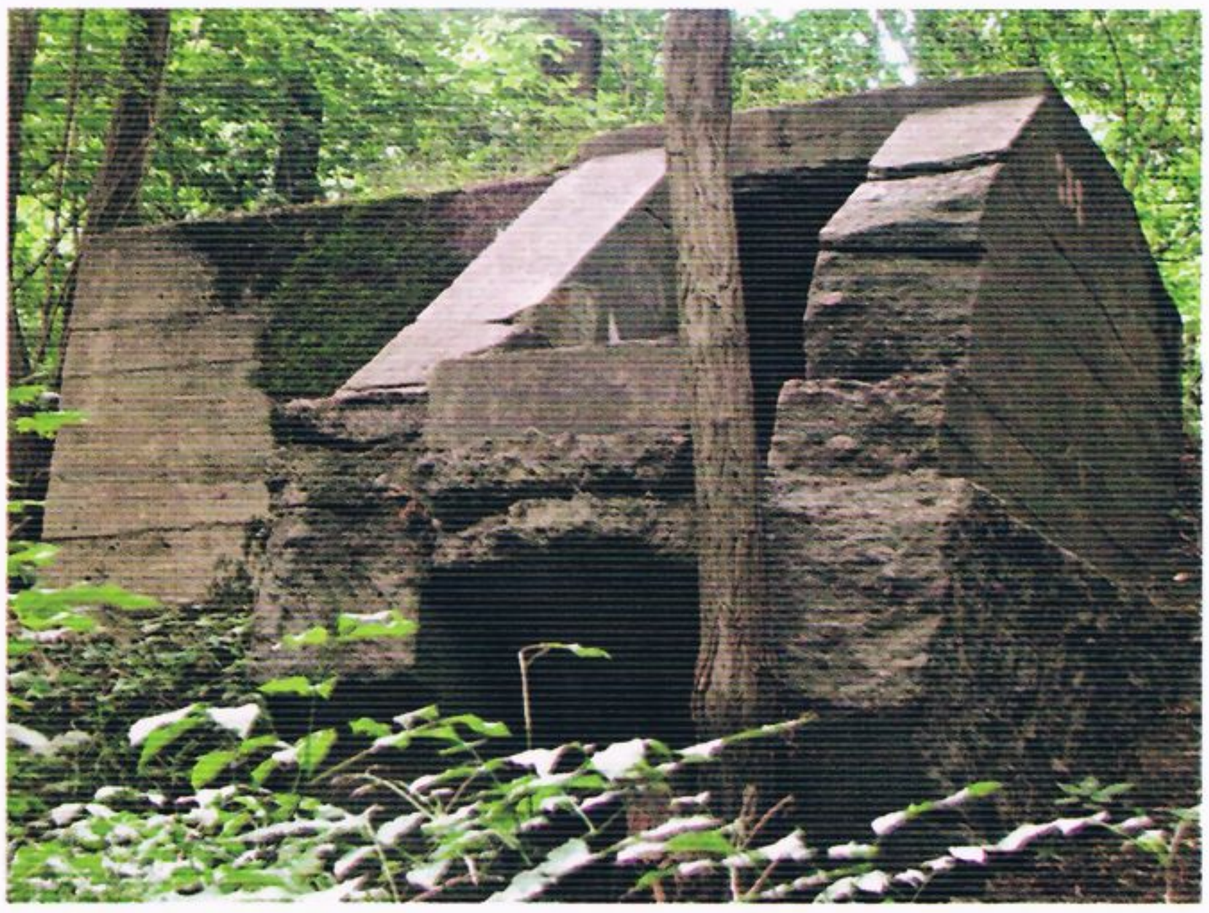

Schron bierny z okresu mobilizacji do I wojny światowej.

specjalnie o wartość militarną obiektu. Wiadomo natomiast o przystosowaniu terenu fortu do funkcji gospodarczych. W czasie przygotowań do wojny, w sierpniu 1939 r. wzniesiono schron obserwacyjno-bojowy na drodze krytej nad lewą kaponierą, który przetrwał do dzisiaj. Po zajęciu Poznania przez Wehrmacht, Fort 4a nie zmienił swojego charakteru. Być może w tamtym okresie pojawił się napis nad wjazdem głównym *„ZWISCHENWERK WALDERSEE"*, który widać na jednym ze zdjęć powojennych zamieszczonych w książce M. Krzyżaniaka, „Pododcinek IV Północ" (s. 86). W roku 1945 fort został obsadzony przez żołnierzy niemieckich broniących miasta na linii dawnego pierścienia fortecznego. Należał do pododcinka „Północ", którego dowódcą był Hauptmann Prasser. W forcie 4a swoje stanowisko dowodzenia miał Leutnant Schiller, którego kompania operowała w tym rejonie i odparła kilka natarć. Koniec obrony wyznacza data 14 lutego, kiedy to Rosjanie zdobyli obiekt po dwugodzinnym szturmie. Zwischenwerk Waldersee należał do najpóźniej zajętych fortów w północnej części Poznania.

Po II wojnie światowej obiekt był rozbierany w latach 50. i 60. Zniszczono oba skrzydła koszar w szyi, zasypano fosę na obu barkach, częściowo zniszczono kaponiery. Do dzisiaj zachowała się pochylnia na stoku bojowym, służąca zapewne do zasypywania fosy. Dodatkowo od strony zachodniej oraz północnej z czasem rozbudowano osiedla mieszkaniowe, które zaburzyły układ przedstoku – jego stan jest obecnie najlepszy od strony wschodniej, gdzie ciągle można odnaleźć słupki forteczne oznaczające zasięg własności wojskowej. Fosa została częściowo zasypana, przy czym w części czołowej, przy lewej kaponierze, zachowała się w najlepszym stanie. Ważnym elementem terenu jest starorzecze Warty rozpościerające się po wschodniej stronie dzieła. Obecnie jest tu tylko pokryty niską roślinnością teren i rów, lecz dawniej biegło tutaj zakole głównego nurtu Warty (co ciekawe, pozostałe dwa forty pośrednie też powstały na skraju dolin cieków wodnych).

Od roku 1997 fort znajduje się pod stałą opieką harcerzy oraz wolontariuszy z Porozumienia dla Twierdzy Poznań, którzy powstrzymali dewastację obiektu i prowadzą na nim prace porządkowe, udostępniając go do zwiedzania. Adres fortu to ul. Lechicka, rejon skrzyżowania z ul. Zdobywców Monte Cassino, którą poprowadzono wzdłuż zachodniego barku. Można go zwiedzać w pierwszą niedzielę miesiąca na spotkaniach grupy, oraz w oddzielnie umówionych terminach. Kontakt: tel. 508 977 083, mail: hkmfie@tlen.pl, www.twierdza.poznan.pl

ZDJĘCIA: ARTUR JACOLIK

Artur Jacolik

Student Historii Wojskowości na UAM. Interesuje się fortyfikacjami XX w., szczególnie pruskimi twierdzami fortowymi. Pisze pracę magisterską na temat polskiej fortyfikacji międzywojennej.

Schron polski z 1939 roku, oczyszczony przez członków Porozumienia dla Twierdzy Poznań.

Fot. 1 „MG Ringstand" z okolicy zamku Książ – stan na sierpień 2013. Obok porzucanych elementów Autor artykułu. W tle widać krawędź stoku wąwozu, w którym płynie rzeka Pełcznica.

„MG Ringstand" z Książa – relikt strefy ochronnej zamku

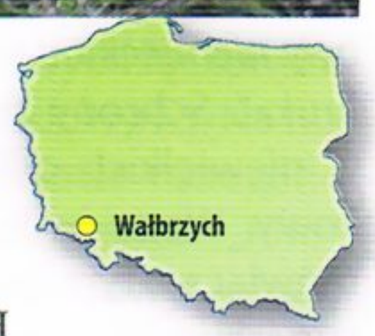

ANDRZEJ DITRICH

Zamek Książ od dawna fascynuje wielu miłośników historii oraz turystów z kraju i zagranicy. Na jego temat powstało też szereg publikacji. Większość z nich traktuje o okresie II wojny światowej, kiedy to zamek przechodził poważną przebudowę adaptującą go na potrzeby kancelarii Rzeszy. Do najbardziej znanych elementów z tego okresu zaliczamy wykute w skale sztolnie (które możemy sklasyfikować jako schrony bierne-przeciwlotnicze dla ochrony personelu kancelarii na czas nalotu i innych zagrożeń) oraz przebudowane pomieszczenia wewnętrzne zamku. Mniej więcej taki zakres prac adaptacyjnych jest powszechnie znany. Jednak to tylko część pełnego obrazu, który nie dotyczył bezpośrednio samego budynku, ale również otaczającego go terenu. Okazuje się, że to, co powstało wokół jest nie mniej ciekawe, a zestawienie wszystkich budowli razem daje nam w miarę pełne wyobrażenie o całej inwestycji.

Na pierwszą, konkretną informację natrafiamy w książce Mariusza Aniszewskiego pt. „Podziemny Świat Gór Sowich". Autor wspomina, że prace wokół zamku prowadzone były w promieniu 1kilometra. Dalej, że całe zamkowe wzgórze miało być odcięte od świata, a dojazd do zamku możliwy tylko poprzez podziemne tunele: dla samochodów od strony Świebodzic, a koleją – od strony tzw. Łuku Świebodzickiego. Moim celem nie jest rozważanie, na ile ta koncepcja połączeń drogowych i kolejowych do zamku Książ jest słuszna, warto jednak zwrócić uwagę na występujące sformułowanie: *„zamek miał zostać odcięty od świata"*. Jak zamierzano zrealizować owe „odcięcie od świata"?

Możemy śmiało założyć, że wszelkie obiekty budowlane o strategicznym znaczeniu dla państwa muszą podlegać szczególnej ochronie w trakcie budowy oraz w okresie późniejszym, kiedy pełnią swoją docelową funkcję. Na pewno taki system ochronny musiał zostać zaprojektowany dla przyszłej kancelarii Rzeszy. Świadomie piszę kancelarii Rzeszy, gdyż po lekturze dostępnej literatury ta teza przemawia do mnie najbardziej. Przy okazji warto zadać pytanie: który z obiektów fabrycznych, bądź laboratoryjnych, posiadał budowle towarzyszące w postaci schronów bojowych? Odpowiedź nasuwa się sama – taką ochronę posiadały obiekty wchodzące w skład kwater lub stanowisk dowodzenia.

System ochrony obiektu działał wielopłaszczyznowo, na co składały się m.in.: obrona przeciwlotnicza – baterie Flak, radary ostrzegające przed nalotem, a także schrony przeciwlotnicze, których funkcje na zamku Książ pełniły sztolnie wykute w skale. Do tego wymienić należy system ochrony naziemnej – pola minowe oraz schrony dla załóg oddziałów ochrony. Również sama lokalizacja zamku stanowiła cenny atut, znacznie komplikując dojazd do niego poprzez ograniczoną do minimum ilość dróg, a położenie na skalnym cyplu utrudniało

podejście pod mury zamkowe osobom postronnym. Projektanci kancelarii musieli również przewidzieć możliwość ataku, lub chociażby próby penetracji przeprowadzonej z terenu okalającego zamek. Z tych wszystkich elementów nie pozostało do dziś zbyt wiele śladów, a znane archiwalia nie dają pełnego obrazu inwestycji. Chcąc lepiej poznać zakres prac Organizacji Todt, niezbędne jest sięgnięcie do publikacji oraz przeprowadzenie badań archiwalnych i terenowych.

Czytając dostępną literaturę nie odnajdujemy zbyt wielu omówień budowli obronnych z terenu Książa. Większość badaczy nie zwraca uwagi na elementy fortyfikacji towarzyszące całemu przedsięwzięciu budowlanemu. Do nielicznych wyjątków możemy zaliczyć dwie publikacje, które ukazały się w „Odkrywcy". Pierwsza z nich, będącą zapisem rozmowy przeprowadzonej przez Romana Owczarka z gen. Markiem Olbrychtem, dotyczy prac minerskich przeprowadzonych w 1976 r. na terenie zamku Książ. Dowiadujemy się z niej, że zadanie zlecone wojskowym specjalistom było częścią większego przedsięwzięcia związanego z remontem i przebudową zamku na luksusowy hotel. W artykule jest wyraźnie mowa o schronach: *„(...) Wysadzono ogółem 5 obiektów. Cztery z nich były niemieckimi schronami bojowymi Ringstand 58c typu »Tobruk«"*. Schrony znajdowały się na skraju zamkowego parku, w niewielkich odległościach zapewniających kontakt wzrokowy. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na wzmiankę mówiącą o tym, że były wysadzane, a nie rozbierane – może to sugerować budowle wykonane jako żelbetowy odlew monolityczny, a nie składane z prefabrykatów. Piąty, większy schron na załogę (?) liczącą 10 żołnierzy, zlokalizowany był przy murze obronnym na zewnątrz zamku – prawdopodobnie było to pomieszczenie przepompowni błędnie zakwalifikowane jako schron bierny. Dzisiaj po tych schronach próżno szukać jakichkolwiek śladów w terenie. W czasach, kiedy prowadzono prace na zamku, wojenne relikty, tym bardziej niemieckie, nie cieszyły się dobrą opinią i ich los wydawał się być przesądzony. A szkoda, bowiem stanowiły one część szczególnej inwestycji budowlanej prowadzonej do samego końca działań wojennych. Obecnie, nie znając ich dokładnej lokalizacji, możemy jedynie domyślać się, jak wyglądała strefa (strefy?) ochronna przyszłej kancelarii Rzeszy.

Rejon miasta Saverne w Wogezach we Francji – sytuacja podobna jak w Książu. Na pierwszym planie widać niezłożone elementy prefabrykowanego „Ringstanda".

Kolejnym sygnałem o fortecznych reliktach jest artykuł Marka Lubicza-Woyciechowskiego omawiający zapory przeciwpancerne z okolic Wrocławia. Autor przedstawił w nich bardzo ciekawe konstrukcje i lokalizacje zapór przeciwpancernych (typu Fallkörpersperre, Stahlbeton-ständing – przyp. A.D.), w tym jedną ze Świebodzic, czyli rejonu położonego bardzo blisko zamku. Zapora w postaci odlanego z żelbetu prostopadłościennego bloku spoczywała na cienkiej, betonowej ściance, której wybuch miał spowodować osunięcie i upadek żelbetowego bloku na pas ruchu pojazdów – w tym wypadku na tory kolejowe prowadzące w okolice zamku. Lokalizacja zapory stosunkowo blisko zamku może sugerować, że i ona stanowiła część dalszej strefy obronnej – w tym przypadku ukierunkowanej na blokowanie ruchu pojazdów szynowych. Obecnie zapora jest w dobrym stanie i można podziwiać ją z okien pociągu jadącego na trasie Wrocław-Wałbrzych.

Taki stan badań prezentują znane publikacje. Innym źródłem są raporty inwentaryzacyjne przeprowadzone przez wojsko w latach powojennych, jednak ich kopie zreprodukowane w książkach nie wspominają o schronach w pobliżu zamku. Być może nie zostały one w ogóle zinwentaryzowane ze względu na fakt, iż ekipy dokonujące pomiarów miały za cel wyszukiwanie i rejestrowanie obiektów bardziej znaczących, mogących przydać się później w celach obronnych. Stąd zapewne schrony z okolic zamku unikały uwagi przez wiele lat.

Taka sytuacja miała miejsce do sierpnia 2013 r., kiedy to wspólnie z Maćkiem Pisarczykiem ze Stowarzyszenia Historycznego Sudety postanowiliśmy wybrać się na badania terenowe wokół zamku. Ponieważ plan był bardzo napięty, zaraz po wyjściu z pociągu, po trwającej 10 godzin podróży (!), Maciek zaproponował natychmiastowe udanie się w rejon okalającej zamek Pełcznicy

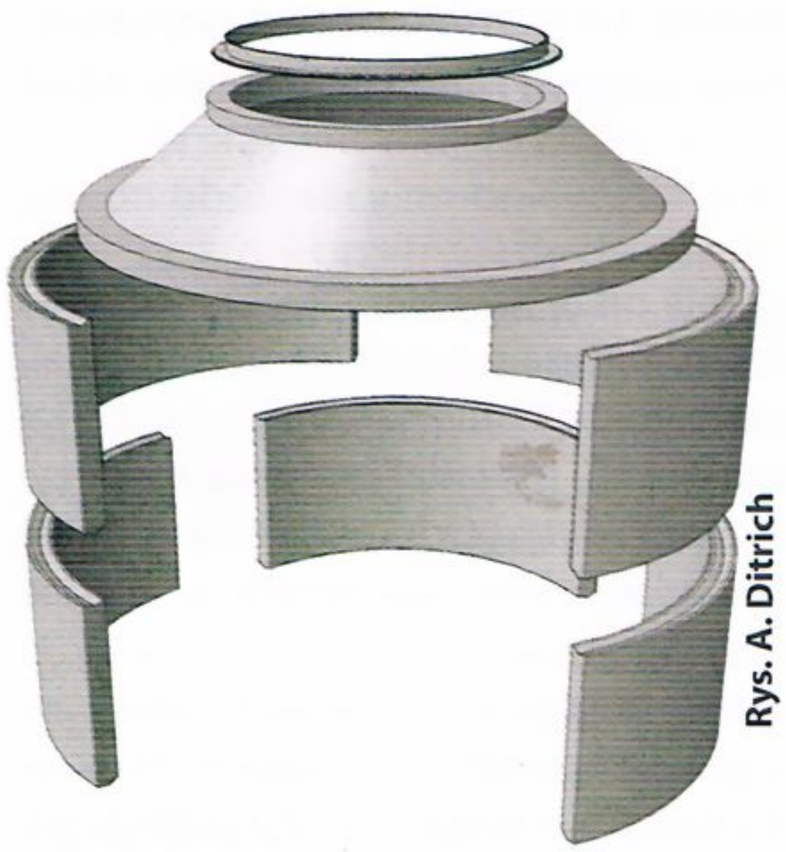

Rys. A. Ditrich

Prefabrykowane elementy wchodzące w skład schronu: 2 rodzaje betonowych łuków składających się na cylindryczny korpus schronu oraz wieńczący od góry element z „ringiem" o śr. 80 cm.

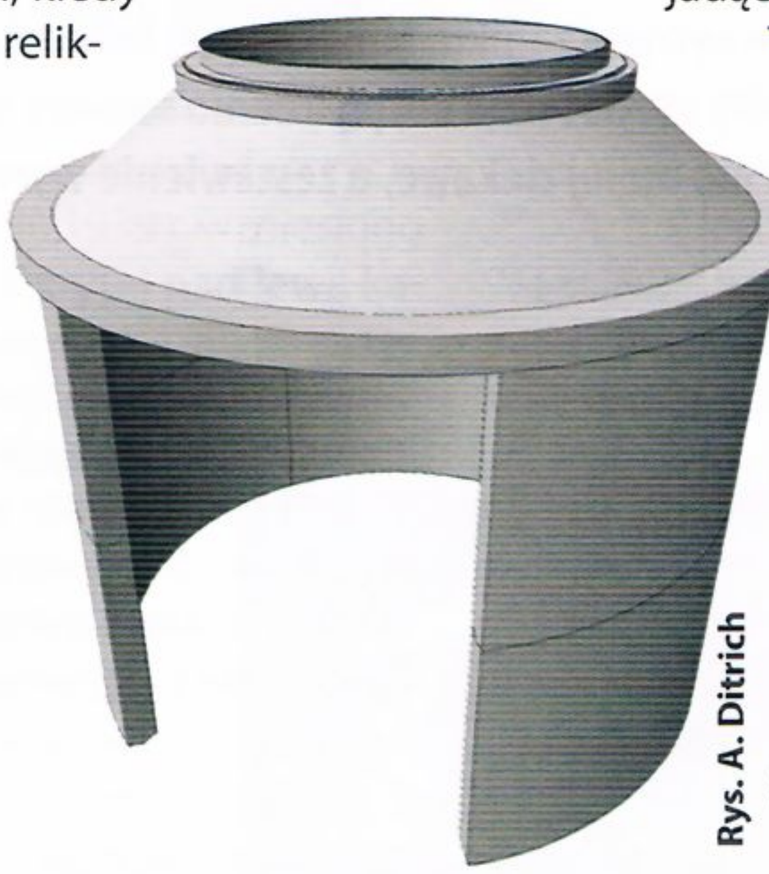

Rys. A. Ditrich

Rekonstrukcja gotowego schronu po złożeniu wszystkich elementów – prawdopodobnie całość miano osadzić na betonowej platformie widocznej na fot. 1 oraz dodatkowo pokryć rumoszem skalnym, upodabniając do otoczenia.

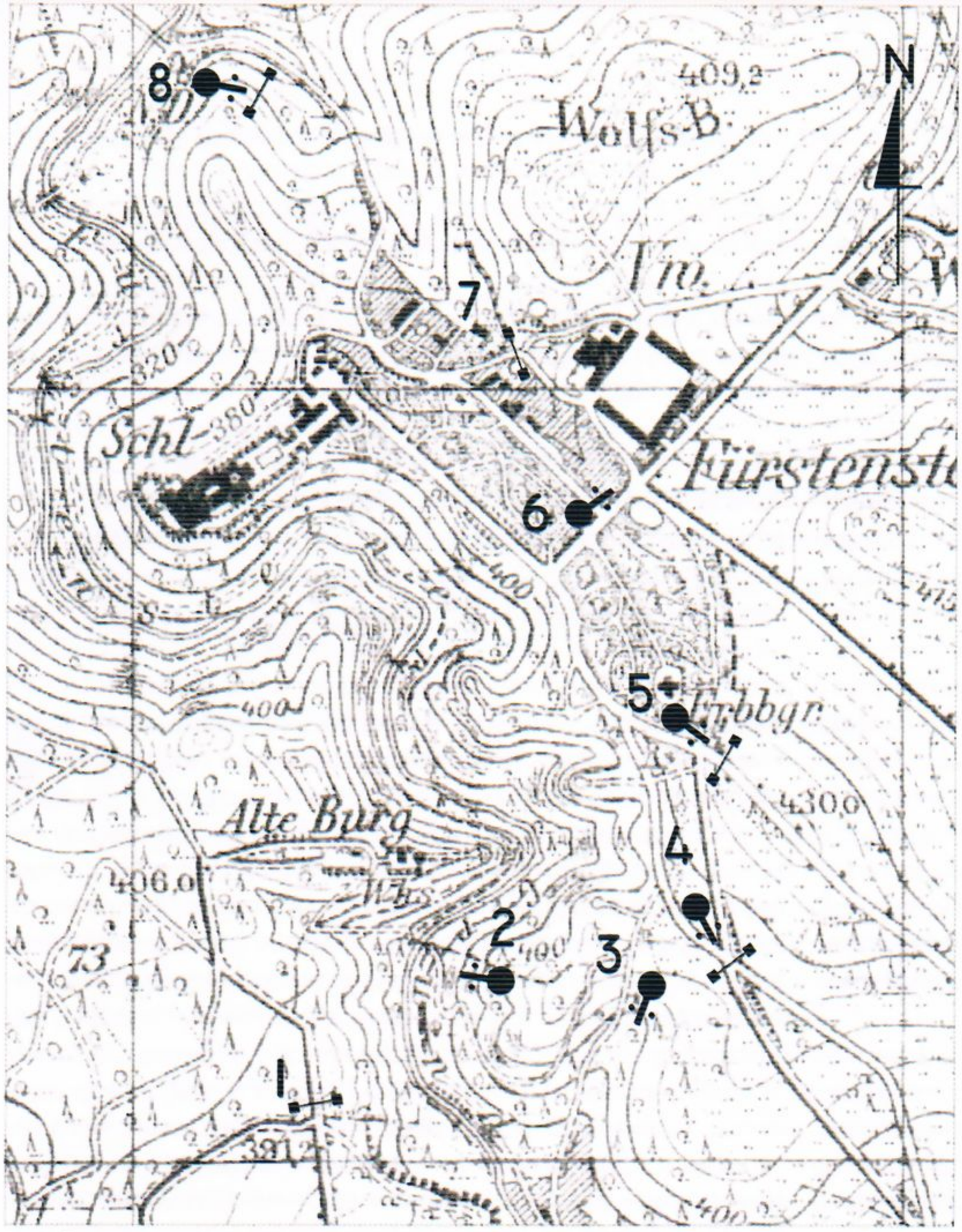

Mapka prezentująca występowanie znanych i domniemanych lokalizacji bram i schronów wokół zamku Książ. Oprac. A. Ditrich.

i sprawdzenie paru ciekawych miejsc. Szliśmy trasą od strony Starego Książa w kierunku zamku Książ. Po kilku godzinach maszerowania po skalnych ścieżkach, Maciek postanowił pokazać mi „jakieś betonowe relikty". Ponieważ jako badacz fortyfikacji jestem wyczulony na wszelkie tego typu doniesienia, udaliśmy się na wskazane przez niego miejsce (nr 2 na mapce). Już na pierwszy rzut oka nie było wątpliwości, z czym mamy do czynienia. Dla pewności tylko jeszcze pomiar kontrolny średnicy wewnętrznej „ringu" – który nie mógł być inny jak 80 cm – i po chwili okazało się, że staliśmy przed jednym z niewielu w Europie, a póki co jedynym znanym w Polsce, schronem prefabrykowanym typu „Ringstand" – ostatnim ogniwem ewolucji popularnych „Ringstandów", czyli schronów ze strzelnicą do prowadzenia ognia w sektorze 360°, w formie otworu w stropie. „Ringi" oraz ich najpopularniejszy wariant, czyli schron typu „Tobruk", często występują na wielu wybudowanych w Polsce przez Wehrmacht i okoliczną ludność polowych liniach obronnych, znanych szerzej pod nazwą „linii OKH".

Obiekt z Książa jest wyjątkowy pod kilkoma względami: nie jest wykonany w formie żelbetowego odlewu monolitycznego, tylko składa się z elementów prefabrykowanych, co świadczy o schyłkowej fazie wojny, kiedy został zaprojektowany i wykonany. Względnie dobry stan zachowania fragmentów obiektu sugeruje raczej nieskończoną budowlę, niż destrukt będący efektem powojennych akcji niszczenia poniemieckich fortyfikacji. Elementy żelbetowe nie noszą większych śladów zniszczeń ani demontażu – całość sprawia wrażenie porzuconego placu budowy. Na miejscu udało się nawet znaleźć resztki skamieniałego worka cementu, użytego do budowy platformy znajdującej się obok porzuconych prefabrykatów. Sama funkcja platformy nie jest jeszcze jasna, być może stanowiła równe i stabilne podłoże – fundament do osadzenia na niej części prefabrykowanych. Na pochylni platformy znajdują się dwa wgłębienia do osadzania jakiś obiektów (dźwigu do przenoszenia prefabrykatów?). Wykonanie odcinków ścianek schronu z nieparzystej ilości elementów zapewniało, że warstwy górnego i dolnego pierścienia były ułożone mijankowo – dokładnie taki sam system występuje podczas budowy murów z cegieł, zapewniając większą sztywność i co za tym idzie, wytrzymałość konstrukcji. Prefabrykaty były stawiane jedne na drugim, a stabilizował je profil biegnący wzdłuż górnej krawędzi betonowych łuków. Zapewne połączenia wykonywano bez zaprawy – odmiennie niż w znanym schronie typu „Kugelstand". Być może połączenia dokonywano „na sucho", za pomocą wypuszczonych z formy prętów zbrojeniowych łączonych ze sobą drutem już na placu budowy (?). Na tak zmontowane pierścienie betonowe osadzono gotowy, odlany w jednym elemencie „ring". Strzelnica schronu to standardowy otwór o średnicy 80 cm, wykończony wokół całego obwodu stalowym 4 cm kątownikiem. Gotowy schron nie powinien wychodzić zbytnio ponad poziom terenu, aby stanowić jak najmniejszy cel i nie eksponować na ostrzał dość cienkich ścianek cylindrycznego korpusu – grubości 7 cm. Średnica wewnętrzna gotowego „Ringstanda" wynosiła 140 cm, zapewniając względnie dobre warunki bytowe dla jednego żołnierza. Prawdopodobnie ukończony schron zostałby obłożony urobkiem skalnym, upodabniając się jeszcze bardziej do otoczenia.

Ukończony schron posiadał tylko jedno pomieszczenie, co stawia go obok popularnych „Kochbunker", jako najmniejszy niemiecki schron zastosowany podczas wojny. Ogólne wrażenie jest takie, jakby stanowił bardzo zredukowaną formę i tak już małych schronów typu „Tobruk" oraz „Kochbunker". Posiada on cechy pierwszego typu („ring" średnicy 80 cm) oraz drugiego (korpus wykonany w kształcie cylindra), co czyni go obiektem-hybrydą łączącą cechy obu swoich poprzedników. Zachowane archiwalia wspominają, że prefabrykowane „Ringstandy", tego samego rodzaju co w rejonie Książa, zastosowano m.in. na linii frontu na przełomie 1944/45 w rejonie miasta Saverne w Wogezach. W tamtym rejonie schron był częścią fortyfikacji polowych, budowanych na polowych pozycjach obronnych. Nie jest znana dokładna nazwa tego typu schronu – najbardziej do niego podobny model, to występujący na archiwalnych planach obiekt noszący nazwę: „Ringstand in fabrikmäßiger Herstellung".

Po dokonanej inwentaryzacji rysunkowej i fotograficznej zachowanych elementów, zaczęliśmy analizować kontekst

w jakim zastaliśmy schron. Pierwsze wrażenie było takie, że stanowił część poniemieckich fortyfikacji polowych. Jednak po chwili moje przemyślenia powędrowały w kierunku najważniejszej budowli w okolicy – zamku Książ, który miał być docelowo przebudowany na kancelarię Rzeszy. Miejsce, w którym znajduje się schron, to stok wąwozu, na szlaku prowadzącym z dolnego parkingu, w kierunku mostku przez Pełcznicę, prowadzącym do Starego Książa. Lokalizacja dokładnie w tym miejscu, czyli przeprawy przez rzekę, sugeruje, że stanowi on element broniący jednej z dróg prowadzących na zamek.

Bardzo pomocne okazały się wyniki badań terenowych oraz cenne wiadomości życzliwie przekazane przez p. Piotra Kruszyńskiego. Od niego dowiedziałem się o umiejscowieniu pozostałych schronów oraz jaki był schemat ich lokalizacji. Ciekawostką jest to, że „Ringstandy" umieszczano obok bram prowadzących do zamku. W miejscu, gdzie drogi lub ścieżki przecinały zakazaną strefę montowano bramę wjazdową, a obok, w ziemi, osadzono schron lub schrony dla żołnierzy oddziału ochrony. Nie stwierdzono występowania schronów wzdłuż ogrodzenia – tylko w pobliżu bram wjazdowych/wejściowych. Obecnie nie wiadomo, jak daleko miała sięgać strefa ochronna, i czy dotyczyła też części po zachodniej stronie Pełcznicy? Powyższe wiadomości zebrano w postaci mapki prezentującej miejsca występowania schronów i bram oraz domniemane miejsca ich lokalizacji.

Idąc dalej w badaniach, poszukiwałem analogii, gdzie zastosowano podobny system obronny. W rachubę nie wchodziły jednak znane w Polsce kwatery i ośrodki dowodzenia, ponieważ prezentowały standardy z początkowego okresu wojny. Jednym z miejsc, które spełnia taki warunek, jest obszar niedokończonej kwatery w rejonie Doliny Jonasza w Niemczech, znany szerzej pod nazwą Jonastal. Z uwagi na brak materiałów archiwalnych dotyczących rozbudowy fortyfikacyjnej zamku Książ, warto dokonać porównania właśnie z budowlami z Jonastal. Cennym źródłem okazała się strona internetowa niemieckiego badacza Silko Ronczki, który prezentuje na niej wyniki swoich badań terenowych przeprowadzonych w okolicach nieskończonej kwatery. W swoich tekstach opisał istnienie w terenie co najmniej kilkunastu „MG-Ringstandów" – tego samego typu jak w Książu. Wszystkie schrony w Jonastal układają się na kształt dwóch stref ochronnych, znanych jako „Sperrkreis" – podobny system ochrony z podziałem na strefy, ale w oparciu o cięższe schrony, zastosowano w ukończonej i funkcjonującej kwaterze w Wilczym Szańcu. Jak zauważa niemiecki badacz, schrony z rejonu Jonastal, ze względu na swoją lekką budowę, nie były przeznaczone do długich i ciężkich walk – pełniły bardziej role jednoosobowych, lekkich schronów, z których każdy prowadził obserwację danego odcinka, a wszystkie razem tworzyły ciągły obwód uniemożliwiający nieautoryzowane przekroczenie ochranianej strefy. Dodatkowo w Jonastal, wewnątrz strefy ochranianej, występują stanowiska dział/działek przeciwlotniczych. W rejonie zamku Książ również mamy podobną sytuację. Jak ustalił Maciek w rozmowie z jednym ze świadków, po wojnie w okolicach zamku spotykano spore ilości amunicji przeciwlotniczej małego kalibru – niestety, dzisiaj bardzo trudno zidentyfikować dokładne miejsca lokalizacji działek, a co za tym idzie, wyglądu całego systemu obrony przeciwlotniczej.

Odnaleziony schron oraz wiadomości o pozostałych reliktach z okolic zamku pozwalają wysnuć wniosek, iż mogły one stanowić część naziemnego sytemu ochrony zamku. Analizując powyższe źródła oraz ostatnie badania terenowe, widać, że Niemcy zdecydowali się na wybudowanie dzisiaj nieokreślonej bliżej liczby schronów, które mogły tworzyć strefę, bądź strefy ochronne przyszłej kancelarii Rzeszy. Do dzisiaj w okolicy zamku przetrwały tylko 2 (?) znane relikty z tego systemu, a lokalizacja pozostałych wymaga dalszych badań terenowych i poszukiwań archiwalnych. Może ktoś z Czytelników posiada wiedzę na temat innych reliktów wokół zamku Książ? W Polsce na terenie byłych kwater Hitlera można odnaleźć podobne rozwiązania, choć z zastosowaniem obiektów innego typu, budowanych we wcześniejszej fazie wojny. Schron z okolicy zamku Książ, póki co, jest jedynym tego typu znanym obiektem w Polsce, i powinien być objęty ochroną. Wiem, że wstępne rozmowy z Urzędem Konserwatora podjęło Stowarzyszenie Historyczne Sudety. Mam nadzieje, że w przyszłości „Ringstand" z Książa zyska prawną ochronę i nowe, bardziej dostępne miejsce ekspozycji.

Autor składa serdeczne podziękowania za pomoc w napisaniu artykułu następującym osobom (w kolejności alfabetycznej): Piotrowi Kruszyńskiemu, Robertowi Kudelskiemu, Maciejowi Pisarczykowi, Pawłowi Rodziewiczowi.

RYSUNKI I ZDJĘCIA: ANDRZEJ DITRICH, ZB. NARA

Literatura i źródła:
1. M. Aniszewski, „Podziemny Świat Gór Sowich", Technol, Kraków 2006
2. J. M. Kowalski, R. J. Kudelski, Z. Rekuć, „Tajemnica Riese", Technol, Kraków 2009
3. R. Owidzki, „Saperskie wyzwanie", [w:] „Odkrywca" nr 9/2006
4. M. Lubicz-Woyciechowski, „Niemieckie żelbetowe zapory przeciwpancerne pod Wrocławiem", [w:] „Odkrywca" nr 3/2008
5. www.silkoronczka.de/jonastal teil-1; teil-2

Andrzej Ditrich
Działacz Stowarzyszeń: TPS, PSDF „Reduta" i Fortiso. Badacz historii oręża, w szczególności fortyfikacji.

W numerze sierpniowym (8/175) z 2013 roku ogłosiliśmy kolejny konkurs smsowy. Zadanie konkursowe polegało na podaniu prawidłowej odpowiedzi na pytanie:

Jakiej klasy okrętem była „Rusałka"?

Od naszych Czytelników otrzymaliśmy kilkadziesiąt prawidłowych odpowiedzi:

monitor

Zwycięzcami konkursu są:
– Barbara Zalewska
– Krzysztof Urban
– Oskar Prichła
– Maciej Papiński
– Krzysztof Zduńczyk
– Artur Muzyka
– Stefan Sekulski
– Paweł Brzezicki
– Mieczysław Kałuża
– Zdzisław Zagórda

Nagrodzeni otrzymali ciekawe pozycje książkowe.

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursie. Zapraszamy do następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

Pistolety i rewolwery w armiach I wojny światowej (cz. 5)

Kieszonkowa artyleria „serdecznych sprzymierzeńców”

PIOTR GALIK

Gdy w roku 1892 Francja i Rosja zawierały militarny sojusz, który skutecznie zmienił geostrategiczny obraz sił w Europie, nikt chyba nie przypuszczał, że układ ten da początek najpotężniejszej w świecie koalicji mocarstw i mniejszych krajów, sprzymierzonych w obliczu zagrożenia przez militarno-polityczny blok austro-niemiecki.

Entente Cordiale – „serdeczne porozumienie”, jak nazwano ten pakt, uzyskało alternatywne określenie: „trójporozumienie”, gdy do obu związanych nim mocarstw dołączyła Wielka Brytania (1904-1907). Już w trakcie Wielkiej Wojny przymierze rozrosło się do globalnej koalicji obejmującej 25 państw, tak zróżnicowanych swoim położeniem geograficznym, obszarem oraz potencjałem militarnym i gospodarczym, jak USA i Grecja, czy Brazylia i Japonia. Szczególnie cennym nabytkiem dla Ententy stały się Włochy (od 1915) i Rumunia (od 1916), gdyż państwa te pierwotnie pozostawały w sojuszu z Niemcami i Austro-Węgrami, a zatem przeciągnięcie ich na drugą stronę barykady oznaczało nie tylko wzmocnienie „trójporozumienia”, ale także osłabienie koalicji nieprzyjacielskiej. Wśród „serdecznych sprzymierzeńców” najcięższe brzemię walki przyjęły bez wątpienia dwa mocarstwa założycielskie Ententy – Rosja i Francja. To właśnie na terytoriach tych państw przebiegały główne fronty wojenne, a ich armie stawiały czoła głównej sile zbrojnej sojuszy Berlina, Wiednia, Sofii i Konstantynopola…

Belg w carskiej służbie, czyli rewolwer inny niż wszystkie

Armia Imperium Rosyjskiego z racji swojej liczebności „od zawsze” pozostaje cenionym klientem przemysłu zbrojeniowego. Nie inaczej było u schyłku wieku XIX, kiedy w kręgach najwyższych władz wojskowych zapadła decyzja o zakupie nowoczesnych typów broni palnej, które miały zastąpić starzejące się konstrukcje, wciąż pozostające w uzbrojeniu carskich sił zbrojnych. Walkę o niezwykle lukratywne zlecenie wygrali wówczas belgijscy konstruktorzy i producenci broni, Leon i Emil Nagant. Już wcześniej dali się poznać rosyjskim partnerom jako twórcy udanego modelu karabinu, który – dla uniknięcia opłat licencyjnych – opatentowany został w Rosji jako Mosin-Nagant M.1891, i w ciągu ponad półwiecznej służby pełnił rolę podstawowej broni rosyjskiej. Warto dodać, że popularny Mosin, produkowany w milionowych ilościach, również w późniejszych zmodyfikowanych odmianach, trafił także do rąk żołnierzy innych armii, w tym i Wojska Polskiego.

Siedmiostrzałowy rewolwer braci Nagant, opracowany w 1886 r., w Rosji przyjęty do uzbrojenia jako Model 1895, a potocznie nazywany „naganem”, stał się owocem śmiałej próby pokonania jednej z największych wad broni bębenkowej – nieszczelności pomiędzy komorą nabojową bębna a przewodem lufy. Powodowała ona utratę części gazów prochowych, a co za tym idzie, zmniejszenie efektywnej siły ładunku miotającego naboju. W celu pokonania tego problemu, twórcy „nagana” opracowali specyficzne, pomysłowe rozwiązanie techniczne. Wraz z odwiedzeniem (napięciem) kurka, bęben nabojowy rewolweru był mechanicznie przysuwany ku wlotowi lufy tak, by zniwelować szczelinę dzielącą te elementy w broni o standardowej konstrukcji. Dodatkowe uszczelnienie stanowiła długa łuska naboju, okrywająca w pełni zagłębiony w niej pocisk. Końcówka łuski, dzięki nieznacznemu zwężeniu u wylotu, wchodziła w początkowy odcinek przewodu lufy. Podczas wystrzału siła gazów ładunku prochowego dociskała krawędź łuski do wnętrza lufy, skutecznie zapobiegając częściowej dekompresji, typowej dla innych rewolwerów. W rezultacie uzyskiwano kilkuprocentowy wzrost prędkości wylotowej, a zatem i energii kinetycznej pocisku. Efekt ten miał jednak swoją cenę. Broń wymagała specyficznej, niestandardowej amunicji, oznaczonej jako typ 7,62×38R Nagant, co rodziło trudności logistyczne. Wprawdzie w razie absolutnej konieczności możliwe było użycie typowych, popularnych w wielu krajach świata nabojów rewolwerowych Smith&Wesson kalibru .32 cala w wersji podstawowej i przedłużonej (.32 Long), jednak wiązało się to z pogorszeniem własności balistycznych broni. Największą jednak wadą „nagana” bez wątpienia pozosta-

„Rosyjska ruletka” – nagan jako rekwizyt w makabrycznej rozrywce znudzonych życiem oficerów w prowincjonalnych garnizonach… (kadr z rosyjskiego filmu „Interwencja” nakręconego w 1969 r.).

wała konieczność archaicznego ładowania i rozładowania bębna – komora po komorze, co wymagało dłuższego czasu niż w wielu typach broni o szkielecie łamanym, czy bębnie wysuwanym, opatrzonym w wyrzutnik i pozwalającym na używanie ładowników przyspieszających nabijanie broni. Mimo stosunkowo złożonej budowy, rewolwer M.1895 cieszył się opinią broni niezawodnej i odpornej na uszkodzenia. Podobnie, jak jego „starszy brat" karabin Mosin, „nagan" przez wiele lat pozostawał podstawową bronią krótką rosyjskich sił zbrojnych. Początkowo rewolwery te produkowane były w belgijskiej fabryce braci Nagant, jednak po kilkuletnim okresie wdrożeniowym, masowy ich wyrób rozpoczęły zakłady zbrojeniowe w kraju głównego odbiorcy – Rosji. Do zakończenia I wojny światowej produkowane były dwie główne odmiany konstrukcyjne „nagana" – tzw. oficerska, czyli opatrzona mechanizmem samonapinania kurka pod wpływem dłuższej drogi języka spustowego, jak i podoficerska lub żołnierska, pozbawiona samonapinacza, a zatem wymagająca odwiedzenia kurka manualnie przed każdym strzałem. Zamysł wprowadzenia takiego zróżnicowania konstrukcji, odpowiednio do stopnia wojskowego użytkownika, polegał na założeniu, że jedynie oficer jest w stanie zachować zimną krew w boju i kontrolować zużycie amunicji. Zwyczajny „mużyk" natomiast w ferworze walki zbyt szybko wystrzelałby naboje z bębna, co oznaczałoby marnotrawstwo… Na marginesie warto dodać, że osobliwy „rosyjski Belg" trafił także do Polski, zarówno jako wyrób oryginalny, używany szczególnie często w latach 1918-1921, jak i w zmodyfikowanej wersji wytwarzanej w Radomiu na potrzeby Policji Państwowej (jako rewolwer Ng.30 lub Nagant wz.30).

Już w roku 1914 okazało się, że rodzima produkcja rewolwerów nie jest w stanie zaspokoić potrzeb ogromnej armii Imperium Rosyjskiego. Z konieczności nadużywano więc także broni, którą „nagan" miał zastąpić – rewolwerów Smith&Wesson Model 3, w Rosji nazywanych „czterie-liniejką" („czteroliniówka" – od rosyjskiego systemu oznaczania kalibru broni, wynoszącego 4,2 linii, czyli .44 cala albo 10,67 mm). Ten archaiczny oręż, skonstruowany w czasach „Dzikiego Zachodu" (taki właśnie Smith&Wesson był w posiadaniu słynnego rewolwerowca Wyatta Earpa), wykorzystywano w różnego rodzaju formacjach tyłowych, ale zdarzało się, że trafiał na front. Innym używanym w formacjach zbrojnych Rosji rodzajem broni krótkiej, stały się pistolety automatyczne, jak Mauser C-96, Colt M.1911 czy Luger 08 (Parabellum), gdyż od 1908 r. oficjalnie dozwolone było posiadanie przez oficerów broni nabywanej prywatnie w miejsce regulaminowego rewolweru M 1895. Nie gardzono także – jak we wszystkich armiach świata – pistoletami i rewolwerami zdobycznymi, które zwykle pozostawały przydatne aż do wyczerpania nietypowej amunicji…

Rewolwer M.1895 w całej okazałości. Typowe oznakowanie „naganów" z czasów carskich umieszczane było na pokrywie mechanizmu spustowego. Charakterystyczne naboje rewolwerowe były rozpoznawalne na pierwszy rzut oka dzięki przedłużonej tulei łuski, stanowiącej uszczelnienie wlotu lufy.

Skórzany futerał rewolweru M.1895 opatrzony był szelką naramienną, pozwalającą na lepsze rozłożenie ciężaru broni niż klasyczne mocowanie jedynie do pasa głównego.

Francuski mix, czyli jak się nie ma, co się lubi…

Siły Zbrojne Republiki Francuskiej odziedziczyły tradycję raczej powściągliwego stosunku do broni krótkiej. Zgodnie z takim podejściem, pistolet czy rewolwer miał raczej pełnić rolę oznaki statusu dowódcy i stanowić ostateczny argument w razie nieposłuszeństwa podwładnych, niż służyć, jako pełnoprawne narzędzie walki. Skutkiem takiej filozofii stał się nagły deficyt broni krótkiej, gdy okazało się, że nowoczesna wojna pozycyjna wymaga znacznie większego, niż wcześniej, nasycenia oddziałów frontowych bronią palną nadającą się do starć na najbliższym dystansie, a zwłaszcza w ciasnocie okopów.

Pierwszym nowoczesnym rewolwerem armii francuskiej stał się typ określany jako Modele 1873 Chamelot-Delvigne, produkowany w znanej i cenionej wytwórni MAS (Manufacture d'Armes Saint-Etienne). Ta sześciostrzałowa, czarnoprochowa broń o kalibrze 11 mm, masie nieco ponad 1 kg i długości 240

Prototyp rewolweru Nagant M.1910, który opatrzono mechanizmem pozwalającym na wychylanie bębna dla ułatwienia nabijania broni. Wybuch Wielkiej wojny udaremnił plany wdrożenia produkcji tej modyfikacji.

Carski kawalerzysta z naganem przepisowo noszonym w futerale po prawej stronie pasa głównego. Widoczna szelka nośna futerału i założony na szyję posiadacza rzemień zabezpieczający broń przed zgubieniem („smycz").

W warunkach wojennych zdarzały się odstępstwa od standardowego wykończenia broni – zarówno in minus (zastępcze, bakelitowe okładki rękojeści), jak też in plus (wersja luksusowa, wykonana na prywatne zamówienie jako egzemplarz podarunkowy).

Poprzednik Naganta – „westernowy" rewolwer Smith & Wesson No.3 Model Russian Pattern.

mm, stanowiła udaną, jak na swoje czasy, konstrukcję, posiadającą mechanizm samonapinania kurka oraz bęben wychylany na bok dla ułatwienia ładowania.

Chamelot-Delvigne pierwotnie przewidziany był jako broń boczna dla podoficerów, jednak niemal natychmiast opracowano jego modyfikację dla oficerów, oznaczaną symbolem Modele 1874. Najistotniejszą różnicą pozwalającą już na pierwszy rzut oka rozpoznać wariant broni, był sposób wykończenia jej powierzchni. Rewolwery podoficerskie pozostawiano w naturalnej barwie polerowanej stali, oficerskie pokrywano ciemną oksydą. Broń Modele 1874 była także nieznacznie krótsza i lżejsza od wcześniejszej odmiany. Z końcem stulecia zmodyfikowana została amunicja, którą przy niezmienionych gabarytach elaborowano prochem nitrocelulozowym (tzw. bezdymnym), co poprawiło balistykę tego przestarzałego już wówczas typu broni, pozostającego od lat 70. XIX w. w uzbrojeniu nie tylko wojsk lądowych i marynarki wojennej, ale także policji (Żandarmerii Narodowej) i różnych służb porządkowych.

Następcą tego solidnego, niezawodnego i lubianego przez użytkowników rewolweru, stała się konstrukcja wprowadzona do uzbrojenia pod oznaczeniem Modele 1892, a znana też jako Revolver Lebel, chociaż twórca francuskiego karabinu powtarzalnego Modele 1886, płk Nicolas Lebel najprawdopodobniej nie miał udziału w pracach nad tą bronią. Rewolwer służbowy Modele 1892 był bronią sześciostrzałową, wyposażoną w mechanizm samonapinania kurka. Wymagał nabojów o kalibrze 8×27 mm, uznawanych wówczas za stosunkowo słabe. W rezultacie największą wadą „rewolweru Lebela" była umiarkowana siła obalająca pocisku. W istocie oręż ten spełniał raczej wymogi broni policyjnej, niż wojskowej. W takiej też roli przetrwał we Francji aż do okresu po II wojnie światowej. Z użycia wojskowego oficjalnie został wycofany w 1935 r., lecz mimo to wiele egzemplarzy pozostało w rękach swoich dotychczasowych właścicieli. W siłach zbrojnych używany był równolegle z podrasowanym przez użycie ulepszonej amunicji rewolwerem Chamelot-Delvigne. Obydwa rodzime typy okazały się zresztą lepsze, niż automatyczne pistolety zamówione przez francuskie władze wojskowe na początku Wielkiej Wojny.

Pilna potrzeba szybkiego uzupełnienia zasobu broni krótkiej dla zmobilizowanej armii sprawiła, że Francuzi skorzystali z oferty zakładów zbrojeniowych swojej neutralnej sąsiadki – Hiszpanii. W kraju tym istniało szereg za-

REKLAMA

antikeye.com

NOWY PORTAL DLA KOLEKCJONERÓW

zobacz największą kolekcję bagnetów pruskich i inne militaria

WIDOK 360°

PORÓWNAJ

przedmioty i zobacz różnice

LOKALIZATOR GIEŁD

sprawdź giełdy w Twojej okolicy

Dodaj nową giełdę

SCHOWEK

pokaż swoją kolekcję i zobacz, co mają inni

KUP
SPRZEDAJ
WYMIEŃ

bez PROWIZJI!

see more, see better, see antikeye

M.1873 z futerałem, z racji kształtu nazywanym nieoficjalnie „jambon" (szynka). Wydatna wypukłość klapy futerału ukrywała wewnętrzną kieszeń na 12 nabojów.

kładów oferujących mniej lub bardziej zmodyfikowane mutacje, a nawet wręcz „pirackie kopie" różnych modeli pistoletów, wśród których najczęściej spotykano modele wzorowane na konstrukcjach Johna Browninga. W maju 1915 r. po serii prób zapadła decyzja o zamówieniu znacznych ilości broni, określonej jako Pistolet Automatique de 7 millimètre 65 genre „Ruby" (pistolet automatyczny kalibru 7,65 w typie „Ruby"). Ów „Ruby", był stosunkowo nowym typem broni produkowanym przez baskijską fabrykę Gabilon-

Muzealna rekonstrukcja umundurowania i wyposażenia oficera francuskich saperów z 1917 r., widoczny futerał rewolwerowy, noszony po prawej stronie pasa głównego (zbiory Muzeum Tradycji 5. Pułku Saperów Armii Francuskiej).

do y Urresti w Guernice. Była to jedna z wielu „wariacji na temat" Browninga M.1903, czyli „praojca" nowoczesnych pistoletów małogabarytowych. „Ruby" przeznaczony był przede wszystkim na rynek cywilny, gdyż uważano, słusznie, że niewielki kaliber (7,62 mm) i kieszonkowe raczej gabaryty broni (długość całkowita 152 mm) nie wzbudzą zainteresowania wojska, natomiast w charakterze narzędzia do samoobrony pistolet wydawał się „w sam raz", pasując nawet do drobnej, kobiecej dłoni i mieszcząc się swobodnie w torebce...

Zastosowana amunicja – typowa, „kosmopolityczna" i szeroko rozpowszechniona, standardowa „siódemka" Browninga (7,62×17SR, inaczej określana jako .32 ACP) nie zachwycała ani siłą rażenia pocisku, ani własnościami balistycznymi. Była za to stosunkowo tania i łatwo dostępna, a niewielki ładunek miotający oznaczał redukcję odrzutu w porównaniu z typową amunicją wojskową. „Ruby" okazał się bronią stosunkowo

Następca rewolweru Chamelot-Delvigne, czyli Modele 1892, zwany Lebelem. Broń z powodzeniem mieściła się w standardowym futerale swojego „starszego brata" z fabryki w St. Etienne.

Francuskie rewolwery M.1873 oraz M.1874, czyli wariant podoficerski i oficerski bębenkowca Chamelot-Delvigne.

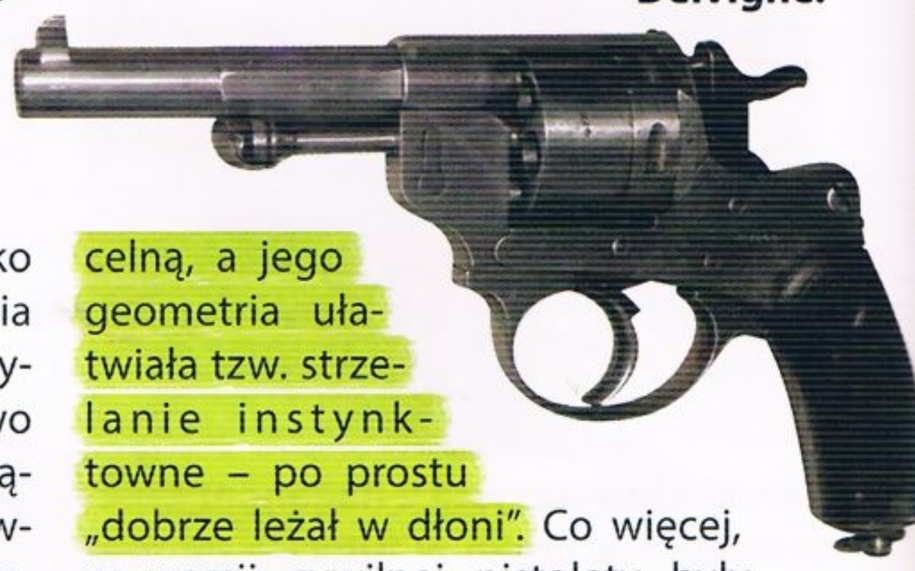

celną, a jego geometria ułatwiała tzw. strzelanie instynktowne – po prostu „dobrze leżał w dłoni". Co więcej, w wersji cywilnej pistolety były zwykle wytwarzane z zachowaniem wysokich standardów jakościowych i technologicznych, co zapewniało dostateczną niezawodność broni nie przewidzianej przecież do znoszenia trudnych warunków pola walki i częstych strzelań, lecz przeznaczonej w założeniu do sporadycznego – jeśli w ogóle – użycia. Natomiast rozmiar francuskich zamówień rządowych spowodował nie tylko rozszerzenie produkcji poza rodzime zakłady (moce produkcyjne fabryki Gabilondo nie pokrywały nawet 1/4 potrzeb, wynoszących docelowo 50 tys. sztuk broni miesięcznie!), lecz także drastyczne pogorszenie jakości wyrobów. Pozostali czterej licencjonowa-

Hiszpański „cywil" we francuskiej służbie – pistolet „Ruby" w wersji kontraktowej – widoczny prowizoryczny sposób mocowania kółka do „smyczy". Broń sprzedawana odbiorcom prywatnym nie była opatrywana w to, typowo wojskowe, udogodnienie.

„Klony" Ruby'ego pochodzące z innych wytwórni różniły się od pierwowzoru nie tylko wyglądem, ale także jakością wykonania, niezawodnością, a nawet gabarytami i kalibrem…

„Ruby" z futerałem w wersji luksusowej – z kieszonkami na zapasowe magazynki oraz standardowy, uproszczony futerał skórzany powszechnie używany w armii francuskiej.

ni wytwórcy, teoretycznie powinni byli oddawać gotowe pistolety do kontroli technicznej fabryce w Guernice, jednak wobec nacisku odbiorcy, niecierpliwie oczekującego kolejnych dostaw, zrezygnowano z tej procedury. W efekcie dochodziło do wielu naruszeń licencji i zdarzało się, że niektóre części i mechanizmy tego samego przecież typu broni, lecz pochodzące z różnych firm, okazywały się niekompatybilne, a użycie magazynka z innej fabryki często kończyło się jego zakleszczeniem! Wkrótce okazało się zresztą, że niezbędne jest dalsze rozszerzenie produkcji.

W roku 1916 wyrobem „Ruby'ego" zajmowało się już blisko 40 mniejszych i większych wytwórni, w których powstało ponad 710 tys. egzemplarzy kontraktowych oraz nieznana dotąd liczba (być może ponad 200 tys.) „produktów ubocznych", sprzedawanych na wolnym rynku prywatnym odbiorcom. W tym chaosie zdarzały się nieprzewidziane modyfikacje wyjściowego projektu, nawet tak drastyczne, jak zmiana pojemności magazynka (standardowo 9, często 8, 7 lub 10), skrócenie lub wydłużenie lufy, a nawet zmiana jej kalibru (zwykle wykorzystywano zapasy podzespołów do „damskich" modeli kalibru 6,35 mm). Marna jakość surowców i niestaranna obróbka mechaniczna oraz cieplna podzespołów powodowała, że wiele egzemplarzy „wyrobów Ruby-podobnych" zagrażało bezpieczeństwu użytkownika. Nieskuteczny mechanizm bezpiecznika powodujący niezauważone i niezamierzone odbezpieczenie pistoletu, np. podczas wyjmowania z futerału, stanowił prawdziwą „wisienkę na torcie"… Potrzeby frontu były jednak tak wielkie, że reklamacje skutkujące zmniejszeniem produkcji nie mogły wchodzić w grę. Starano się jedynie zaopatrywać oddziały pierwszoliniowe w sprawdzone bębenkowce z St. Etienne, problematyczne „siódemki" pozostawiając wszelkim formacjom tyłowym i pomocniczym oraz np. obsługom broni zespołowych czy załogom czołgów. W praktyce jednak zdarzało się wielokrotnie, że zawodne i słabe „siódemki" musiały stać się bronią bojową. I tak deklasowały pod każdym względem najgorszy chyba w dziejach typ broni palnej wszechczasów, jakim okazał się francuski ręczny karabin maszynowy Chauchat… Mimo swoich niedostatków „Ruby" pozostał w wojskowym użyciu aż do kolonialnego konfliktu algierskiego (1954-1960), potwierdzając ludową mądrość, że prowizorka okazuje się zwykle rozwiązaniem najtrwalszym…

Francuskie rewolwery i pistolety wykorzystywane były także przez wojska sprzymierzone. Wśród nich znalazły się także formacje polskie, zwane potocznie Błękitną Armią. Jednak w odrodzonym Wojsku Polskim francuska broń krótka nie wzbudzała zachwytu, szybko wymieniano ją na inne, lepsze typy. W drugiej połowie lat 30. XX wieku polskie zapasy magazynowe hiszpańskich „Rubych" trafiły do kraju swojego pochodzenia, gdyż władze II RP dokonały sprzedaży przestarzałej broni armii Republiki Hiszpańskiej, zwalczającej antykomunistyczne powstanie generała Franco…

Literatura, ilustracje:
1. I. Hogg, „Broń strzelecka. Przewodnik encyklopedyczny", Poznań 2000
2. F. Myatt, „Pistols and revolvers", London 1980 (edycja polska 1993)
3. J. Lugs, „Handfeuerwaffen", Band 1-2, Prag 1982
4. „Military Illustrated", roczniki 1992-2010

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy". Konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

Odkryj z nami historię na nowe

odk księgarnia odkrywcy

Robert Gerwath „Kat Hitlera", opr. miękka, str. 664, Esprit. Cena: 48,80 zł

Reinhard Heydrich uznawany jest za jednego z najgroźniejszych ludzi XX wieku. Był postacią, która budziła przerażenie nawet w kręgach dowódczych III Rzeszy. Jako szef Policji Bezpieczeństwa, Służby Bezpieczeństwa SS i Gestapo oraz bezwzględny zarządca okupowanego Protektoratu Czech i Moraw, a także autor planu „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" Heydrich odegrał znaczącą rolę w hitlerowskich Niemczech. Autor przeplata mało znane historie z prywatnego życia Heydricha z jego wyczynami jako szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, analizując przy tym jego przemianę z młodzieńca z uprzywilejowanej klasy średniej w przeprowadzającego masowe mordy potwora.

„Mapa fortyfikacji Półwyspu Helskiego", opr. miękka, str. 2, Studio Projektowe-Arkadiusz Woźniakowski. Cena: 11 zł

Nowe uzupełnione wydanie mapy, która poprzednio ukazała się w 2008 roku nakładem wydawnictwa Infort. Przedstawione tu fortyfikacje Półwyspu Helskiego są jednym z najciekawszych zespołów umocnień w Polsce. Prezentowana mapa powstała na podstawie wieloletnich badań autorów i przedstawia najbardziej aktualny obraz zasobów budownictwa obronnego Półwyspu Helskiego od Kuźnicy po Helski Cypel. Znajdują się na niej wszystkie znane obiekty fortyfikacyjne, począwszy od tych najsłynniejszych, a kończąc na zapomnianych, położonych z dala od turystycznych szlaków.

Jakub Polit „Gorzki triumf", opr. twarda, str. 1040, Avalon. Cena: 126 zł

Opisany w tej pracy konflikt chińsko-japoński lat 1937-1945 można uznać za najbardziej zapomniany front II wojny światowej. Tymczasem był to front najdłuższy, zarówno w kilometrach, jak i w czasie trwania. Mordercze walki toczyły się przez 97 miesięcy, a kapitulację podpisano dopiero 9 września 1945 r. Do tego czasu tysiące chińskich miast i wsi zamieniło się w gruzowiska, życie zaś straciło około 20 milionów Chińczyków. Szerzone po wojnie przez komunistów opinie, jakoby wojska Czang Kaj-szeka jedynie pozorowały walkę, w świetle badań okazały się nieprawdziwe. Armie Kuomintangu mimo braku wsparcia nieugięcie opierały się Japonii. Po osiągnięciu zwycięstwa, wycieńczona wojną Republika Chińska nie była w stanie przeciwstawić się szturmowi wspieranych przez Moskwę komunistów. Ci ostatni na długie lata pogrzebali prawdę o japońskim najeździe pod stosem kłamstw.

Ryszard Juszkiewicz „Mława 1920", opr. miękka, str. 56, Taktyka i Strategia. Cena: 20,50 zł

Autor opisuje walki do jakich doszło pod Mławą w sierpniu 1920 roku. Obrona miasta poprzedziła główne starcie armii polskiej i bolszewickiej w bitwie warszawskiej. Już po 15 sierpnia pod Mławą toczyły się dalsze walki w ramach kontruderzenia Polaków. W pracy omówiono siły obu stron i strukturę organizacyjną poszczególnych jednostek. Przedstawiono teren działań i opisano ruchy obu armii w poszczególnych dniach oraz przebieg walk, ilustrując to wszystko licznymi mapami. Publikacja zawiera także kolorowe zdjęcia grup rekonstrukcyjnych, które zaprezentowały ówczesne umundurowanie obu armii.

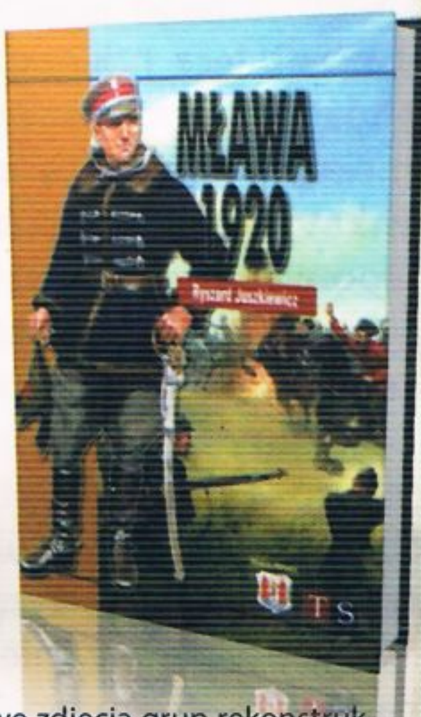

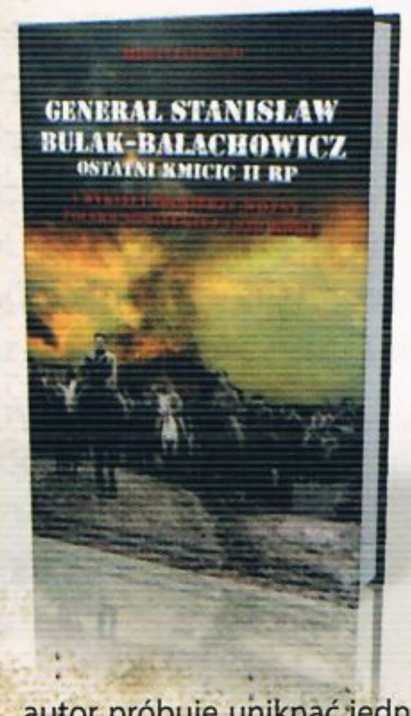

Marek Cabanowski „Generał Stanisław Bułak-Bałachowicz. Ostatni Kmicic II RP", opr. miękka, str. 256, Mireki. Cena: 28,90 zł

Generał Stanisław Bułak-Bałachowicz jest jednym z tych bohaterów historycznych, który budzi z jednej strony zachwyt wojskową maestrią i triumfalnymi zwycięstwami, a z drugiej wywołuje otwartą wrogość z powodu negatywnej oceny jego cech osobowościowych, opartych na mitach spreparowanych w czasach radzieckich. Prezentowana książka jest gatunkiem popularyzatorskim – miejscami nawet zbliża się do eseju o życiu i działalności Bułak-Bałachowicza. Autor za cel stawia sobie wydobycie z zapomnienia postaci generała. Stanisław Bułak-Bałachowicz jest ukazany tutaj jako polski oficer, ale przy tym autor próbuje uniknąć jednoznacznego określenia narodowości generała. Wiele miejsca i uwagi poświęca również przedstawieniu wzajemnych stosunków między narodami, wchodzącymi w skład II Rzeczpospolitej.

Aleksander Zbigniew Rawski „Najnowszy sprzęt i wyposażenie bojowe Wojska Polskiego", opr. twarda, str. 152, Bellona. Cena: 48 zł

Publikacja ta jest pierwszą od piętnastu lat pracą o tematyce militarno-technicznej skierowaną na polski rynek wydawniczy, pokazującą żmudną drogę modernizacji naszej armii. Książka zawiera opisy i zdjęcia około dwustu egzemplarzy sprzętu bojowego. Wytypowali go dowódcy rodzajów Sił Zbrojnych RP i szefowie rodzajów wojsk oraz polscy producenci i wojskowe instytuty badawcze. Głównymi kryteriami doboru była nie tylko znaczna liczba danego sprzętu w wyposażeniu polskich podziałów, ale również jego nowoczesność. W opracowaniu pominięto urządzenia, które w najbliższych latach zostaną wycofane oraz sprzęt bojowy, którego prezentacja naruszyłaby tajemnice wojskowe.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

Odkryj z nami historię na nowe

odk księgarnia odkrywcy

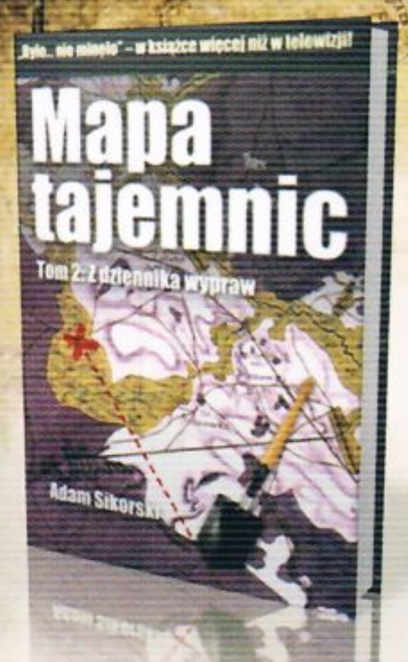

Adam Sikorski „Mapa tajemnic" tom 2, opr. miękka, str. 308, Vesper. Cena: 26,80 zł

W odróżnieniu od I części, tom II „Mapy tajemnic" zawiera opisy sposobów docierania do sensacyjnych znalezisk. Tom ten może stać się pożyteczny dla wszystkich tych, którym marzą się samodzielne wędrówki ścieżką tajemnic. Jednak dzięki barwnej reporterskiej formule narracji, przygodę mogą przeżyć także Ci czytelnicy, którzy nie zamierzają ruszać się z domu. Część reportaży spisywanych „na gorąco" ma także inny cel. Zapiski z poszukiwań na Wołyniu dołów śmierci naszych rodaków pomordowanych przez UPA są przejmującym apelem do wszystkich, aby nie zapomnieli o tej zbrodni. Dla czytelników, którzy mimo wszystko oczekują kontynuacji formuły tomu pierwszego, autor przygotował zestaw tajemnic do odkrycia.

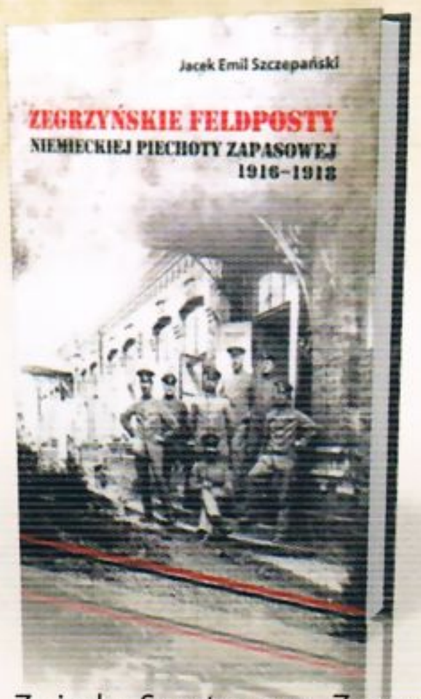

Jacek Emil Szczepański „Zegrzyńskie feldposty niemieckiej piechoty zapasowej 1916-1918", opr. miękka, str. 112, Muzeum Historyczne w Legionowie. Cena: 23,80 zł

Publikacja ta łączy formę szkicu historycznego z edycją feldpostów – zdjęć żołnierskich wysłanych z Zegrza w czasie I wojny światowej. W tamtejszym garnizonie stacjonowało w omawianym okresie dowództwo oraz II batalion zgrupowania niemieckiej piechoty zapasowej Przez dwa lata, od kwietnia 1916 r. do kwietnia 1918 r., ćwiczono tu rekrutów w zakresie frontowej taktyki walki. W czasie wolnym żołnierze chętnie uprawiali sport, co doprowadziło do powstania Niemieckiego Związku Sportowego „Zegrze". W zegrzyńskim garnizonie kwitło również życie kulturalne, czego kulminacją było stworzenie w październiku 1917 r. Niemieckiego Teatru nad Narwią. Świadectwem tych wydarzeń są żołnierskie fotografie z kolekcji autora. Dzięki nim czytelnicy, mogą podejrzeć życie poszczególnych kompanii oraz zaułki często nieistniejących już koszar.

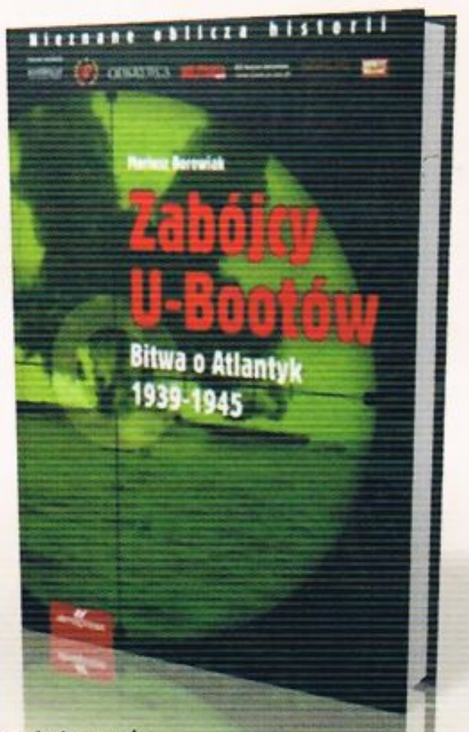

Mariusz Borowiak „Zabójcy U-bootów", opr. twarda, str. 472, Alma-Press. Cena: 53,90 zł

Autor opisuje przebieg podwodnych walk w Bitwie o Atlantyk, szczególnie wiele miejsca poświęcając pogromców niemieckiej floty podwodnej. Nazywano ich zabójcami U-Bootów. Do grona tego można zaliczyć samodzielne lub działające w ramach obrony konwojów morskich grupy wsparcia i grupy eskortowe. Składały się one z okrętów eskortowych, samolotów patrolowych dalekiego zasięgu operujących w celu zmniejszenia „dziury atlantyckiej" i lotniskowców eskortowych zapewniających osłonę lotniczą konwojom. Okręty eskorty często z myśliwych przeistaczały się w zwierzynę, stając się celem desperackich ataków U-Bootów.

Jerzy Jaxa-Maderski „Na dwa fronty. Brygada Świętokrzyska NSZ", opr. miękka, str. 426, Mireki. Cena: 34,90 zł

Wznowienie popularnej książki Jerzego Jaxy-Maderskiego. Starał się on zaprezentować dzieje Brygady Świętokrzyskiej NSZ gromadząc relacje i wspomnienia żyjących jeszcze wówczas (początek lat 90.) jej żołnierzy. We wstępie autor nakreślił koleje losów Brygady. Kolejne rozdziały zawierają sylwetki dowódców (zarówno we wspomnieniach, jak i krótkich rysach historycznych), opisy działań poszczególnych oddziałów, osławiony „marsz na Zachód", wspomnienia skoków spadochronowych do okupowanej Polski, Kronikę 202 pp Ziemi Sandomierskiej oraz opisowy indeks pseudonimów i nazwisk.

Franciszek Puchała „Budowa potencjału bojowego Wojska Polskiego 1945-1990", opr. miękka, str. 560, Fundacja Historia i Kultura. Cena: 55 zł

Książka jest cennym opracowaniem mającym charakter monograficzny. Kompleksowo i zrozumiale ujmuje merytoryczne zagadnienia z zakresu polityki obronnej i wojskowości na przestrzeni 45 lat. Autor przedstawia je na tle zjawisk, jakie towarzyszyły „zimnej wojnie" i związanemu z nią wyścigowi zbrojeń, którego skutki dotyczyły także Polski. Pokazuje rozwój organizacyjno-techniczny wojsk operacyjnych, przedstawiając zależności między potencjałem bojowym wojska a możliwościami ekonomicznymi państwa i kondycją polskiego przemysłu zbrojeniowego. W przystępny sposób obrazuje m.in. zintegrowany system zarządzania produkcją specjalną oraz wdrażania i eksploatacji uzbrojenia przez użytkowników, ukazując przy tym rolę przemysłowego i wojskowego zaplecza naukowo-badawczego.

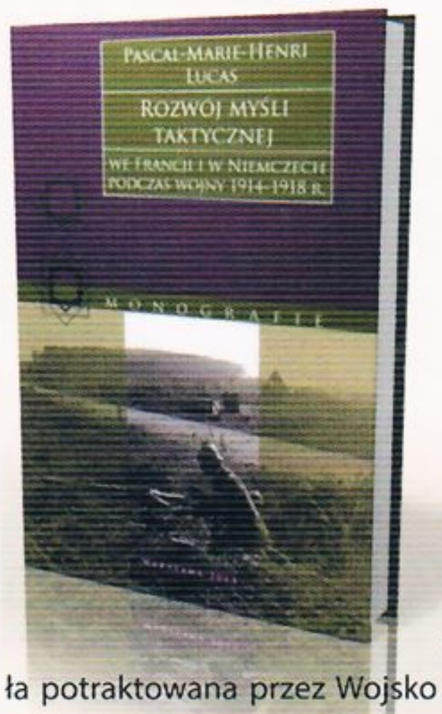

Pascal-Marie-Henri Lucas „Rozwój myśli taktycznej we Francji i w Niemczech podczas wojny 1914-1918 r.", opr. twarda, str. 198, Tetragon. Cena: 49,90 zł

Publikacja ta to czwarta już książka wydawnictwa Tetragon traktująca o aspektach taktycznych I wojny światowej. Jej autorem jest ppłk. Pascal M.H. Lucas. Początkowo drukowana była w częściach w „Revue Militaire Generale". Dzięki swojej popularności i wysokim ocenom francuskiej generalicji, doczekała się również wersji książkowej. Praca stanowi swego rodzaju podręcznik obrazujący przebieg Wielkiej Wojny, a przynajmniej tak została potraktowana przez Wojsko Polskie, które wydało ją w 1924 r., niemal równolegle z wydaniem francuskim. Czytelnik dzięki tej książce zyska możliwość porównania postrzegania I wojny światowej w jej aspekcie taktycznym przez Francuzów, z perspektywą niemiecką.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

NOWA SERIA MODELI

WRZESIEŃ 1939

SPRZEDAŻ W LISTOPADZIE!!!

Z OKAZJI 75 ROCZNICY WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ WSPANIAŁA KOLEKCJA MODELI I FIGUREK WOJSKOWYCH